
ANTYK

ZŁOCIANY DOKRYTKA KARTA



6/'88

SPIS TREŚCI

<hr/>	
LUZDZIE I IDEE	
Orwell, Maciej Bronski	3
"1984" Utopia i autobiografia, GAJ	5
Dlaczego piszę ?, George Orwell	12
totalitaryzm	17
Trzy zdrady Winstona Smitha, Zofia Pietrowna	17
Rok "1984"-krótkie studium patologii władzy, EKLA	24
słowo	
Literatura a lewica, George Orwell	31
Język rosyjski i język sowiecki, Michał Heller	33
Język i wolność, J. Ścwa	37
O kłamstwie i zakłamaniu oczyma psychologiczujących hermeneutyków, Jerzy Napiórkowski	42
polityka	
Jak mi się podoba (1.IX.1947), George Orwell	51
Ku przestrodze, Maciej Bielecki	54
Jan Karcki "Witold" (przygotował) Maciej Bielecki	57
Tajna dyplomacja Churchilla i Roosevelta w sprawie Polski 1940-1945, Jan Karcki	58
Rok 1984 - Orwell. Rok 1987 - ?, Stefan Bielski	65
NOTATNIK POLITYCZNY KONSERWATYSTY	69
KULTURA	
Skojarzeni przez skrzypce (część I komponując siebie), Andrzej Janufnik	74
<hr/>	

Orwell nie wymaga rekomendacji. Dlaczego jednak teraz w 1988 roku "ANTYK" przywołuje znowu "1984", czy czas nie obalił szalonej wizji, teraz w okresie przemian ???

Może przypomnienie Orwella zerwie z nas przyswyczajenie do życia w totalitaryzmie i otworzy nam oczy na manipulacje. Jeśli Orwell nas nie wyleczy to już chyba nie nie uchroni nas przed w i a r a w pierestrojkę i miłością do WIELKIEGO BRATA !!!



zdjęcie z 1921

ORWELL

Miarą wartości Orwella jako intelektualisty jest fakt, że dla poznania jego myśli i postawy wobec świata znacznie użyteczniejsze są jego własne teksty niż cudze interpretacje i komentarze. Stwierdzenie to jest pozorownym truizmem, który po w i n i e n odnosi się do wszystkich ludzi myślących i formułujących swe myśli na papierze, ale w dobie ideologii, mplistości myślowej i pretensyjności stylistycznej dawny wymóg przylegania

słów do rzeczy przestał być sprawą oczywista. To, że wymóg ten został przez Orwella spełniony w sposób mistrzowski, jest prawdopodobnie głównym źródłem nieprzemijającej atrakcyjności i aktualności jego tekstów, mimo że od śmierci ich autora upłynęło trzydzieści pięć lat, a tematyka ich obraca się niekiedy - choć nie zawsze, helas! - wokół spraw należących już do historii. Jego proza jest nie tyle zbiorem interesujących poglądów i celnych sformułowań /choć zawiera ich bardzo wiele/, ile raczej - i przede wszystkim - materiałem, w którym odcisnęła się niezwykle i warta poznania osobowość. /.../

Przyszły "George Orwell", czyli Eric Blair urodził się w 1903r. w Bengalu, gdzie jego ojciec pracował jako niewysokiej rangi urzędnik administracji angielskiej. W 1907r. pani Blair z dziećmi /Eric miał dwie siostry/ powróciła do Anglii na stałe, choć jej mąż musiał jeszcze spędzić w Indiach pięć lat zanim mógł przejść na typową dla "angloindyjskich" rodzin emeryturę w ojczyźnie /domek na prowincji, bardzo skromny tryb życia i marazm "dolnego marginesu wyższej klasy średniej", jak później określał swe środowisko niezmiernie wyczulony na te sprawy Orwell/. Lata 1911-16 spędził Eric Blair w niedrogiej, ale mającej dobry poziom szkole wstępnej St. Cyprian's, przygotowującej chłopców do studiów w angielskich liceach /public schools/. Studia takie - wówczas i obecnie bardzo kosztowne - są nie tylko konieczne dla ewentualnych dalszych studiów na uniwersytecie, ale przede wszystkim stanowią niezbędny warunek zostania członkiem "wyższej klasy średniej", czyli mniej więcej tego, co we wschodnioeuropejskiej terminologii określa się jako przynależność do inteligencji. Sytuacja materialna rodziny Blairów wykluczała oryginalne finansowanie public school Erica, jedyną więc szansą na to, by ich syn nie zdeklasował się, było uzyskanie przezeń jednego z nielicznych stypendiów państwowych drogą konkursowego egzaminu. Ośmioletni chłopiec oddany do internatu St. Cyprian's musiał już zdawać sobie sprawę z ciężką na nim odpowiedzialnością wobec rodziny i siebie samego, a pięć lat spędzonych pod tym podwójnym mieczem Damoklesa było niewątpliwie ciężkim stresem, choć słowa tego nie znała jeszcze ówczesna psychologia.

Ten traumatyczny okres odcisnął się stałym piętnem na przyszłym Orwelle. Napisany przezeń trzydzieści lat później /i nie przeznaczony do natychmiastowej publikacji/ szkic autobiograficzny o wziętym z Blake'a tytule "Takie to były radości" jest tylko jednym ze śladów urazu. Jest rzeczą interesującą, że obraz szkoły w tym tekście wydaje się podświadomie przyczerniony post factum, bo ze wspomnień innych osób - różnielnie Orwella i Cyryla Connolly i byłej kierowniczkii St. Cyprian's Vaughan Wilkes /por. P. Stansky W. Abrahams, The Unknown Orwell, 1974/ wynika, iż Eric Blair nie zdawał się wówczas tak nieszczęśliwym, jak dostrósł George Orwell to przedstawił. Z pewnością nie jest to jednak czyste zmyślenie, a neurotyczna fobia nędzy i kompleks klęski musiały być dla dorastającego chłopca koszmarem, z którego nigdy nie wyzwolili się całkowicie.

Egzamin konkursowy wypadł bardzo pomyślnie i Blair dostał stypendium do najlepszej public school w Anglii, Eton. Czteroletni pobyt w niej /1917-1921/ gwarantował wprawdzie dożywność przynależność do ka-

a w końcu o zdradę na rzecz Franco /bezpodstawnie, rzecz prosta/, została ostatecznie rozwiązana, a część jej członków zlikwidowano fizycznie. Sam Orwell - zdemobilizowany po odniesieniu rany - z trudem uniknął aresztowania i być może nawet śmierci z rąk rzekomych sojuszników w "walce z faszyzmem". Przeżycia te dały mu, socjaliście z uczuciowego odruchu, do myślenia i otwały oczy na niebezpieczeństwo totalitaryzmu także od strony lewicy. Był to początek krytycznej fazy w piśnarstwie Orwella, która spowodowała też rozdziewiek pomiędzy nim a środowiskiem prosowieckich intelektualistów angielskich. "Folwark zwierzęcy" /Animal Farm, 1945/ i "1984" /Nineteen Eighty-Four, 1949/ stanowią satyryczne podsumowanie refleksji, do której pierwszy impuls dały Orwellowi doświadczenia hiszpańskie.

Z powodu złego stanu zdrowia Orwell po wybuchu wojny w 1939r. mimo usilnych starań nie dostał się ani do wojska, ani do żadnej służby państwowej. Chcąc w jakikolwiek sposób wziąć czynny udział w wysiłku wojennym, podjął pracę w radio, w audycjach przeznaczonych dla Indii, zagrożonych wówczas inwazją japońską. Stopniowo doszedł jednak do wniosku, że z racji antytrytyjskich, niepodległościowych nastrojów ludności tego kraju, jego wysiłek idzie w próżnię i w końcu 1943r. złożył rezygnację. Przez następne dwa lata był redaktorem działu literackiego w socjalistycznym tygodniku "Tribune", do którego pisywał już regularnie od 1940r. Prestiż Orwella był już wówczas tak wielki, że redakcja nie ośmielała się ograniczać swobody jego wypowiedzi, choć wiele uwag i obserwacji tego enfant terrible lewicy w jego statym felietonie pt. "Jak mi się podoba" znacznie odbiegało od oficjalnej /dość prosowieckiej i antyamerykańskiej/ linii tego labourzystowskiego organu. Orwell wystąpił z "Tribune" z początkiem 1945r., po ukazaniu się "Folwarku zwierzęcego" niejako dla uniknięcia zaambarasowania obu stron. Książka była ciosem w młot sowiecki, który z kolei stanowił rodzaj nie pisanej konstytucji takiej "prawomyślnej lewicy" zachodniej, tak że formalne związki z nią musiały ulec zerwaniu, choć Orwell nadal uważał się za socjalistę.

Końcówce miesiące wojny były i w prywatnym życiu pisarza przełomowe: jego żona Eileen nagle zmarła w czasie, gdy Orwell jako korespondent wojenny z ramienia "Observera" przebywał na kontynencie. Był to nie tylko wielki cios uczuciowy - wszystkie wspomnienia o Orwello podkrusają, że małżeństwo to /pobrali się w 1936r./ było niezwykle udane i harmonijne - lecz śmierć ta postawiła go też przed trudnym problemem praktycznym: krótko przedtem pp. Blair adoptowali kilkutygodniowe niemowlę. Mimo trudności, jakie nastreczały wychowanie małego dziecka samotnemu mężczyźnie o coraz bardziej pogarszającym się zdrowiu, Orwell nie zgodził się na rozstanie z małym Richardem. Jedynym szczęściem w nieszczęściu był niespodziany sukces wydawniczy "Folwarku" i związany z tym - po raz pierwszy w życiu - brak trosk finansowych. Pieniądze umożliwiły Orwellowi zaangażowanie piastunki do dziecka, a nieco później opuszczenie Londynu, którego nigdy nie lubił. Zmiana miejsca zamieszkania była radykalna: Orwell wynajął niezamieszkałą fermę na wyspie Jura u zachodnich wybrzeży Szkocji i przeniósł się tam na stałe. Nie trwało to jednak długo: napisana na Hebrydach jego ostatnia, najświetniejsza powieść 1984 była dziełem stworzonym dostojnie ostatnim wysiłkiem woli. Po wysłaniu manuskryptu do wydawcy w listopadzie 1948 Orwell musiał udać się do szpitala i nigdy już nie danym mu było powrócić na swoje odludzie. Paromiesięczny, w sanatorium przeciwgruźliczym w Szkocji niewiele pomógł mimo intensywnego leczenia i we wrześniu 1949r. przeniesiono go do kliniki w Londynie. W miesiąc później zawarł ślub z Sonią Brownell, piękną sekretarką redakcji pisma "Horizon", którą poznał był krótko po śmierci pierwszej żony i z którą łączył go przez pewien czas przelotny związek. Nie był jeszcze całkiem prwny, że wkrótce umrze, ale jak zwykle patrzył rzeczywistości w oczy i pragnął związać się z osobą, której mógłby spokojnie przekazać swoją spuściznę literacką. W trzy miesiące później zmarł na skutek gwałtownego krwotoku płuc. Mimo, że był ateistą, w swojej ostatniej woli prosił, by pogrzebano go według rytuału anglikańskiego na jakimś przyko-

sty gentelmenów, ale nie rozstrzygał o dalszej drodze życiowej, jako że program tej szkoły miał charakter ogólnohumanistyczny. Dlaczego 18-letni Blair po skończeniu Eton postanowił wstąpić do brytyjskiej policji kolonialnej, jest do dziś zagadką psychologiczną, której Orwell nigdy nie wyjaśnił. Służba tego rodzaju wydawała się całkowitym przeciwieństwem jego charakteru i zainteresowań - i być może właśnie w tym leży wyjaśnienie zagadki. Ludzie wybierają niekiedy to, co ich najbardziej odpycha; jest to rodzaj autoterapii, próba przezwyciężenia siebie i własnego przerwania. Są tacy co dla zwalczania lęku przestrzeni zaczynają uprawiać alpinizm. Fascynacja nędzą, wynikająca z niewdzipliwiej nacji, skłaniała w późniejszych latach Orwella do świadomych eksperymentów w tej dziedzinie; w przebraniu włóczęgi dzielił nieraz tygodniami życie angielskich najuboższych /i prawdopodobnie przy tej okazji nabiawił się gruźlicy, która zabiła go przedwcześnie/. Nie jest wykluczone, że podobna motywacja a'rebours kryła się za jego decyzją wybrania zawodu pol' janta. Pewną rolę mogła też grać chęć jak najszybszego usamodzielnienia się i rozpoczęcia pewnej, choć niezbyt intratnej kariery w służbie państwowej - nie wiadomo. Faktem jest, że po zdaniu odpowiednich egzaminów Eric Blair został przyjęty do Brytyjskiej Policji Imperialnej i skierowany do Birmy, gdzie spędził pięć lat. W czasie pierwszego przystępującego mu urlopu w Europie złożył rezygnację, gdyw nie chciał - jak to sam określił - służyć nadal imperializmowi. Zamieszkał w Paryżu żyjąc początkowo ze swych oszczędności, a po ich wyczerpaniu z dorywczych prac fizycznych, m.in. jako pomywacz naczyń w restauracji hotelowej.

Zasadniczym celem pobytu paryskiego było rozpoczęcie kariery pisarskiej w nowym otoczeniu, ale plon tych dwóch lat był prawie żaden. Rękopisy dwóch napisanych w tym czasie powieści, których nikt nie chciał opublikować, Orwell sam później zniszczył. Wrócił pod koniec 1929r. do Anglii z pustymi rękoma i poczuciem klęski życiowej. Przez kilka lat utrzymywał się z różnych dorywczych zajęć /m.in. był korepetytorem, nauczycielem i sprzedawcą w księgarni/ i z honorariów za artykuły i recenzje. Jego debiutem książkowym było zbeletryzowane wspomnienie-reportaż z pobirneńskich lat chudych pt. "Nędzarz w Paryżu i Londynie"/Down and Out in Paris and London, 1933/. Książka ukazała się pod pseudonimem "George Orwell", który stał się od tego czasu rodzajem jego drugiego nazwiska - podpisywał tak nawet listy do przyjaciół.

Aż do wybuchu wojny światowej Orwell był free-lancerem o bardzo skromnych dochodach /.../, choć teksty jego powoli zdobywały uznanie w kręgach literackich. Od chwili swego debiutu powieściopisarskiego aż do podjęcia w 1941r. pracy w BBC Orwell publikował - obok drobniejszych utworów publicystycznych - pozycje książkowe w regularnych odstępach rocznych. Są to powieści: "Birmeńskie dni"/Burmese Days, 1934/, "Córka pastora"/A Clergyman's Daughter, 1935/, "Vivat aspistrza"/Keep the Aspidistra Flying, 1936/ i "Haust powietrza"/Coming Up for Air, 1939/ oraz trzy tomy niebeletrystyczne: reportaże o dotkniętych kryzysem górnikach angielskich pt. "Droga do Wigan Pier"/The Road to Wigan Pier, 1937/, reportaże-refleksja na temat hiszpańskiej wojny domowej, w której Orwell wziął udział /po stronie republikańskiej/ z bronią w ręku, pt. "Hołd dla Katalonii"/Homage to Catalonia, 1938/ i wreszcie zbiór esejów "W brzuchu wieloryba"/Inside the Whale, 1940/, .../

Najważniejszym przeżyciem Orwella z lat trzydziestych był bez wątpienia wspomniany półroczny epizod hiszpański: nie tyle z uwagi na niebezpieczeństwa fizyczne, ile jako jego pierwsze i właściwie jedyne zetknięcie się z komunizmem w praktyce. Orwell walczył w oddziałach POUM /Partido Obrero de Unificación Marxista/, komunistycznej, lecz antystalinowskiej partii tworzącej wraz z anarchistami i kominternowską partią stalinowców /PSUC/ koalicyjny, półautonomiczny kataloński rząd z siedzibą w Barcelonie. Pobyt Orwella w Hiszpanii /grudzień 1936 - czerwiec 1937/ przypadł na okres kampanii stalinowców przeciw konkurentom politycznym, a szczególnie POUM. Partia ta, oskarżana początkowo o trockizm,

ścielnym cmentarzu, nie na londyńskim gruncie magistrackim. Dzięki staraniom przyjaciół życzenie to zostało spełnione; pochowano go na wlejskim cmentarzu w Sutton Courtenay, a napis na grobie - również zgodnie z jego wolą - zawiera tylko słowa: "Tu spoczywa Eric Arthur Blair, urodzony 25 czerwca 1903, zmarły 21 stycznia 1950".

Słowa jego po śmierci zaczęły szybko rosnąć. Jej nośnikiem były początkowo tylko obydwie satyry polityczne - "Polwark zwierzęcy" i "1984" - szybko przetłumaczone na prawie wszystkie języki świata; stopniowo inne jego dzieła, także niedoceniane dawniej wczesne powieści, zaczęły zdobywać sobie uznanie. Decydującym dla znajomości Orwella jako publicyisty i krytyka stał się rok 1968, w którym wyszedł 4-tomowy zbiór "The Collected Essays, Journalism and Letters of George Orwell" /CEJL/, zredagowany przez Sonię Orwell i Iana Angusa i wydany przez firmę Secker

Warburg - odważne małe wydawnictwo, ratujące utwory Orwella przed "prawowładnie lewicowym" bojkotem innych wydawców angielskich. W dwa lata później CEJL ukazał się w zbiorowym wydaniu Orwella w serii Penguin Books i od tego czasu jest pozycją stałe obecną /i stałe wykupywaną/ we wszystkich księgarniach anglojęzycznych. Jest to przypuszczalnie najlepsze istniejące dziś "wprowadzenie w Orwella", ponieważ przemawia on w nim swoim własnym głosem. Oficjalne biografie - napisane wbrew życzeniu pisarza wyrażonemu w testamentie - spełniają to zadanie gorzej; niektóre z nich usiłują "odzyskać" Orwella dla współczesnych "sił postępu i pokoju" na Zachodzie. Dotyczy to w dużym stopniu rzekomo definitywnej monografii Bernarda Cricka /George Orwell, A Life 1980/, a już karykaturalnym przykładem tego rodzaju "kradzieży zwłok" jest książeczka Raymonda Williamse /George Orwell; 1970/, kreująca autora 1984 na patrona prokomunistycznej Nowej Lewicy /.../.

Na zakończenie chcę dorzucić kilka uwag na temat socjalizmu Orwella, ponieważ jak wiem z własnego doświadczenia większość Polaków otrząsa się na dźwięk tego słowa z obrzydzeniem: doprowadziła do tego stanu rzeczy /a ściślej umysłów/ nie tylko praktyka tzw. "socjalizmu realnego", czyli komunizmu, ale i działalność zachodnich lewaków, używających tego niegdyś salachetnie brzmiącego słowa jako kamuflażu dla idei nihilistycznych i totalitarnych. Orwell w młodości również uległ magii tego terminu i wyzwał się spod niej stosunkowo powoli; zamieszczona tu teksty pozwalała śledzić ten proces. Dodać należy, że idea socjalistyczna - nigdy nie nazbyt precyzyjna - była za jego czasów czystsza, bo mniej obciążona realnym doświadczeniem. Orwell zaś był idealistą, co też stanowiło część jego uroku. Uroku przydaje mu także jego realizm /"odwaga patrzenia nieprzyjemnym faktem w oczy", jak to nazwał/ i bezwzględna uczciwość intelektualna. Żadko spotyka się idealistów, nie usiłujących ściągać rzeczywistości do swoich życzeń czy marzeń, ale takim człowiekiem był właśnie Orwell. Ta swoista anomalia sprawiła, że stał się jednym z pierwszych uczuciowych obserwatorów tego, co naprawdę dzieje się - i dzieje do dziś - w kręgach "idealistów" mniajączych, choćby w sensie uczciwości domyslenia spraw do końca. Orwell stanowi ilustrację swej własnej obserwacji, którą uczynił w związku z innym tematem. Brzmiała ona: "Mówiąc najogólniej, nikt, kto jest zdolny do oddania atmosfery krajów tropikalnych, nie ma ochoty pozostawać tam dostatecznie długo, by ją w siebie wchłonąć. Stąd żadkość dobrych powieści o Dalekim Wschodzie, które mogą być pisane tylko przez ludzi w pewnym sensie odbiegających od normy, jak Józef Conrad" /CEJL I.87/.

Mutatis mutandis powiedzieć to można o Orwello i środowiskach lewicowych. Na temat "ochoty pozostawania w nich" wyraził się dość wcześniej - jeszcze przed swoją Hiszpanią - jasno jak zwykle:

"Podobnie jak się to ma z częściej niż w sztuce, najgorszą reklamą socjalizmu są jego adherenci.

Pierwszą rzeczą, jaka musi uderzać obserwatora z zewnątrz jest to, że socjalizm w swej rozwiniętej formie stanowi teorię ograniczoną wyłącznie do klas średnich. Typowy socjalista to nie, jak to sobie wyobrażają lekkie starsze panie, groźnie wyglądający rebotnik w zamarszowanym kombinie i o chrapliwym głosie, jest nim albo młodociany bolszewik

salonowy, który za pięć lat prawdopodobnie ożeni się bogato lub przejdzie na katolicyzm, albo też co jest jeszcze bardziej typowe, sztywny mały estowiceczek pracujący w jakimś zawodzie umysłowym, zazwyczaj utajony abatyment, często ze skłonnościami wegetariańskimi, o przeszłości kontestatora religijnego i, przede wszystkim, statusie społecznym, z którego bynajmniej nie zamierza zrezygnować. Ten ostatni typ zdumiewająco rozpowszechniony w partiach socjalistycznych wszelkich odcieni; został prawdopodobnie przyjęty en bloc z dawnej Partii Liberalnej. Dodac do tego jeszcze należy ogromną - naprawdę niekopojską - liczbę pomyśleńców, występujących wszędzie, gdziekolwiek zbiorą się socjaliści. Cdnosi się niekiedy wrażenie, że już same słowa "socjalizm" i "komunizm" przyciągają z magnetyczną siłą wszystkich pijaczy soków owocowych, nudystów, zwolenników chodzenia w sandałach, maniaków seksualnych, kwakerów, orędowników "przyrodolecianictwa", pacyfistów i feministki w Anglii. /The Record to Wigan Pier, 1937/.

Niemniej Orwell czuł się zmuszony moralnie do "wchłaniania tej atmosfery" dość długo, gdyż wierzył, że socjalizm jako idea jest właściwym lekarstwem na niedoskonałości świata, które go oburzały. Dopiero w 1947r. napisał: "Socjalista znajduje się dziś w sytuacji lekarza przy łóżku bardzo ciężko chorego. Jako lekarz obowiązany jest utrzymywać pacjenta przy życiu, czyli zakładać, że ma on choć szansę wyzdrowienia. Jako naukowiec obowiązany jest patrzeć prawdzie w oczy, czyli przyznać, że pacjent prawdopodobnie umrze" /CEJL, IV.88/. Orwell - idealista nigdy nie przekształcił się w doktrynera - istotnie, zdumiewająca anomalia!

Ustrzegł się też choroby zawodowej intelektualistów: pogardy dla "simplizmu", czyli często po prostu dla zdrowego rozsądku, a prowadząc do tego, że szanujący się maitre a penseur nie może uznać, iż dwa i dwa równa się cztery i nie może poświęcać uwagi temu co znajduje się przed samym nosem. Niestety, ma to swoją cenę - w najlepszym razie śmieszności; nestwamy w myślach na chwilę Orwella i Sartre'a, by przekonać się, że stwierdzenie to nie jest przesada. Trwałość dzieła Orwella jest potwierdzeniem jeszcze raz starej i banalnej zasady, że uczciwość popyta.

Maciej Broński

sierpień 1985

Fragmenty "Pracownicy" (w:)
George Orwell, Eseje (wybór,
Londyn 1985, (wyd.) Pula
drukujemy bez wiedzy i zgody autora
Tytuł od redakcji "ANTYKXU"

" 1984 "

UTOPIA I AUTOBIOGRAFIA

Poszukiwanie źródeł politycznej utopii Orwella, której literacki kształt stanowią dwie niestarzące się powieści "Folwark zwierzęcy" i "1984" pozornie tych dwóch nie powinno sprawiać trudności. Już zresztą samo pojęcie utopii politycznej nie jest w przypadku tych dwóch dzieł tak jednoznaczne, jak mogłoby się być wydawać w czasie, gdy się ukazywały i jak, być może, dziś jeszcze wydaje. ~~Wielki~~ Intelnikowi zachodniemu. Skoro bowiem miała to być utopia, to skądże technicznych zgoła szczegółów państwa policyjnego, zrealizowanych w praktyce realnego socjalizmu, rozwiązanych instytucjonalnych i organizacyjnych znanych nam dziś i w praktyki świata i z wiadomości przeciekających ze wszystkich trzech państw sąsiednich, z Wielkim Bratem na czele? Może nie we wszystkich szczegółach, ale zapewne w większości rozwiązań koncepcyjnych, zwłaszcza w dziedzinie propagandy masowej i kontroli myśli, Pas Lotniczy Nr 1 to zastanawiająco przysiadające odbicie rzeczywistości w modelowym państwie realnego socjalizmu anno 1984 - w jakiejś hybrydycznej mieszaninie radzieckiego zgrzeszonego komunizmu państwowego, NRO-owskiej policyjnej kontroli totalnej, radzieckiego zastraszenia umysłów i wreszcie polskiej bylejakości. Skąd wziął George Orwell w roku 1945 i 1948 materiał dla tak szczegółowej i czempifikacji swojego modelu państwa totalitarnego, który Anglik ogłasza pewnie jako tragicomiczny obrazek political fiction, zaś obywatel krajowy Wschodniej raczej już z większą zadumą i poczuciem deju vu: to my - może jeszcze nie teraz, może za 30 lat - jeśli kierunek marszu się nie zmieni.

Doświadczenia osobiste Orwella z realnym komunizmem rozpoczęły się w Hiszpanii w czasie wojny domowej. Pogłębiały się poprzez poznawanie na odległość coraz to nowych rewelacji z funkcjonowania stalinowskiej techniki terrorku, by osiągnąć apogeum w świetle relacji naocznych świadków radzieckich doświadczeń na ludziach i całych narodach.

Orwell był od początku swego pisarskiego życiorysu i chyba mimo bolesnych osobistych doświadczeń, do końca swych dni przekonany socjalistą. Stał jego ambiwalentny stosunek do własnego kraju zawierający tak skrajnie różne postawy jak wydawanie patriotycznych odezw w latach I wojny światowej, radykalne potępienie brytyjskiego kolonializmu po pobycie w Birnie w początku lat 30-tych (w autobiograficznie umotywowanych "Burmese Days"), lewicowa krytyka angielskiego kapitalizmu w "Down and Out in Paris and London" i wreszcie znów patriotyczna dumna z własnej (choć kapitalistycznej) ojczyzny w latach Bitwy o Anglię (czemu dał wyraz m.in. w "England Your England"). Jego epizod hiszpański był właśnie objawem poszukiwania właściwego miejsca w świecie zmieniających się wartości, które coraz bardziej zamieniały się w walczące ze sobą ideologie. Orwell nie znał pewnie bardzo charakterystycznego wezwania innego pisarza, walczącego zresztą w Hiszpanii po tej samej stronie. Był nim arystokrata z pochodzenia a komunista z przekonania Ludwig Renn, który wyrzekł na II Międzynarodowym Kongresie Pisarzy w roku 1937 w walencji znamienne słowa: "Ty, pisarze i żołnierze frontowi ... nie chcemy już więcej pisać historii, my - chcemy ją robić". Po to pojechał Orwell do Hiszpanii. Tylko że komunista Renn, jak wielu zresztą jego rodaków wówczas - dziennikarzy, pisarzy, funkcjonariuszy KPD i zwykłych robotników - znalazł się w republikańskiej Hiszpanii na rozkaz i przy pomocy Kominternu. Był od początku zdyscyplinowanym żołnierzem swojej partii, komisarzem Brygad Międzynarodowych, funkcjonariuszem w

mundurze. Trudno powiedzieć w tym wypadku na ile zadziałała partyjna dyscyplina (i brak innej alternatywy - ziemia w III Rzeszy paliła się takim jak on pod nogami), a co w tym kroku było wynikiem rzeczywistego bojowego idealizmu.

Ochotnik Orwell wyruszył do Hiszpanii jak gdyby prywatnie, powodowany imperatywem walki z groźbą faszyzmu, w którym wówczas musiał upatrywać głównego wroga swej humanistyczno - socjalistycznej wizji świata. Tego drugiego jeszcze nie znał, ale wkrótce miał poznać i to na własnej skórze. W grudniu 1936 roku, kiedy w koszarach Lenina w Barcelonie zapisał się do milicji POUM (Robotniczej Partii Zjednoczenia Marksistowskiego) - według kryteriów radzieckich partii trockistowskiej) jego drugi, a właściwie rychło już jedyny wróg ludzkości, Związek Radziecki, był jeszcze ojczyzną światowego proletariatu i jego nadzieją. Był wielkim Bratem bez ujemnych konotacji. Doświadczenia hiszpańskie Orwella opisane później w książce "Hołd dla Katalonii" i w licznych artykułach, pokazują proces utraty iluzji co do prawdziwego oblicza komunizmu w jego najczystszej, stalinowskiej postaci, choć przeniesionej na grunt hiszpański. Orwell przybył do Katalonii z poleceniami od socjalistycznej Niezależnej Partii Pracy, walczył w oddziałach hiszpańskich komunistycznej POUM, mimo to stał się wkrótce wraz z tysiącami innych, ofiarą walk międzypartyjnych. Rewolucja hiszpańska, silnie sterowana z Moskwy, zaczęła powtarzać wszystkie na pierwszy rzut oka bezsensowne konwulsje swojego rosyjskiego pierwowzoru. W Barcelonie, tym robotniczym Petersburgu Hiszpanii, komuniści z POUM mający rzeczywiste poparcie rzesz robotniczych a zwłaszcza potężnych związków zawodowych, współzrządzili krajem i kierowali walką obok dwóch innych partii, początkowo równorzędnych: anarchistów i sterowanych przez stalinowski Komintern ortodoksyjnych komunistów z PSUC. Już jednak na początku 1937 roku i autonomia Katalonii i jej autentycznie robotniczo - ludowy charakter stały się obiektem ataku z centrum republiki. A madyrkie centrum pod wpływem Wielkiego Brata nie chciało władzy dzielić z nikim. Rewolucja zaczęła więc pożerać własne dzieci, jak w dniach Kronsztadtu w Rosji i jak w Monachium w okresie bawarskiej Republiki Rad. Dominująca początkowo w Katalonii komunistyczna, ale nie promoskiewska POUM jako najgroźniejszy konkurent do władzy została więc ogłoszona wrogiem rewolucji, a wraz z nią wszyscy jej członkowie i sympatycy. Orwell starał się już wtedy o przeniesienie do oddziału angielskiego w Brygadach Międzynarodowych. Łudził się pewnie, że frakcyjny terror to specyfika wewnątrzhiszpańska, choć przejęta ze wzorów rosyjskich. Jego partię oskarżono tymczasem o otwarcie o zdradę na rzecz Franco a członków zaczęto terlić fizycznie. Po walkach ulicznych w Barcelonie wiosną 1937 roku jasne już stało się, że hiszpańską rewolucję mają prawo reprezentować tylko komuniści-stalinowcy i ich protektor - Komintern opanowany całkowicie przez Józefa Wissarionowicza. Orwell wrócił więc, już jako oficer, na front od swej starej jednostki i tam 20 czerwca został ciężko ranny. Kiedy po rekonwalescencji znalazł się w Barcelonie, POUM była już zdelegalizowana, a on sam, jako żołnierz jej oddziałów, stał się ściganym przez rządowo-republikańską policję "zdrającą sprawy rewolucji". Tyko dzięki panującemu nawet w tym aparacie bałaganowi udało się Orwellovi zmylić ślady i 23 czerwca 1937 przekroczył szczyśliwie granicę francuską. Był wyleczony z komunistycznego romantyzmu walki, co nie znaczy, że także z socjalizmu jako humanistycznej idei przyszłości. Szok praktyki był jednak silny, a miały do niego dojść już wkrótce niemniej szokujące doświadczenia innych - już bezpośrednio z ojczyzny proletariatu.

Orwell opisuje w swoich hiszpańskich wspomnieniach niektóre -bardzo

dla obrazu życia w systemie totalitarnym charakterystyczne - przeżyte które następnie w formie drastycznie realnej pojawiają się w "1984". "Wspomnieniach z wojny w Hiszpanii" wszechobecne są na przykład wrażenia zmysłowo-estetyczne, które można określić jako przygnębiające niedbanie i bylejakość: podłe położenie, odziane w obszarpane spodnie milicjantki, przepiękne latryny, odrzucające zaniedbane pomieszczenia bezładnie szaroszarego wszystkiego wokół. Iprawdą jest autor usprawiedliwio to wszystko trwającą wojną domową, ale wrażenie pozostało tak silne w "1984" etanowi wręcz jedyny składnik charakterystyki estetycznej siunizowanej Anglii. I tam otaczają Winstona Smitha zapachy ordynarny potraw, walące się rudery, zuniformizowana szarość potęgująca nadzę i zystancji ludzi skazanych na śmierć czy później na "wyparowanie". Z ta programową bylsjakością systemu totalitarnego współgra zaobserwowana także już w Hiszpanii przejawy natrętnej a dążącej do monumentalności propagandy: opadające tynki i wojenne grzyby zastąpiła się ogromnymi hłami i portretami wodzów. Również mechanizmy kreowania wrogów a potę i cigania ich poznał Orwell w hiszpańskiej republice. "drogiem ludu jest ter, kogo za taki to uważa "partia wewnętrzna". Żadne dyskusje ideologiczne z tak zdefiniowanymi wrogami nie są już konieczne. Metoda jest ta, której ofiaromal nie padł w 1937 roku autor "1984": zaoczne skazanie na miano "wroga ludu" i policyjne sciganie zakorchone postawieniem przed ścianą. Ta wizja systemu policyjnego i zwalczania "zbrodni myśli" przedstawiona w "1984" nosi już zresztą piętno dalszych, późniejszych początków wiści płynących z obu państw totalitarnych tego czasu. W tym celu, do przysających relacji uchodzących opisuujących codzienność w Hiszpanii, zachodnia pełna, oraz w późnych latach trzydziestych emigrantów z Niemiec, zwłaszcza pisarzy i intelektualistów, którzy do czasu upadku Francji latem 1940 roku mieli względnie dobre możliwości publikowania swoich impresji i prognoz. Silnymi ośrodkami emigracyjnymi były Paryż i Amsterdam, a i w Hiszpanii znalazła się spora grupa dziennikarzy i pisarzy antyfaszystowskich z Niemiec. Praktyka wszechwładzy tajnej policji, ciężącej nad każdym krokiem Winstona Smitha w "1984", ma wiele cech wspólnych z rolą Gestapo w hitlerowskim systemie państwowym, o której głośno było w liberalnej Europie już przed wybuchem wojny. Mniej jednoznaczne i sprawzone, za to bardziej niewiarygodne dla ludzi myślących kategoriami europejskiego chrystianizmu musiały być fragmenty czystki, których replikę znajdujemy także w "1984" dokonanej się wszak już w latach trwania wojny hiszpańskiej. "Art, że Orwell mógł mieć jednak brać udział z całym rewolucyjnym idealizmem angielskiego socjalisty, świadczyby więc o dość szczelnej jeszcze wtedy barierze informacyjnej, a z drugiej strony o braku relacji naocznych świadków tych makabrycznych rewelacji. Do tego dochodziła znasowana propaganda prowadzona kanałami Kominternu i przedstawiająca procesy moskiewskie jako politycznie uzasadnioną i jurystycznie poprawną akcję oczyszczania szeregów partyjnych z rzeczowistych szkodników i szpiegów. Ani faktycznie rozmiary czystek, ani mechanizmy łamania tych domniemych "wrogów ludu" nie było znane zachodniej opinii publicznej przynajmniej do końca II wojny światowej. Na tkumieniu tych pogłosek zaczęło od czerwca 1941 roku zależeć także i rządowi zachodnim - wielki sojusznik na Wschodzie był bardzo drażliwy na punkcie swojego honoru. Ścisłą barierą informacyjną wokół nasowych zbrodni systemu totalitarnego i osobście Stalina mogły przełamać dopiero tysiące naocznych świadków, które znalazły się w Anglii po zakończeniu wojny. Byli nimi polscy żołnierze II Korpusu i ich rodziny, którym udało się opuścić Związek Radziecki i rozwią-

wreszcie mity o wujku Joe i jego państwie. A i to nie od razu. Był on przecież ciągle jeszcze sojusznikiem. Takie oczywiste dowody imperialnego - totalitarnej polityki ZSRR jak podział Polski we wrześniu 1939 roku, napaść na Finlandię, zabór części Rumunii i wszystkich państw nadbałtyckich budziły wprawdzie wewnętrzne sprzeciw polityków zachodnich. Racja stanu nakazywała jednak tłumić wiadomości o nich w imię wspólnej walki z bliższym narażeniem i groźniejszym wrogiem. Dopiero słynna mowa Winetona Churchill'a w Fulton w 1946 roku zapoczątkowała okres demaskowania i rzeczywistego oblicza niedawnego alianta. Wtedy dopiero opinia publiczna Zachodu dowiedziała się o deportacji całych narodów na długie tereny syberyjskiej Północy i Azji Środkowej, o systemie pracy niewolniczej na wielkich budowach komunizmu, o tysiącach obozów i milionach pomordowanych i zgładzonych. Wspomnieniowie powieści Wata, Herlinga-Grudzińskiego i Miłosza, zapiski bezimiennych polskich autorów literatury faktu dotyczące rzeczywistości radzieckiej były więc tym realnym materiałem światła przyszłości. Nie chciałbym tu patriotycznie przeceniać roli naszych uchodźców w gromadzeniu wiedzy o ZSRR w społeczeństwie zachodnioeuropejskim, brak zresztą na ten temat (przynajmniej w kraju) danych literacko - statystycznych. Jednak już sama wiedza o liczbowych rozmiarach uchodźstwa polskiego na Zachodzie, którego grosz przeszło przez radzieckie obozy i zsyłki, pozwala z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, że wiele realiów z ich wojennej odysei było dla Orwella dobrym materiałem poglądowym. W warstwie psychologicznej takim materiałem była "Ciemność w południe" Artura Koestlera, do której zresztą Orwell napisał przedmowę. Wszystkie te realia z Wata, Grudzińskiego, Koestlera i innych mniej znanych znajdujemy wplecione w akcję i scenariusz "utopii", jaką w gruncie rzeczy nie jest "1984". Od wawów Wiktoria Brata na jego monumentalnych portretach, poprzez totalność nadzoru policyjnego, perfidie i pozorną nielogiczność wszechobecnej propagandy aż po niuanse łamania umysłów i charakterów - wszystko co znajdziemy w "1984" jest przerobionym materiałem autobiograficznym autora: o Hiszpanii po spotkaniu z kombatantami Andersa i ich rodzinami, "Przewrotną utopią" - a to w celu ostrzeżenia - jest tylko geograficzne przedstawienie Polwarku Zwierzęcego i Pasa Lotniczego Nr 1.

Gai

DLACZEGO PISZĘ

Cd wczesnego dzieciństwa, może już w wieku lat pięciu czy sześciu czułem, że gdy dorosną, powinienem zostać pisarzem. Mniej więcej między siedemnastym a dwudziestym czwartym rokiem życia usiłowałem tę drogę porzucić, ale czyniłem to ze świadomością, iż zadaję gwałt mojej prawdziwej naturze, i że prędzej czy później zabiore się do pisania książek.

Byłem średnim synem z trójki rodzeństwa, ale zarówno od starszego jak młodszego dzieliło mnie pięć lat różnicy. Ojca prawie nie widywałem od ósmego roku życia. Był to jeden z powodów, dla którego czułem się nieco samotny i szybko nabrałem niemiłych manier, które uczyniły mnie niepopularnym w czasach szkolnych. Miałem typowy dla osamotnionych dzieci zwyczaj układania różnych historyjek i prowadzenia całych rozmów ze zmyślonymi osobami. Pewnie już od tego momentu poczynałem moje ambicje literackie powiązane były z poczuciem izolacji i niedoceniaenia. Wiedziałem, że mam tak zwaną "łatwość słowa" oraz siłę wewnętrzną umożliwiającą znoszenie nieprzyjemnych zdarzeń. Czułem, że stworzyłem rodzaj prywatnego świata, w którym mógłbym odgrywać się za porażki codziennego życia. Mimo to poważne - to znaczy zamierzone jako poważne - utwory, które pisałem przez cały okres dzieciństwa i podrastania, nie zajęłyby pewnie pół tuzina stron. Mój pierwszy wiersz, napisany gdy miałem cztery czy pięć lat, zapisała pod dyktando moja matka. Nie pamiętam z niego prawie nic oprócz tego, że był o tygrysie, i że ów tygrys miał "krzesłokrształtne zęby"; dobre sformatowanie, ale podejrzewam, że wiersz był plagiatem "Tygrysie, tygrysie" Blake'a. W wieku lat jedenastu gdy wybuchła pierwsza wojna światowa popelnilem patriotyczny wiersz, który został wydrukowany w lokalnej gazecie, podobnie jak inny, na okoliczność śmierci Kitchenera, dwa lata później. Od czasu do czasu, gdy byłem trochę starszy, pisywałem niedobre i zazwyczaj nieukończone "wiersze o naterze" w stylu gregoriańskim. Usiłowałem także, dwukrotnie chyba, napisać nowelę, co kończyło się paskudnym fiaskiem. To by było chyba wszystko z "poważnych" utworów przelanych na papier przez te wszystkie lata. A jednak, właśnie w tym czasie w pewnym sensie zaangażowałem się w działalność literacką. Przede wszystkim były to pisane na zamówienie utwory które układałem szybko, łatwo i bez większej przyjemności. Oprócz prac szkolnych pisałem "vers d'occasion", wiersze pół żartem pół serio, produkowane z szybkością z którą dziś uznałbym za zdumiewającą.

W wieku lat czternastu napisałem całą rymowaną sztukę, imitację Arystofanesa, mniej więcej w ciągu tygodnia - i pomagałem w redagowaniu szkolnych gazetek, tych drukowanych i wydawanych w rękopisie. Te gazetki były najbardziej pożałowania godną burleską, jaką możecie sobie wyobrazić, a martwiłem się o nie o wiele mniej niż robiłbym to dzisiaj z powodu najmarniejszej publicystyki. Przy tym wszystkim przez piętnaście lat to układanie długiej historyjki o sobie samym rodzaj dziennika istniejącego tylko w wyobraźni.

Częsty to obyczaj dzieci i подростков. We wczesnym dzieciństwie wyobrażałem sobie, że jestem Robin Hoodem, i przedstawiałem siebie jako bohatera mrozących krew w żyłach przygód, ale wkrótce moje opowiadanie przestało być narcystyczne w aż tak dosłowny sposób. Coraz bardziej stawiało się raczej opisem tego, czego dokonałem i co wiedziałem. Czasem przez parę minut takie zdania potrafią przemycać mi przez głowę: "Pchnął drzwi i wszedł do pokoju. Żółty promień słońca przefiltrowany przez muslinowe firanki ułożył się ukośnie na stole, gdzie obok kałamarza leżało na pół otwarte pudełko zapalek. Z prawą ręką w kieszeni podszedł do okna. W dole na ulicy, cętkowany kot polował na uschnięty liść", itd. itd. Ten zwyczaj kultywowałem aż do lat prawie dwudziestu pięciu, przez cały mój nie-literacki okres życia. Chociaż zmuszony byłem szukać i szukałem odpowiednich słów, wyglądało na to, że dokonuję tego wysiłku wbrew mojej woli, jakby pod naciskiem z zewnątrz. Opowiadanie, jak sądzę, mu-

siało odzwierciedlać style rozmaitych pisarzy, jakich podziwiałem w różnych okresach, ale z tego co pamiętam, zawsze miało cechę przerafinowanego w szczegółach opisu.

Gdy miałem zenaście lat, odkryłem nagle czar samych słów, to znaczy grę dźwięków i związków słownych. Wersy z "Raju utraconego", które teraz nie wydają mi się tak fantastyczne, przyprawiły mnie o dreszcze. Wszystko już wiedziałem o stylu. Jasne więc jest, jakiego rodzaju książki chciałem pisać, i o ile można mówić o chęci pisania książek w owym czasie, chciałem tworzyć ogromne naturalistyczne powieści o nieszczytliwych zakończeniach, pełne drobiazgowych opisów i obrazowych porównań, ozdobników, gdzie dźwięk słów byłby podstawą ich doboru. I rzeczywiście moja pierwsza ukończona powieść "Dni birmieńskie", napisana gdy miałem lat trzydzieści, ale zaplanowaną znacznie wcześniej, pewnie można zaliczyć do tego rodzaju książek. Podaję te wszystkie informacje dotyczące mego życia, ponieważ nie wierzę aby można było właściwie ocenić pisarza bez znajomości wczesnego okresu jego rozwoju. Przedmiot jego pisarstwa jest zdeterminowany przez czasy, w których żyje - a przynajmniej tak się dzieje w epoce tak pełnej zamieszania i tak rewolucyjnej jak nasza - ale zanim zaczynam o w ogóle cokolwiek pisać, posiada już ustalony emocjonalny stosunek do świata, od którego już nigdy całkowicie się nie wywołam. Jego zadaniem jest, z całą pewnością, prowadzenie pewnej dyscypliny wewnętrznej, uniknięcie zatrzymania się na którymś szczeblu niedojrzałości albo pozostania w jakimś perwersyjnym nastroju; ale jeżeli odejdzie on w ogóle od motywów swojej wczesnej twórczości, zabije w sobie impuls pisania. Obok konieczności zarabiania na życie, jak mi się wydaje, cztery ważne motywy pisania, w każdym razie pisania prozy. Stopień ich ważności jest różny u różnych autorów, a w dodatku proporcje bywają u każdego z nich różne w różnych okresach, zależnie od tego w jakiej atmosferze ów człowiek żyje. Oto one:

I. Czysty egoizm. Pragnienie okazania się kimś inteligentnym, kimś, o kim się mówi, o kim się będzie pamiętało po jego śmierci; pragnienie policzenia się z dorosłymi ludźmi, którzy kiedyś w dzieciństwie nas upokorzyli... itd., itd. Bzdura jest stwierdzenie, że to nie jest motyw i to mocny. Pisarze dzielą tę cechę z naukowcami, artystami politykami, prawnikami, żołnierzami, dobrze prosperującymi businessmenami, a więc z całą śmietanką ludzkości. Szerokie masy społeczeństwa w zasadzie nie są egoistyczne. Przekroczywszy trzydziestkę porzucają ambicje indywidualne - w wielu przypadkach tracą poczucie indywidualności zupełnie, i bądź żyją przedgłównie dla innych, bądź są zupełnie przytłoczeni kieratem codzienności. Ale istnieje także mniejszość utalentowanych ludzi wiedzających czego chcą, zdecydowanych przeżyć swoje życie aż do końca, i do tej właśnie grupy należą pisarze. Pisarze serio, powinnienn zeznaczyć, są w ogóle bardziej próżni i zafascynowani sobą niż dziennikarze, chociaż mniej zafascynowani pieniędzmi.

II. Entuzjazm estetyczny. Percepcja piękna świata zewnętrznego albo, w innym przypadku, słów i ich porządku. Przyjemność płynąca z gry nakładających się dźwięków, stabilności dobrej prozy czy rytmu dobrego opowiadania. Pragnienie dzielenia z kimś tego, co się przeżywa, jest wartościowe i nie należy go pomijać. Motyw estetyczny jest bardzo słaby u wielu pisarzy, ale nawet pamfleciarz czy autor podręczników ma swoje ulubione słówka i frazesy, które przemawiają do niego z nie-utilitarnych powodów, może też być on wrażliwy na topografię, szerokość marzencsu itp. już od poziomu kolejowego rozkładu jazdy książka nie jest absolutnie wolna od estetycznych ambicji.

III. Impuls historyczny. Pragnienie widzenia rzeczy takimi jakie są, szukanie prawdziwych faktów i zachowania ich na użytek przyszłych pokoleń.

IV. Cel polityczny-rozumiejąc słowo "polityczny" jak najszerszej. pragnienie pchnięcia świata w określonym kierunku, zmieniania modeli społecznych, do których dążą inni.

I znoma żadna książka nie jest absolutnie wolna od tych inklinacji. Pogląd, że sztuka nie ma żadnego związku z polityką jest już poglądem politycznym.

W widoczny sposób te różne impulsy walczą ze sobą, przepływając z osoby na osobę, z epoki na epokę. Z natury, rozumiejąc "nature" jako stan osiągnięty wraz z dojrzałością, jestem osobą w której pierwsze trzy motywy zdecydowanie przerastają czwarty. W spokojnych czasach mógłbym pisać kwieciste i czyste opisowe książki, pozostając nadal nieświadomym moich politycznych związków. W rzeczywistości zostałem zmuszony do zostania czynnym w rodzaju pamphletysty.

Najpierw pracowałem przez pięć lat w nieodpowiadającej mi profesji /Indyjska Imperialna Policja w Birnie/, a potem doświadczyłem biedy i poczucia zawodu. To zwiększyło wrodzoną nienawiść do władzy i sprawiło, że po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z istnienia czegoś takiego jak klasa pracująca, praca w Birnie zaś pozwoliła mi zrozumieć naturę imperializmu. Te doświadczenia nie były jednak wystarczające dla przyjęcia określonej orientacji politycznej. Potem był Hitler, wojna domowa w Hiszpanii itd. Pod koniec 1935r. ciągle nie mogłem się zdobyć na decyzję /.../

Wojna w Hiszpanii i inne wydarzenia lat 1936-37 przeważały szalenie i odtąd wiedziałem już gdzie należeć. Każda linijka każdego poważnego utworu jaki stworzyłem od 1936r. była napisana pośrednio lub bezpośrednio przeciwko totalitaryzmowi i za demokratycznym socjalizmem, jak rozumiałem. Wydaje mi się nonsensem myśleć, że można omiąć te tematy żyjąc w takiej epoce jak nasza. Każdy pisze o nich w ten czy inny sposób. Pozostaje tylko kwestia wyboru strony w której się staje i metody podejścia do problemu. Im bardziej ktoś jest świadomy własnych inklinacji politycznych, tym większe są jego szanse na oddziaływanie polityczne bez poświęcania wartości estetycznych i intelektualnych. W ciągu ostatnich dziesięciu lat próbowałem połączyć dwie wartości: pisarstwa politycznego ze sztuką. Moim punktem wyjścia było zawsze uczucie solidarności i poczucie niesprawiedliwości. Kiedy zamierzam napisać książkę, nie mówię sobie "chcę stworzyć dzieło sztuki". Piszę, bo chce ujawnić jakieś kłamstwo, zwrócić uwagę na jakieś fakty, i zainteresowany jestem głównie uzyskaniem oddźwięku. Ale nie mógłbym napisać książki ani nawet dłuższego artykułu, gdyby nie były one dla mnie także doświadczeniem artystycznym. Każdy kto zadałby sobie trud zanalizowania moich utworów zauważyłby, że nawet jeżeli jest to niemądre że sama propaganda, zawiera ona wiele elementów, których profesjonalny polityk nie uważa za potrzebne. Nie jestem w stanie i nie chcę odrzuć spojrzenia na świat ukształtowanego jeszcze w dzieciństwie. Jak długo będę żył i cieszył się dobrym zdrowiem, będę wrażliwy na styl, prozę, będę kochał Ziemię, cieszyć się przedmiotami i ułamkami bezużytecznej informacji.

Znaniem moim jest połączenie moich wrodzonych sympatii i antypatii z działalnością nie na poziomie społecznym, nie indywidualnym, do której namusza nas nasza epoka. To nie jest łatwe. Istnieją problemy związane z konstrukcją językiem, a także pojawia się w nowym świetle problem prawdy. Pozwolił sobie przytoczyć jeden przykład ilustrujący podstawowe trudności, z jakimi się stykamy. Moja książka o wojnie w Hiszpanii "Hoid dla Katalonii" jest oczywiście utworem politycznym napisanym nie bez troski o formę. Słuchałem się bardzo powiedzieć całą prawdę bez tłumienia moich instynktów literackich. Między innymi zawiera ona dziesiątą część cytatów z gazet itp. broniących trockistów oskarżonych o spiskowanie z Franco. Oczywiście ten rozdział po upływie roku czy dwóch nie wzbudzi zainteresowania przeciętnego czytelnika i zrujnuje kompozycję książki. Krytyk ciesząc się moim poważaniem zrobił mi cały wykład na temat "Dlaczego wpakowałeś te wszystkie?" - zapytał. "To, co mogło być dobrą książką obróciłeś w dziennikarstwo". Wiedziałem to, o czym wiedzieć mogło bardzo niewiele osób w Anglii - że niewinni ludzie zostali fałszywie oskarżeni. Gdybym nie był tym faktem poruszony, nigdy nie napisałbym owej książki.

Ciągle te sprawy powracają - problem języka jest subtelny i dywagacje na ten temat zabrzałyby zbyt wiele miejsca. Powiem tylko, że ostatnio próbowałem pisać bardziej precyzyjnie, mniej obrazowo. W każdym razie deszedłem do wniosku, że gdy doprowadza się jakiś styl do perfekcji uważa się, że się z niego wyrosło.

"Folwark zwierzący" był pierwszą książką w której próbowałem z całą świadomością tego co robię, połączyć polityczne i artystyczne cele w jedną całość. Od siedmiu lat nie napisałem żadnej powieści, ale mam nadzieję, że niedługo napiszę jakąś. Bedzie ona porażką, jak każda książka jest porażką, ale przynajmniej wiem w miare jasno jakiego typu powieść chcę napisać.

Przejrzawszy ostatnie dwie strony widzę, że przedstawiłem wszystko tak, jak by motywy mojego pisarstwa miały wyłącznie podłoże społeczne. Nie chciałem pozostawić takiego wrażenia. Wszyscy pisarze są próżni, samolubni i leniwi, a prawdziwe przyczyny, dla których piszą są zawsze tajemnicą. Pisanie książki jest potworną, wyczerpującą walką, jak długi atak bólu. Nigdy nikt nie podjąłby się tego, gdyby nie był skuszony przez demona, którego ani zrozumieć, ani odepędzić nie można. Wszystko co wiemy, to to, że ów demon jest tym samym instynktem, który każe dziecku krzyczeć dla zwrócenia na siebie uwagi. Prawda jest również, że nie można stworzyć niczego nadającego się do czytania bez walki o zmniejszenie wpływu swojej osobowości na utwór. Dobra proza jest jak tafla szkła w oknie.

Nie mogę stwierdzić z absolutną pewnością, który z moich motywów był najważniejszy, ale wiem, który z nich będzie ciągle aktualny, bo wiem oceniając swoje książki, że napisane bez motywu politycznego, widzę, że są one bez życia, bez znaczenia, są generalnie rzecz biorąc oszukanstwem.

[1947]

/Tekst opublikowany w "Pulsie" 1981, nr 11-12/ /Tłum. Anna Przestrzelska/
Przedruk za George Orwell, Eseje (wybór), Londyn 1985

TOTALITARYZM



Wojna domowa w Hiszpanii.
Orwell drugi od prawej.

„Mistycyzm okrucieństwa”
 „Zgroza czy trwoza?”

TRZY
 ZDRADY
 WINSTONA SMITHA

Oczywiście, "Rok 1984" G. Orwella można odczytać tak, jak to uczynił Isaac Deutscher w artykule, od którego został częściowo zapożyczony tytuł tego paragrafu. Autor sugeruje, że Orwell swoją utopią włączył się do zimnej wojny, a jego celem było podsyćanie wrogości do Wielkiego Brata z pozycji fanatyka. Z tą też myślą przedstawia wyrafinowane opisy okrucieństwa, zarówno fizycznego jak psychicznego, które mają przywołać do porządku jedynego zbuntowanego mieszkańca Oceanii, Winstona Smitha. Żeby jeszcze głębiej zdemaskować "skryte zamysły" Orwella, Deutscher powołuje się na pewną sytuację biograficzną. Istotnie, "Rok 1984" był pisany w okresie, gdy w pisarzu "miał on ostatni gorączkowy płomień życia".

Być może obydwie te okoliczności odegrały jakąś rolę. Ale sprowadzenie do nich wymowy "Roku 1984" jest chyba nieuproszczeniem, dokonany przecież także z jakiejś pozycji ...

Z jednym wszakże wypada się zgodzić. Mianowicie z tym, że Deutscher nie traktuje na serio utopijnego charakteru tej książki, jakkolwiek stara się obniżyć jej oryginalność przez wskazanie na takie wzory jak "My" Zamiatina, czy "Nowy Wspaniały Świat" Huxleya. W swym zacietrzewieniu zapomina jednak o konsekwencji: raz wytyka Orwellowi zapożyczenia z ewidentnych utopii, a zarazem potem gromi go za brak realizmu w opisie społeczeństwa ... sowieckiego. W ten sposób stawia kropkę nad "i". Sam Orwell przecież umieścił swoich bohaterów w pejzażu angielskim, nadając im także niezbyt typowe rosyjskie imiona: Winston, Julia, O'Brien. Uwielbiamy chętnie Deutscherowi, że nie zna on dokładnie geografii, dzięki czemu stał się mimowolnym wyznalczcą nowego typu utopii. Byłaby to mianowicie u t o p i a g e o g r a f i c z n a, polegająca na tym, że zasadniczo trafny i prawdziwy obraz realnie istniejącego społeczeństwa nietrafnie umieszcza się w zgoła innym punkcie globu, aniżeli ten, w jakim ono faktycznie jest usytuowane. Wyetarczy sprostować tę "omyłkę", żeby polemizować z autorem, iż przesadza w opisie jednych realiów, pomija zaś inne. Tak właśnie robi Deutscher, krytykując Orwella iż wypacza obraz "okresu błędów i wypaczeń", co się czyta: okresu wielkich stalinowskich czystek końca lat trzydziestych. Pisze Deutscher z ironią: "Wpatrywał się w drzewa, a raczej w jedno drzewo przed sobą i nie dostrzegł lasu". A przecież nieufność do uogólnień historycznych doprowadziła go w końcu do przyjęcia najstarszego, najbanalniejszego, najbardziej metafizycznego i najbardziej jałowego ze wszystkich uogólnień: wszystkie i c h konspiracje, spiski, czystki i machinacje dyplomatyczne mają jedno jedyne źródło: "sadyistyczną żądzę władzy". Dokonał w ten sposób skoku od przeciwnego, racjonalistycznego zdrowego rozsądku do mistycyzmu okrucieństwa, który przepaja karty "Roku 1984".

Wypada raczej dzisiaj zdziwić się surowemu krytykowi Orwella, który swoją rozprawę pisał wtedy, gdy drzew już było wiele, i nie było o nicu wątpliwości, że tworzą gęsty i ciemny las. Ponadto, gdy na XX zjeździe Oceanii następca Wielkiego Brata, Brat Mniejszy, publicznie ogłosił, że jego zdetronizowany i już martwy poprzednik kierował się wyłącznie sadyistyczną żądzą władzy. Tak więc życie przyznało pośmiertnie dodatkowe punkty "mistrykowi", podczas, gdy "zdrowy rozsądek racjonalisty" został upokorzony. Nawiasem mówiąc, nie ten jedyny raz zdrowy roz-

dek okazał się ślepcem.

W jednym wszakże Deutscher ma rację: gdy twierdzi, że głównym motywem powieści jest okrucieństwo. Jednakże on sam dostrzeża tylko jeden rodzaj okrucieństwa: to groźne, polegające na znęcaniu się nad bohaterami w sposób zamierzony i wyrafinowany, w specjalnych salach tortur, odpowiednio do tego celu wyposażonych.

Ten typ okrucieństwa może rzeczywiście budzić g r o z ę, i takie to niewątpliwie zamierzenie Orwella. Jednakże dzisiejsza popularność roku 1984" nie daje się po prostu wytłumaczyć tym, że przedstawia on szokujące obrazy bestialstwa. Literatura wspomnieniowa byłych więźniów "klasycznych" obozów hitlerowskich, a także - mieszkańców "Archipelagu Łag" dawno zdystansowała pod tym względem wyobraźnię angielskiego gentelmena.

Tym niemniej, jest on mistrzowskim wizjonerem (czy tylko obserwatorem) okrucieństwa c i c h e g o - horroru psychologicznego. Podczas gdy okrucieństwo g r o s n ę, przez swą specyficzną "widowiskowość" może prócz jawnie demonstrowanej odrazy, wywoływać u odbiorcy skrytą satysfakcję (o czym dobrze wiedzą autorzy wszelkich filmów grozy), okrucieństwo c i c h e jednoznacznie wzbudza t r w o g ę.

Różnica między tymi dwoma uczuciami jest taka, że pierwsze prowadzi do jakiegoś katharsis (czytelnik bądź oburza się na oprawców bądź symbolicznie z nimi się utożsamia); drugie natomiast pozostawia go pomieszanemu i przerażonemu. Trwoga jest bowiem ludzką reakcją na takie zdarzenia, które w ogóle nie mieszczą się w znanych kategoriach intelektualnych i moralnych, gdy groźne nie zostaje oswajone...

"Pod rozłożystym kasztanem sprzedałam cię, a ty
sprzedałeś mnie..."

Powyższe słowa, to refren piosenki - przeboju, nadawanego bez przerwy przez głośniki w kawiarni "Pod Kasztanem", gdzie Winston Smith przyjeżdża na dzień z goździkami, gdy już szczęśliwie wyostał się z pokoju 101. Słyszał je już dawniej, w czasach niewinności, kiedy to jeszcze zaczął prowadzić zgnębny pamiętnik. Jednakże dopiero teraz dotarł do niego sens nachalnie powtarzających się zdań. Stało się to możliwe dzięki ostatniej scenie z Julia:

"Gdy wracali trawnikami na przetrą, Julia po raz pierwszy spojrzęła mu prosto w twarz. Było to tylko przelotne spojrzenie, pełne pogardy i niechęci. Zastanawiał się, czy niechęć ta miała swe źródło gdzieś w przeszłości, czy też była wywołana widokiem jego obrzękłej twarzy i zakławionych od wiatru oczu. Usiedli na żelaznych skrzadach, nych krzesłach obok siebie, ale nie nazbyt blisko. Winston widział, że Julia zamierza coś powiedzieć. Wsunęła nogę, obutą w niezgrabny bucik i z rozmysłem nadeptała młodą gałązkę. Jej stopy wydały mu się szersze niż dawniej.

- Zdradziłam cię - powiedziała obojętnie.

- I ja cię zdradziłem - odparł Winston.

- Zdarza się - ciągnęła Julia - że oni grożą ci czymś, czego nie jesteś w stanie znieść, o czym nawet pomyśleć nie możesz ... Wtedy mówisz: nie czyni mi tego. Zrób to komuś innemu, zrób to temu i te-

mu! I choćbyś potem udawał, że to był tylko wybieg, żeś to powiedział tak sobie, na odczepnego, a w gruncie rzeczy tak nie myślałeś. - to to nie jest prawda! Wtedy, kiedy ci groziło niebezpieczeństwo - myślałeś tak, czułeś, że nie ma innego sposobu uratowania samego siebie i byłeś gotowy w ten sposób się uratować. Chciłeś, chciałeś naprawdę przetrwać cierpienia na kogos innego i n cię nie obchodziło, że on się będzie męczył. Chodziło o tylko o siebie samego.

- Tak. Chodziło mi tylko o siebie samego - powtórzył Winston jak echo.

- No i potem - ten drugi człowiek - nie jest już dla ciebie tym, k był przedtem.

- Nie, już nie jest.

Cóż więc jej można było powiedzieć?"

Ta rozmowa to klucz do zagadki "Roku 1984", klucz dotąd niewkorstany w tak licznej przecież literaturze poświęconej tej powieści. Ie przez jej pryzmat spojrzeć na całość książki, jawi się ona jako histoia z d r a d y. Zdrada, jest zaprzeczeniem wierności i obydwa one mają w le obliczu. Orwell pokazuje dwie jej twarze. Przeanalizujmy je na przykądzie głównego bohatera - Winstona.

Poznajemy go jako lojalnego obywatela Oceanii, doskonale funkcjonującego w sprawnej maszynerii, pogodzonego ze swą rolą jednego z tej trybików. Kocha swoją pracę, która polega na obsłudze "grobu pamięci" urzędzenia, które służy do niszczenia niewygodnych informacji z przeszłości w imię hasła "niewiedza jest siłą". Winston do perfekcji opanował podstawową umiejętność wymaganą od każdego z członków Partii Zewnętrznej - umiejętność dwójmyślenia. Potrafi nie strząsnąć się przed otoczeniem ze swymi prawdziwymi odczuciami, umie - tak jak wszyscy - przechytryć wszechobecny teleskran. Taki stan jest tolerowany, pod warunkiem jednak, że dwa tory myślenia: oficjalny i prywatny, nie skrzyżują się ze sobą.

Ale oto zdarza się coś, co sprawia, że nasz bohater przekracza ramy gry. Stało się to w ustronnym miejscu, gdzie przypadkiem znalazł się strzęp gazety ze zdjęciami trzech osobistości, która zostały ogłoszone za zdrajców ojczyzny. Na zdjęciu zaś figurowali jako wybitni do tojnicy - najbliżsi doradcy Wielkiego Brata. Od tej pory Winston zmienia w a g t p i ć. Uświadamia sobie sens swojej pracy, która była podobna rękodkawa realizacji hasła: "Kto kontroluje przeszłość - kontroluje przyszłość, kto kontroluje teraźniejszość - kontroluje przeszłość".

Iluminacja, która nastąpiła w ubikacji, doprowadziła go do poziomu mienia wstrząsającej prawdy: "A jednak przeszłość - choć z natury rzeczy podatna zmianom, nigdy nie była zmieniona. Cokolwiek było prawdą, dziś, było prawdą od wieków. To całkiem proste. Trzeba tylko nie koczającej się serii zwycięstw nad własną pamięcią. Oni swą to "kontrola rzeczywistości", w nowo-mowie odpowiedni termin brami: "dwój-myślenie".

Od momentu, gdy odsłonił się podstawowy mechanizm manipulacji świadomością, której Winston ulegał na zasadzie bezradu, niemożliwy stał się powrót do naiwności. Bohater, jak Adam został wyrzucony z raju ju niewiedzy i skazany na życie w piekle świadomości. I to właśnie była pierwsza zdrada. Adam - Winston zjadł owoc z zakazanego drzewa wiedomości odobrego i złego; a przez to sprzeniewierzył się Bogu: - Wielki mu Bratu.

Rozpętana ciekawość, czym naprawdę jest Oceania, czemu służy Godziny Nienawiści, jakie jest prawdziwe znaczenie przykazań - base: Wojna jest Pokojem, Wolność jest Niewolnictwem, Miewiedza jest Siłą, szcobel po szcobelu prowadzi Winstona do Pieka. Popełnił bowiem grzech śmiertelny z chwilą, gdy odkrył, że $2+2=4$.

Warunkiem szczęśliwości w Oceanii - Paradyzji było bowiem całkowite osiągnięcie całkowitego zniewolenia umysłu, poprzestawanie na dopuszczalnych igraszkach dwój-myślenia. Smith popełnił Zbrodnię Myśli: zaprzęgał na własny rachunek pcznać prawdę.

Dlaczego ta zbrodnia była najciężej karana przez wymiar sprawiedliwości(!) w kraju rządzonym przez Wielkiego Brata? Przecież pobłażliwie traktowano inne słabości członków Partii: alkoholizm, zadawanie się z prostytutkami - co oficjalnie było także wzbronione?

Otóż dlatego, że samodzielne myślenie godziło w dogmaty wiary. Wiara zaś była IDEOLOGIA. Ideologia, która głosiła, że ostatecznym celem społeczeństwa Oceanii, realizowanym przez Partię Wewnętrzną, jest zbudowanie powszechnego szczęścia.

I oto Winston odkrył, że jest wolny od dogmatów. Pojął, że "wolność polega na tym, że wolno stwierdzić, że dwa plus dwa równa się cztery. Jeżeli to wolno, wszystko inne jest już prostą konekwencją".

Od tej pory zaczyna poszukiwać dowodów na potwierdzenie swoich podejrzeń, że wszystko, co do tej pory widział i słyszał, było oszustwem, kłamstwem i pozorem. Kto szuka, ten znajduje: trafia mu do rąk książka Wroga Nr 1 Oceanii, Emanuela Goldsteina, zatytułowana "Teoria i praktyka oligarchicznego kolektywizmu". Jej autor nazywa po imieniu to, co było tylko nieśmiałym domysłem Winstona: że partia ma przed sobą tylko dwa cele: opanować i podbić cały świat oraz zduścić raz na zawsze niezależną myśl ludzką.

To bardzo znaczące: taki właśnie zestaw celów: podbój świata zewnętrznego i podbój własnego społeczeństwa. To drugie jest warunkiem pierwszego. Trzeba oduczyć ludzi stawiania pytań, by zaprząć ich do jednego wspólnego dzieła: poszerzania i pogłębiania Władzy. Komu ma służyć ta totalna władza? Władza ma służyć samej sobie i tego właśnie nikt nie może wiedzieć.

Przez "zbrodniczy" dziennik Winstona Smitha bez przerwy przewija się pytanie: "Rozumiem JAK, nie rozumiem PO CO?". Można przypuszczać, że jest to obsesyjny problem nękający samego Orwella. Jego książki, takie, jak "Rok 1984", czy "Folwark zwierzęcy" dają - niezależnie od świadomej werbalizacji autora - odpowiedź na to pytanie. Państwo oligarchicznego kolektywizmu hołduje jednej i tylko jednej wartości: władzy, która jest dobrem samym w sobie. Nie służy ona społeczeństwu; nie troszczy się ani o proletów, ani o członków Partii Wewnętrznej. Napawa się nią jedynie Partia Wewnętrzna, której głównym zadaniem jest ... utrzymanie tej władzy. Dzięki niej można urządzić swoje gabinety w stylu zniechędzonej Eurazji i pić prawdziwy dżin. I to wszystko? Tak, to prawie wszystko przy dość ograniczonych apetytach konsumpcyjnych ascetycznego etapu oligarchicznego kolektywizmu. Plus jeszcze jeden drobiaz: poczucie siły płynące ze świadomości, że w s z y t k i m można r o z - k a z y w a ć w s z y s t k o .

I oto tę prawdę, przykrytą szczelną maską ideologii i frazeologii

mógł nieopatrznie zdemaskować docieklivy Winston. Prawdą, zastrzeżona dla wąskiego grona wybrańców, którzy zresztą sami przed sobą też jej nie wypowiadali. Ktoś, kto zdecydował się odstąpić jej rąbek, choćby na użytek współtowarzyszy, skazywał się na los Goldsteina, któremu w teleekranie codziennie urządzano "dwie minuty nienawiści". Ale nie odległy renegat był właściwym ich adresatem. Zbiorowa histeria miała mieć funkcję wychowawczą: przestrogi dla każdego, kto chciałby wstąpić w jego ślady. Ponadto podsyćcie wrogości, wyzwalać najniższych instynktów powinno przeciwdziałać myśleniu. Ideałem jest społeczeństwo, w którym jakakolwiek refleksja nie mogła by się w ogóle pojawić. Inteligencja - owszem, ale tylko jako sztuka wykorzystywania bądź przechytrzenia narzuconych ogólnie reguł gry.

Pierwsza zbrodnia Winstona polegała na wewnętrznym wyłączeniu się z tej gry, po to, by poznać jej reguły. Lecz w ślad za nią przyszedła zbrodnia naetępna, i to już - nie do wybaczenia. Bohater pierwszej części książki: Winston-Adam, w drugiej części przekształca się w Winstona - Romea. Pojawia się Julia i rodzi się między nimi miłość.

Zbrodniarz myśli zostaje ponadto zbrodniarzem serca. Kocha Julię zgniłym, przedrewolucyjnym uczuciem, a to rodzi kolejne przestępstwa: dwojgu kochankom otwierają się nagle wszystkie zmysły: nagle dostrzegają całą ponurość, brzydotę i tandetę koszarowej rzeczywistości i próbują od niej uciec. Wywiedziony przez Julię ukradkiem do prawdy i w ego, wolnego ptaka; odkrywa, że istnieją kwiaty, dla których nie umie znaleźć w swym słowniku nazwy. Julia przebiera się w kobiecą strój i z narażeniem życia zdobywa naturalną kawę. Scena picia tej kawy - to powrót do zapomnianego ożwioczenia. Miłość sprawia, że spłaszczony do funkcjonalności świat odzyskuje wszystkie swoje wymiary. Powraca nawet świadomość przeszłości, pod postacią bezsensownej szklanej kul z wtopionym w środku korałem i tekstem zabawnej, lecz niezrozumiałej piosenki o tym, jak biją dzwony w różnych kościołach. A każdy z nich śpiewa co innego:...

Winston, zdradzając Partię z Julią, uczy się nowej wierności. Dotąd znana mu była tylko jedna - wierność ideologii. Nie wymagała ona bynajmniej dla siebie miłości, lecz tylko - bezwzględnej lojalności. Miłość do kobiety angażuje Winstona w całości. Dzięki niej budzi się w Winstonie pragnienie walki o własną, zdobytą przez samego siebie prawdę. Bohater trafia na ślad wyrotowej organizacji, zapisuje się do niej i zaprzysięga wierność nawet za cenę życia.

Zdrada myślowa i uczuciowa dopełnia się przez zdradę czynną, praktyczną. Winston dalej już pójść nie może: dokonaj TOTALNEJ ZDRADY wobec Wielkiego Brata. Jednocześnie - odnalazł siebie samego i innego, bliskiego człowieka. Teraz im pragnie dochować wierności. Dlaczego więc płacze, słuchając piosenki w kawiarni "Pod Kasztanem"?

Kto jest głównym bohaterem "Roku 1984"?

Do tej pory zajmowaliśmy się losami Winstona Smitha, tak, jakby to jego postać była centralną w Orwellowskiej powieści. Takie wrażenie narzuca się zresztą przy nieuważnej lekturze. Lecz przeczytajmy książkę po raz wtóry. Wówczas okaże się, że Winston w tym stopniu jest jej bohaterem, w jakim jest nim mucha zaplątana w pajęczą sieć.

Z chwilą, gdy Winston decyduje się na działanie rewolucyjne (w nowo-nowid: kontrrewolucyjne), pajak dopada swej ofiary. Uosobieniem Losu w Oceanii jest O'Brien, "człowiek o brutalnych rysach, ale nieuchwytnym wdziaku", któremu Winston zaufa i za którego pośrednictwem przyłączył się do rzekomej organizacji. O'Brien, jak się okazało, od samego początku wiedział o buncie Smitha i dyskretnie nim sterował. Nawet nieprzewidziane zdarzenie: miłość do Julii, okazało się być mu na rękę.

Gdy zdecydował się zamknąć pułapkę i skończyć zabawę, dysponował bowiem dodatkowym narzędziem, by nawrócić odszczepieńca na Prawdziwą Wiarę. To, czego nie dokonał fizyczny ból w legendarnym pokoju tortur - moralnego załamania - udało się osiągnąć przy pomocy szantażu. Wtrącony do piekła, tym razem - bez przenośni - Winston-Orzeusz zaparł się swojej Eurydyki. Romeo zaprzedał Julię, a Julia - zaprzedała Romea. Dzięki temu obydwójce przeżyli i dzięki temu - obydwójce umarli.

Przeżyli biologicznie i nawet mogli już swobodnie i bez nadzoru spotykać się pod rozłożystym kasztanem. Mieli jednak sobie do powiedzenia jedynie te słowa: "sprzedadaś siebie, a ty sprzedajesz mnie".

Czy jednak ta piosenka nie powinna mieć następnego zwrotki: "sprzedadaś siebie i ty sprzedajesz s i e b i e"?

Winston, kiedy uwolnił się w pierwszym etapie swojej duchowej ewolucji, od nakazów ideologii, tym samym odkrył innego prawodawcę: własne intelektualne i moralne sumienie. Ciężar jednak okazał się ponad jego siły. Pierwsza, ale za to drastyczna próba, na jaką wystawił go O'Brien wykazała, że wolność dla nienawykłych remion jest nie do uchwycenia. Dwa plus dwa przestało się równać catary. Wywołony na chwilę rozum wrócił w utarte koleiny dwójmyślenia. A może serce okazało się silniejsze? "Oni nie mogą dostać się do serca człowieka" - mówiła przesiek Julii. Otóż mogli. Postali się! Perspektywa zagryzienia żywcem przez szczury, wydobycia z gardła Winston krzyk: "Uczyj to Julii! Zrób z nią co chcesz, rozderżycie jej twarz, obnażcie do kości Julię, Julię, nie mnie".

I to był nowy poziom w łańcuchu zdrad dokonanych przez Winstona. Dotychczas porzucał maski, w które przebieraną go przemocą lub podstępem. Wydając oprawcom ukochaną osobę, zdradził jednocześnie i ją i siebie: swoją autentyczną miłość. Zdarł z twarzy własną, żywą skórę.

I po czymś takim pozwolono mu dalej żyć. Jak żyć bez skóry? Czym ochronić przed bólem obnażone nerwy?

Ale wybawienie już czekało. Od dawna. Od samego początku. Wystarczyło wyciągnąć rękę. Winston to wreszcie pojął: "Już nie biegł i nie krzyczał dłużej. Był teraz z powrotem w gmachu Ministerstwa Miłości, gdzie oczekawał przebaczenia wszystkich swych win. Duszę miał białą jak śnieg. Był nareszcie przed ścianą, gdzie wznosił wszystko i wszystkim wydał. Szedł znowu korytarzem, wyłożonym białymi kafelkami, z uczuciem, jakby szedł w słońce. Gdzieś z tyłu, za nim, był strażnik z rewolwerem. Od dawna wyczekiwana kula zaryła się w mózg.

Patrzył na wielką twarz. Czterdzieści lat minęło. Zajął pajak, jak i to uśmiechnął się kryje za tym ciemnym wąsem. Cóż za okrutna, coż za niepotrzebna pomyłka. - O niebezpieczny, uparty i własnolubny wygnańcze z mizującego żona! Dwie pijackie łzy potoczyły się mu wzdłuż nosa. Ale teraz było już dobrze. Wszystko już było dobrze! Walka była skończona.

Winston odniósł zwycięstwo nad samym sobą: kochał Wielkiego Brata.

Glosa o Judaszach

Każdy Mesjasz ma Judasza na swoją miarę. Gdy biblijny Iskariota zdradził swego Nauczyciela dla trzydziestu srebrników, popełnił z rozpaczny samobójstwo. Współczesny Judasz zdradza swoją ludzką miłość, by odzyskać miłość Wielkiego Brata. Religia zdrady - czy nie jest wszakże zdradą miłości?

ZOFIA PIETROWNA



W studio BBC. Stojący pierwszy od lewej - Orwell

W powieści "Rok 1984" Orwell przedstawia przerażającą wizję społeczeństwa znajdującego się pod władaniem totalitarnym, a czyni to w tak sugestywnej formie, że czytelnik długo nie może się uwolnić od emocji wywołanych lekturą, by się zastanowić nad jej wartościami poznawczymi. Pierwsza racjonalna myśl, jaka przychodzi po emocjonalnym szok, skłania natychmiast do konfrontacji ponurej wizji autora z niewiele lepszą rzeczywistością.

" R O K 1984 " -

KRÓTKIE STUDIUM

PATOLOGII WŁADZY

czywistością. Niestety, jeśli ktoś chciałby odnaleźć w tej książce bodaj ciekawą nadzieję na ocalenie indywidualnej autnomii i godności przez jednostkę żyjącą w państwie totalitarnym, to się bardzo zawiedzie. Nie jest to powieść pisana dla pokrzepienia serc. Autor nie daje żadnych wskazówek dla samoobrony, a przedstawione dzieje buntu i klęski głównego bohatera wywołują poczucie beznadziejności.

Mimo głębokiego pesymizmu bijącego z kart książki, spróbujmy się zastanowić nad ukazanymi w niej mechanizmami zniewolenia człowieka i objawami patologii władzy, bo jednak była ona pisana ku przestrodze.

Z naszego punktu widzenia najistotniejsza w tej powieści jest III część, w której autor opisuje, co się dzieje z Winstonem, gdy już się dostał w szpony Policji Myśli i jest przez nią "nawracany" na prawomówność. Chodzi zwłaszcza o swoistą "dysnutę filozoficzną", jaką prowadzi z bohaterem O'Brien - członkiem Partii Wewnętrznej i wysoko postawiony w hierarchii funkcjonariusz Policji Myśli. Cała "filozofia" zdegenerowanej, patologicznej władzy jest przez niego wyłożona Winstonowi, jak na wykładzie.

"Wszystkie oligarchie poprzednie - powiada on - cechowało tchórzostwo i hipokryzja. (...) Udawali przed światem, a może nawet w pewnej mierze sami w to wierzyli - że władza niejako sama do nich przyszała, że nie będzie wiecznotrwała i że tuż za najbliższym zakrętem Historii czeka raj wszechludzkiej wolności i równości. My jesteśmy inni. Wiemy dobrze, że nikt nie zdobywa władzy z intencją zrzeczenia się tej władzy. Władza nie jest środkiem do celu, lecz jest celem-samą w sobie. (...) CELEM WŁADZY JEST WŁADZA!". I oto mamy pierwsze symptomy patologii: uznanie władzy za wartość nadrzędną i jedyną. Tego Winston nie może zrozumieć. Ciągłe powraca do naiwnego przekonania, że władza ma komuś lub czemuś służyć i z tego czerpać swe uzasadnienie i wartość. Poznał on JAK partia rządzi, lecz nie wie PO CO? Gdy tymczasem pytanie jest po prostu źle postawione. Władza jest sprawowana dla niej samej i nic innego się nie liczy: ani tradycyjne wartości, jak wolność, równość czy sprawiedliwość społeczna. Nawet dobra materialne nie są w cenie i członkowie Partii Wewnętrznej bynajmniej nie dla tych wątpliwych luksusów (przestronne wille, miękkie dywany, czystość i skądże) zaprzędają się całkowicie służbie Partii. Jedyną ich namiętnością staje się panowanie nad innymi. "Nie zapominaj Winstonie, że zawsze będzie istniało zatrucie władzą. To zatrucie przybierać będzie coraz subtelniejsze formy! Nieodmienny jednak będzie dreszcz zwycięstwa - emocja traktowania bezbronego, pokonanego wroga. Jeśli chcesz mieć pełny obraz przyszłości, Winstonie - wyobraź sobie ciężki but tratujący ludzką twarz, tratujący przez wieczność!".

Całkowite panowanie nad wszystkimi i nad wszystkim, udział we władzy wiecznej i niezmiśnej - cóż nadto może być bardziej pociągą-

jacego dla patologicznego umysłu opętanego żądzą władzy? Wszak jest to niejako partycypowanie w "boskości". Nieważna staje się czasowość własnej egzystencji, gdy się współtworzy coś wiecznego: Władzę. Nieważne są doraźne zmysłowe uciechy, gdy się doznaje obłądnej radości z dowolnego kreowania świata poprzez oddziaływanie na świadomość ludzi. Nie ma znaczenia wartość środków prowadzących do umacniania i poszerzania Władzy. To właśnie ona jako cel samo - się - tłumaczacy nadaje wartość wszystkim i wszystkiemu. I to jest drugi symptom patologii władzy: uznanie zasady, iż cel uświęca wszelkie prowadzące doń środki.

Konsekwencją uznania władzy za cel sam w sobie jest przekonanie o wyłącznej wartości tego celu i dążenie do wyeliminowania jakichkolwiek celów konkurencyjnych. Pozytywne doznania estetyczne, przeżycia erotyczne, zmysł smaku muszą więc być nieustannie tłumione poprzez taki sposób zaspakajania potrzeb, by skojarzyć z nimi poczucie odrzy. Głównie chodzi jednak o wyeliminowanie jakichkolwiek przejawów samodzielności i wolności. Władza totalna musi dążyć do podporządkowania sobie wszystkich obiektów zdolnych do samoafirmacji, zdolnych do działania wedle praw przez siebie stanowiących; do podporządkowania sobie człowieka. Ale pragnie ona również zapanować nad obiektami, które nie mając świadomości, mimo to działają zgodnie z immanentnymi im prawami do zawiadnięcia przyrodą i podporządkowania jej sobie. Jak to jest możliwe?

Dla tej paranoidalnej władzy panować nad przyrodą to panować nad ludzkimi umysłami, uczuciami i wolą. Znamienne pod tym względem są "lekcje" filozofii udzielane Winstonowi w gmachu Ministerstwa Miłości! Filozoficzne credo O'Briena wyraża się w zdaniu, że świat jest taki, jak jego obraz wytworzony w świadomości człowieka. Winston zaś stoi na stanowisku myślenia zdroworozsądkowego i wierzy, że mimo zmieniających się wyobrażeń o świecie, jest on jeden, istnieje obiektywnie, niezależnie od świadomości a o jego właściwościach informują zmysły. Takie rozumowanie jest dla O'Briena zgola śmieszne i "udawadnia" Winstonowi, jak sawodne może być opieranie rozumowania na danych zmysłowych. Pod wpływem sadawanych mu tortur Winston przestaje już być pewny, że $2 \times 2 = 4$; nie wie także, ile palców pokazuje mu oprawca, a każdorazowo wzmocnienie bólu modyfikuje jego zdolność do własnowolnego "odczytywania" informacyjnych treści doznań zmysłowych i w końcu "widzi" tyle palców, ile sobie życzy władza. "Rzeczywistość miesi się wewnątrz ludzkiej czaszki. Nie ma rzeczy, której nie byłibyśmy władni dokończyć. Wszystko leży w naszej mocy - niewidzialność, lewitacja, doświadczenie wszystko" - twierdzi O'Brien wcale nie gołosłownie. I dodaje: "Erawa natury my dyktujemy".

Astronomowie? Gwiazdy? "Gwiazdy mogą być raz blisko, a raz daleko - zależnie od naszych potrzeb". Cóż trudnego zbudować podwójna astronomię i nauczyć się nią posługiwać. Wszystko zależy od właściwego treningu świadomości, a ta może być tak wytrenowana, że przekonanie o obiektywności świata będzie się pojawiało tylko wówczas, gdy jest to pożyteczne dla Władzy. Do tego właśnie dały technika dwómyslenia. Prawda o świecie jest więc funkcją władzy sprawowanej nad umysłami ludzkimi. Tak oto władza wyobcowana, przekształcona w abstrakcyjną i absolutną wartość deformuje umysły nie tylko swych niewolników, lecz także funkcjonariuszy, bo Winston nie ma cienia wątpliwości, że jego oprawca rzeczywiście wysnaje tę patologiczną "filozofię".

Najwyż Winston pyta także swego oprawcę-przyjaciela, jak władza istnieje? "Czy Wielki Brat istnieje tak, jak istnieje ja?" A to pytanie świadoczy, że nadal nie rozumie wyłożonej mu "filozofii"; więc sniżcierpliwiony O'Brien odpowiada: "Ty już nie istniejesz i nie ist-

niezależnie nigdy". Bo coś to znaczy ianieć? Dla Winstona - filozofa zdroworozsądkowego, istnieć to zajmować określone miejsca w czasoprzestrzeni, to także mieć jakąś przeszłość, pamięć, świadomość samego siebie i swego przyszłego losu. Dla O'Briena - filozofa i funkcyjnariusza totalitarnej władzy - istnienie jest skorelowane z wiecznością. Wielki Brat to symbol władzy, to jej obraz spreparowany na użytek "maluczkich". Wielki Brat nie istnieje tak jak Winston, on istnieje wyłącznie, bo jest uosobieniem władzy, a ta trwa mimo zmieniających się jej funkcyjnariuszy i apologetów. Władza jest Bogiem, nie może więc umrzeć ani zajmować miejsca w czasoprzestrzeni, ani się zmieniać. Musi być także silna i wszechmocna.

Czasem w aspekcie historycznym i o jej deformacjach pisze Orwell znacznie więcej. Do kontrolowania przeszłości i preparowania jej obrazu na bieżący użytek władzy powołane jest wszak specjalne Ministerstwo Prawdy i sam Winston bierze w tym udział jako urzędnik tegoż resortu.

Formy kontrolowania przeszłości zna więc bardzo dobrze, znów jednak nie rozumie PO CO? A przecież kontrolowanie przeszłości, każdorazowo jej modyfikowanie - jakieś to ogromne pole dla przejawiania autonomii wyalienowanej władzy. W ten sposób potwierdza ona nie tylko swą wszechmoc, ale także umacnia przekonanie o odwiecznej trwałości. "Kto kontroluje przeszłość kontroluje i przyszłość". Kto kontroluje teraźniejszość - kontroluje i przeszłość" - głosi partyjny slogan. Sprawdzenie przeszłości do chwili bieżącej powoduje eliminację pojęcia czasu historycznego i zmienności. Co zaś nie ma historii - jest wieczna. Wyeliminowanie społecznej pamięci historycznej to dla władzy totalitarnej problem wyłącznie techniczny. Fałszowanie dokumentów i zapisów przy rozwiniętej technice druku i sprawnej organizacji pracy nie jest zbyt trudne. Po tej operacji można twierdzić, że zawsze tak było, jak jest obecnie. "Zawsze Oceania była w stanie wojny ze Wschodem - Azją", once Winston pamięta, że jeszcze wówczas było inaczej i że oczywiście udział w fałszerstwie. Fakt, że pozostały jakieś materialne reliktory przeszłości (stary zeszyt o pięknym papierze, kryształowa kula, strzępek starej gazety), nie ma żadnego znaczenia, gdyż nikt już nie jest w stanie odczytać ich znaczenia i przesłania. Tropi je tylko Winston, ponieważ on jeden zachował indywidualną pamięć i tylko dla niego przeszłość wydaje się nieodwracalna. Jeśli władza zawładnie pamięcią Winstona, zostanie usunięta ostatnia przeszkoda dla totalnego panowania. Jaźwiak bez pamięci, bez tradycji, bez historii osobistego życia i także narody, które pozwoliły sobie odebrać własną historię, wstępuje już w tym momencie przestając istnieć, bo traca poczucie własnej tożsamości i wskutek tego staje się bezwolna marionetka w rękach wszechwładnego manipulantu. Rzecz tym bezstrasnego nas Orwell.

Władanie świadomością człowieka nie bierze się może bardzo głęboko. Polityka Myśli kontroluje nie tylko: "tych obywateli przy pomocy nowoczesnej techniki (teleskrany, podświetlony, helikoptery, rozprężona siła tajnych agentów), steruje także emocjami i to najsilniejszymi, jak strach i nienawiść. "Powiedz mi - powiedział O'Brien - jak człowiek może zapewnić sobie władzę nad drugim człowiekiem?". A Winston po krótkim namyśle odpowiada: "Zdając sobie sprawę z własnej słabości i kłótni, nie można sprzątać, czy wykonać, twora coś, czy tylko swoje własne". Najskuteczniejszym środkiem skutecznego rządania jest więc podleganie się bólem, zadawanie cierpienia. I dlatego władza totalitarna dla zachowania swej absolutnej wieczności musi przez Winstona przez siebie "cywilizację" na uczucie nienawiści.

do innowierców, odszczepieńców, rewizjonistów umacnia Władzę. Organizowane Goświny i Tygodnie Nienawiści mają na celu nieustanne podsycanie tych namiętności, a częstotliwość i masowość tych seansów sprawia, że jednostka, ulegając nastrojowi tłumów, zaczyna przeżywać te same emocje bez udziału własnej woli i świadomości. Totalitarna władza w Oceanii jest dobrze obeznana z psychologią tłumy i umie się tą wiedzą posłużyć. Uczucie nienawiści i strachu może ona doprowadzić do takiego punktu, że stają się one niejako bezprzedmiotowe i można je skierować w dowolnym kierunku. "Wróg ludu" może się w jednej chwili przekształcić w przyjaciele, a przyjaciel we wroga (kułaka, kapitalistę, trockistę, anarchistę, konserwatystę itp.).

Najbardziej przerażające w Orwellowskiej wizji jest to, że nie ma dobrych racji, iż tak się stać nie może! Wiele faktów przemawia za tym że wszystkie demoludy na czele z Wielkim Bratem nieuchronnie ku temu zmierzają.

Pod panowaniem władzy totalitarnej wszystko nabiera patologicznego charakteru. Pójście do kościoła jest aktem politycznym; zorganizowanie się mieszkańców dla załatwienia swoich spraw natychmiast budzi podejrzenie spisku. Zwykły przejaw grzeczności wobec osoby politycznie napiętnowanej jest traktowany jako wyraz solidarności i pociąga za sobą sankcje. Niezastosowanie nakazanych przez władzę nawozów przy uprawie roli - to przejaw sabotażu, itp. itp. itp.

Władza decyduje o przyroście naturalnym, aranżując sytuacje sprzyjające prokreacji lub jej zapobiegające. W Orwellowskiej Oceanii nawet instynkt seksualny ulega wypaczeniu i nie może już być dobrowolnym aktem zaspakajania biologicznej potrzeby (a tym bardziej wyrazem miłości), lecz tylko pozbawioną wszelkich przyjemności czynnością prokreacyjną na rozkaz. Życie rodzinne właściwie nie istnieje, gdyż dzieci są od niemowlęstwa wychowywane przez Partię i zamolone na agentów Policji Myśli. Lojalność małżeńska i miłość rodzinną zastępuje jedynie dopuszczalna lojalność wobec Partii i miłość do Wielkiego Brata.

Wyrobienie tej lojalności uczy się Winston w gmachu Ministerstwa Miłości. Technika "zbrodniostopu", która tak sugestywnie opisuje (Orwell, polega na poddaniu myślenia aktem woli tak, aby myśl biegła zgodnie z aktualnymi wytycznymi Władzy. ... z jednej strony konieczna była zdolność subtelnego, logicznego rozumowania, z drugiej zaś potrzeba było umieć nie dostrzegać najelementarniejszych błędów logicznych. Głupota odgrywała w tej dyscyplinie równie ważną rolę jak inteligencja i była czasem równie trudna do osiągnięcia.

Postawmy sobie pytanie, które nurtuje także Winstona: dlaczego Władza tak się nim interesuje? Bo Winston jest "skazą na modelu", "piłką, która musi być usunięta". Winston popełnił "zbrodnię myślową" a to w Oceanii jest najcięższym przestępstwem: zwątpił w prawdziwość partyjnej ideologii a uczucie miłości kierował ku Julii. Władza totalitarnej nie wystarcza milczące i bierne posłuszeństwo. Oczekuje ona od obywateli całkowitego poddania się i uległości płynącej z wolnej i nieprzymuszanej woli. Winston zaś zachował pamięć względnie niezależną i to było główną przyczyną wszystkich jego błędów, wskutek tego został on "buntownikiem". Pobyt w gmachu Ministerstwa Miłości ma go z tej choroby "wyleczyć". Inność Winstona, zachowanie przez niego autonomicznej pamięci podważa wszechmoc i wyłączność Władzy. "Jest czyns nie do zniesienia dla nas - powiada O'Brien - świadomość, że może gdzieś na świecie istnieć błądząca myśl - choćby była najtajniejsza i bezsil-

na. Nawet w chwili śmierci nie pozwalamy na najmniejsze ideologiczne odchylenie". Istotnie, każde takie odchylenie podważałoby totalny charakter Władzy i dlatego Winston, zanim zginie, musi się poddać całkowicie i bez reszty. Pod wpływem tortur zapiera się samego siebie, wyda wszystko i wszystkich. A kiedy już zdradza Julię, osiąga pełne wyzwolenie od osobistej wolności i może wreszcie zginąć w poczuciu miłości do Wielkiego Brata. "Wolność jest niewolą" - głosi partyjny slogan, lecz jego treść Winston zrozumiał i uwierzył wien dopiero w chwili śmierci. I może dlatego właśnie zginął. Władza bowiem zaważnęła nim całkowicie. Osiągnął wolność od siebie samego i wolność od własnego życia, zaś aktem takim potwierdził totalny charakter władzy i przestał ją wreszcie interesować.

"Bunt" Winstona Smitha nie był jednak autentyczny. Był to bunt sprowokowany przez Władzę, a został on przez O'Briena wybrany na obiekt prowokacji prawdopodobnie ze względu na swą pamięć przeszłości. Winston działał w przekonaniu, że postępuje w sposób wolny, zgodnie z własnymi pragnieniami, gdy tymczasem wola buntu i możliwość realizacji pragnień została zaaranżowana przez Władzę (tajemnicze "porozumienie" duchowe z O'Brienem, podsunięcie strzępu starej gazety, brak teleekranu w rogu pokoju, znajomość ze starym antykwariuszem, który okazał się agentem Policji Myśli, itp.). I właśnie przedstawione przez Orwella dzieje "buntu" i klęski głównego bohatera ilustrują najlepiej patologiczny charakter totalitarnej władzy.

Wyobraźmy sobie bowiem taką sytuację, że Władza osiągnęła już pełnię panowania nad wszystkimi i nad wszystkimi. Jak wówczas może się ona manifestować? Wobec braku autentycznych buntowników i przeciwników zaczyna ich "produkcować", by poprzez czynność ich ujarzmiania potwierdzić się jako Władza. Winston rzucił się więc od początku, sądząc, że pozostał mu jakikolwiek margines swobody działania, myślenia lub odczuwania. "Obecnie wiedział, że przez 7 lat Policja Myśli miała go pod obserwacją - śledząc go dnem i nocą, jak chrapaszca pod szkłem powiększającym. Przez tych 7 lat nie było takiego uczynku, głośno wypowiedzianego słowa czy toku myślowego, którego nie zauważyliby i nie zanotowali".

Historia Winstona Smitha wywołuje uczucia beznadziejności i niewiary w skuteczność jakichkolwiek odruchów buntu. Orwell zaszczepia nam głęboko pesymistyczną myśl, że we współczesnym totalitaryzmie, dysponującym nowoczesną techniką i wiedzą z zakresu psycho-socjologii, przejawy oporu wobec władzy są przez nią nie tylko od początku kontrolowane, ale nawet celowo prowokowane. Bowiem władza patologiczna dąży zawsze do totalnej ekspansji i jeśli nie ma już innych pól działania to je celowo wytwarza i jak Moloch "pożera" własne dzieci. Orwell zdaje się twierdzić, że w nowoczesnym totalitaryzmie jest się tylko pozornym buntownikiem, bo jest się nim za zgodą, wiedzą, aprobatą i kontrolą Policji Myśli.

Może nie byłoby powodu przejmować się przedstawioną przez autora wizją paranoicznego świata, gdyby nie fakt, że pod wieloma względami przestała ona być tylko utopią.



Orwell & Symon

STOWO

NATIONAL UNION OF JOURNALISTS

7 John Street, Bedford Row, London, W.C.1

Phone :
HOLborn 2258

Telegram :
Natujay Holb, London

This is to certify that

Mr. **GEORGE ORWELL**
of **The Tribune**



is a member of the **N.U.J.**
Branch of the National Union of Journalists.

{ **Leslie R. Adams** Branch Sec.
{ (Address) **60, Priory Lane, N.6.**

Member's Sig.

"Prawdziwego geniusza można niezawodnie poznać po tym, że wszystkie durnie przeciw niemu kują." Tak pisał Jonathan Swift dwadzieścia lat przed ukazaniem się Uliseusza.

LITERATURA A LEWICA

W podręcznikach i kalendarzach izwiastkich wiele stron poświęca się polowaniu na lisa czy zająca, ale nie ma tam słowa o polowaniu na intelektualistę. A przecież jest to najbardziej charakterystyczny sport brytyjski, przy

czym sezon trwa cały rok, a uprawiają go zarówno bogaci jak i biedni, niezależnie od świadomości klasowej i poglądów politycznych.

Trzeba bowiem stwierdzić, że lewica nie jest do "intelektualisty" - to znaczy do nowatorskiego pisarza czy artysty przyjaźniej nastawiona niż prawica. Nie dość, że "intelektualista" jest słowem tak samo nadużywanym w "Daily Worker" jak i w "Punch", to na domiar złego doktrynerzy marksistowscy wybierają sobie za cel ataków właśnie tych pisarzy których twórczość jest oryginalna i ponadczasowa. Mógłbyśmy wymieniać wiele przykładów, ale chodzi mi w tym przypadku głównie o Joyce'a, Yeatsa Lawrence'a i Eliota. Szczególnie Eliot jest wykłóty przez prasę lewicową prasie równie automatycznie i powieszchownie jak Kipling, i to przez krytyków, którzy jeszcze kilka lat temu prześlęgał się w zachwytach nad zapomnianym już arcydziełami "Left Book Club".

"Dobry członek partii" "dotyczy to prawie każdej partii lewicowej/ zapytany, co ma do zarzucenia Eliotowi da odpowiedź, którą można streścić następująco: Eliot jest reakcjonista /osładczyzł bowiem, że jest anglikaninem i monarchistą/ i oderwanym od ludu, "burżuazyjnym intelektualistą": jest więc niedobrym pisarzem. W tym stwierdzeniu zawiera się wespół świadome powzięcie pojęć, które zniekształca prawie całą krytykę polityczno-literacką.

Co innego jest nie lubić poglądów politycznych jakiegoś pisarza, a co innego nie lubić go za to, że zmusza czytelnika do myślenia, choć jedno nie wyklucza drugiego. Ale gdy tylko zaczyna się mówić o "dobrych" i "złych" pisarzach, to chcąc nie chcąc - nawiązuje się do tradycji literackiej, a więc wkracza się w całkiem inny obszar wartości. Bo co to znaczy "dobry" pisarz? Czy Szekspir był "dobry"? Większość ludzi zgodzi się, że tak. A jednak Szekspir przejawiał tendencje, nawet jak na swoje czasy, wsteczne; był także trudnym pisarzem i natężył wstąpić, czy jego utwory docierają do prostego ludu. Co zatem powiedzieć o dyskwalifikowaniu Eliota za to, że jest anglikaninem monarchistą i ma skłonność do katolickich rytuałów?

Lewicowa krytyka literacka ma rację, podkreślając znaczenie literatury i twórcy. Może iusmie nawet zwracać na uwagę, w takich żyjemy warunkach, że literatura była w ostatnich wiekach propagandową. Ale bliżej się nam bliżej, wysłuchajmy chociażby oceny w celach politycznych. Wskazywać się brzoza przyznać, czy jakiś kandydat osładczyzł się powzięcie a pragnął, że Trudni jest lepszym pisarzem niż Stalin - co uważa się lewicowe jest "woda" stwierdzić: "Jest wybitnym pisarzem, ale jest także wrogim" - to jest i spróbujcie zobaczyć, co z niej może być po uczynku - jest zmusza do myślenia. Nawet jeśli to w końcu uczyni się go to powód, kara, nie powód, że w gruncie rzeczy, nie gwałty się przeciwko intelektualistom, jeżeli nie przeciwko ich powięzłom, jeżeli nie jest ich wrogim i politycznym przeciwnikiem, a jest "dobry" pisarzem. A jeżeli ktoś uważa, że ten, to nie powód, nie powód, że nie powód, że zwrócił się do tradycji literackiej i całej prasie lewicowej od "New Criticism" do "Labour Monthly", a sam się przekona.

Nikt dokładanie nie wie, ile stracił ruch socjalistyczny odsuwając od siebie pisarzy. Ale odrzucił ich częściowo dlatego, że mylił pojęcia prozaur propagandowych i literatury, a częściowo dlatego, że nie było w nim miejsca na kulturę humanistyczną. Pisarz może pisać na "Labour

rzystów tak jak wszyscy, ale bardzo mu jest trudno uczestniczyć w ruchu socjalistycznym w swojej roli pisarza. Zarówno czytany doktryner jak i aktywny polityk pogardzają nim jako "burżuazyjnym intelektualistą" i każda okazja jest dobra, żeby mu dać do zrozumienia, że jego twórczość tyle ich obchodzi co zeszłoroczny śnieg. Ciemnota polityków jest specjalnością naszych czasów. Bardzo dobrze to ujął G.M. Trevelyan mówiąc, że "w siedemnastym wieku postowie cytowali w Parlamencie Biblię, w osiemnastym i dziewiętnastym - klasyków, a w dwudziestym wieku nic" - konsekwencją tej ciemnoty jest polityczna impotencja pisarzy. Bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej, najlepsi angielscy intelektualiści mieli tendencje reakcyjne, choć przeważnie nie brali bezpośredniego udziału w polityce. Po nich przyszło w latach trzydziestych, pokolenie pisarzy, którzy bardzo chcieli aktywnie działać w ruchu lewicowym. Sporo z nich wstąpiło do partii komunistycznej, gdzie przygotowani im dokładnie takie przyjęcie, "jakie by im zgótowano w partii konserwatywnej. Najpierw traktowano ich protekcyjnie, a potem z podejrzliwością, a potem, gdy okazało się, że nie chcą - albo nie mogą - włączyć się w politykę, wyrzucano ich na zbity łeb. Większość z nich wycofała się więc na pozycję indywidualistyczną. Nie ulga w opiniości, że nadal zgłaszają na laboumatorów, ale dla ruchu ich talenty na zawsze przepadły, a co gorsza przyszło po nich nowe pokolenie pisarzy, które choć nie jest całkowicie apolityczne, trzyma się od pierwszej chwili z daleka od partii socjalistycznej. Najzdolniejsi spośród bardzo młodych pisarzy, zaczynających obecnie karierę, są pacyfistami; niektórzy mają może nawet skłonności do faszyzmu. Trudno znaleźć choćby jednego, dla którego miły był ruch socjalistyczny cokolwiek by znaczyła. Dziesięć lat walki z faszyzmem wydaje się im programem nieciekawym i poszewionym sensu i mówią to otwarcie. Różne są zapewne przyczyny takiej postawy, ale pogardliwy stosunek lewicy do "burżuazyjnego intelektualisty" na pewno nie był bez znaczenia.

Gilbert Murray opowiada, że miał kiedyś wykład o Szekspirze w socjalistycznym klubie dyskusyjnym. Pod koniec zwrócił się jak zwyczajnie do słuchaczy, czy są jakieś pytania. Zadano mu tylko jedno: "Czy Szekspir był kapitalistą?" Przerastająca w tej historii jest to, że mogłaby być dalszym prawdziwą. Wystarczył iść ze wniósłami, jakie z niej wynikają, a może zrozumieli się, słacznego Calina napisał "Non Culpa", a ludem zajmują się własnymi papkami w Ameryce.

"/"Tribuna", 4 sierpnia 1943/

Przeładruk z George Orwell, *Hasze (wybór)*, Londyn 1985

JĘZYK ROSYJSKI

I

JĘZYK SOWIECKI

W amerykańskim filmie "Bliskie spotkania trzeciego stopnia" kiedy przybywa na Ziemię statek kosmiczny z innej planety, muzyka okazuje się jedynym językiem umożliwiającym porozumienie dwóm cywilizacjom. Głagle czekamy na przybycie ewentualnych mieszkańców kosmosu i wcale nie zauważamy, że na naszej planecie pojawiła się cywilizacja tak różna od innych. Pięćdziesiąt lat temu, w roku 1928, na dziesięć lat przed swą śmiercią w celi na Łubiance, Nikołaj Bucharin twierdził: "Jesteśmy w trakcie tworzenia cywilizacji, która będzie wobec cywilizacji kapitalistycznej tym, czym III Symfonia "Eroika" Beethovena wobec "kawałków do tańca z wiejskiej zabawy". Rozmaicie można patrzeć na cywilizację sowiecką, ale jedno nie ulega wątpliwości: ona jest. Cywilizacja ta ma swój własny język, język sowiecki. Politycy, intelektualiści czy po prostu zwykli turyści zachodni odwiedzający Związek Sowiecki skarżą się często, że nie rozumieją ani Sowietów, ani ich polityki. Wyjaśnienie jest proste: ludzie Zachodu są przekonani, że wystarczy im znać rosyjski, żeby rozumieć Sowietów, tymczasem muszą rozumieć język sowiecki.

Język sowiecki zaczyna się tworzyć od momentu rewolucji październikowej. Jakby przez przypadek wszyscy przywódcy byli dziennikarzami, profesjonalistami w dziedzinie słowa, dobrze znającymi jego moc. "Ludzie - pisał Lenin do Ines Armand - są w większości ... niezdolni do myślenia, potrafią tylko uczyć się słów ...".

Po rewolucji październikowej obywatele republiki sowieckiej będą mieli "do nauczenia się" coraz większą liczbę słów. Język staje się "językiem - sloganem". Slogan, zwarte sformułowanie prymitywne tak w formie, jak w treści, jest w istocie podstawowym elementem języka sowieckiego. Cechą szczególną takiego sformułowania jest jego jednoznaczność wykluczająca wszelką odmianę. Nie pozostawiając miejsca na wątpliwość slogan daje tylko jedną odpowiedź z dokładnością w pełni naukową. Język staje się więc totalitarny. W tym okresie nad przekształceniami czuwa jeszcze Lenin. Jeden z towarzyszy jego walki opowiada: "że kiedy wrócił uwaga Leninowi na konieczność odpowiedzi na jakiś artykuł Kautskiego, wódz rewolucji odpowiedział: "Dobry! Kautski odpowie mi, a ja będę odpowiadał na jego odpowiedź. I tak bez końca. Wystarczy ogłosić, że Kautski jest zarządcą klasy robotniczej i sprawa będzie dla wszystkich jaśna". Na początku świata było Słowo. Na początku języka sowieckiego też znajduje się słowo, ale to słowo było kłamstwem.

Język sowiecki jest za naszych czasów jedynym na świecie językiem znacjonalizowanym przez Państwo. Ze wszystkich monopolii należących do władzy sowieckiej najważniejszy jest bez wątpienia monopol na słowo. W Związku Sowieckim to władza określa znaczenie słów, decyduje o ich istnieniu bądź nieistnieniu. Słownictwo stało się bronią potężniejszą od bomby atomowej. Język sowiecki stworzony jako narzędzie Najwyższej Instancji ma na celu narzucanie idei, słowo stało się formułą magiczną. Druga funkcja języka sowieckiego jest wyjątkowo oryginalna. Słowo staje się maską: system stworzony po rewolucji to mieszanina fikcji, która słowo nazywa rzeczywistością i rzeczywistości, która słowo odrzuca jako fikcję. W jednym ze swoich opowiadań, Babel mówi o "tajemniczej prostej krzywej Lenina", a w 1920 r. E. Zamiatin jako pierwszy ukazał istotny charakter języka sowieckiego, którego funkcja sprawcza się do pozabawie-

nia słowa - jego znaczenia. Słowo traci swe zwykłe permanentne znaczenie. Staje się tylko pustą muszelką. Kiedy Najwyższa Instancja nakazała według swego upodobania i potrzeb, przeprowadzić lat po kampanie George Orwell sformułował ten paradoksalny język sowiecki. Narodziła się praca krówek, krzywej prośby, zimy bagna z głodu - caciocia, z wojny - pokój, z niewolnictwa - wolność.

Narodziny języka to proces długi i trudny. Język sowiecki stworzony jest świadomie i celowo. Wymienia go "polityka językoznawcza". Młody językoznawca Gligori Vinograd pisze w 1927 roku: "polityka językoznawcza to po prostu interwencja woli w strukturę i rozwój języka oparta na dokładnym, naukowym przeanalizowaniu problemu" (LRF, 1927, nr 3).

Główne zasady języka sowieckiego zostały sformułowane przez Lenina. Sam język został stworzony przez najlepszego jego uczenia - Stalina.

Stalin rozumiał lepiej niż ktokolwiek inny siłę słowa - narzędzia magicznego, słowa - maski. Został niekwestionowanym autorem tej gry semanticznej, która stała się ważnym czynnikiem jego walki z przeciwnikami. Walkę tę przedstawiano zawsze jako starcie dobrego z złym, ze słymi, niekodyfikowanymi i fałszywymi, walkę słowa prawdziwego z kłamstwem. Stalin stał się panem życia i śmierci obywateli sowieckich za pomocą swojego słownictwa politycznego a następnie nad otoczenia słownictwa.

O Hitlerze mówiono: "Hitler myśli za nas". O Stalinie: "Stalin myśli za nas", ale można by dodać: "myśli za nar. Po mówi za nas".

Słowo staje się znakiem hanby, wyrokiem wykonywanym natychmiast. Słowa - wyrki mogły mieć rozmaite formy, polityczną, jak na przykład: robotyzysta, zwolennik odchylenia (prawicowego bądź lewicowego), socjaldemokrata, albo zupełnie niewinna jak: mendelista - nieorganicznik, lenetyk. Zagada była taka w każdym razie: Stalin nadawał słowom sens przestępczy, zmieniał je w oskarżenia. Dostojewski pisał: "Jeśli nie Boga wszystko wolno". Dziś można powiedzieć: mając monopol na słowa wszystko wolno.

W 1950 roku kiedy Związek Sowiecki dźwigał się z wojny, która kosztowała go ponad dwadzieścia milionów ofiar, kiedy setki miast leżały w gruzach a głód panował na wsi i w miastach, Stalin oddawał się językoznawstwu. Nowe szaleństwo owładnęło całym krajem. Wszyscy, od akademika do kołchoźnika zajęli się językoznawstwem. Przy czym to szaleństwo stało swój cel. Według Stalina język sowiecki osiągnął poziom pozwalający, przy oparciu się na pracach I. Pawłowa na temat odruchów warunkowych, na wywołanie u obywateli sowieckich konkretnej reakcji na dane dźwięki. Bodźcami tymi były slogany, słowa.

Na szczęście język sowiecki nie zastąpił jeszcze zupełnie języka prawdziwego. Ale istniejące słowniki i podręczniki sprzyjają jego panowaniu się. Na całym świecie żargon dziennikarski składa się przede wszystkim z frazesów. Ale w Związku Sowieckim na języku gazet oparte są słowniki i podręczniki. W dodatku język sowiecki - język środków masowego przekazu - przedstawiany jest jako język literacki, język ludzi wykształconych i umieszczony znacznie wyżej w hierarchii niż język mówiony, codzienny, zwykły. Skodyfikowany i władczy język sowiecki dominuje nad innymi postaciami języka, nie pozwala im istnieć.

Aleksander Jachin w swym opowiadaniu z roku 1956 pod tytułem "Dźwięki" ukazał w świetny sposób zagrożenie językiem sowieckim. Kilka par-

tyjnych koczowniców czeka na jakąś swą towarzyszkę, żeby zaczęła zebrać komórki partyjne. Romowa brzmi po ludzku, mówi w języku rosyjskim. Kiedy już wszyscy są, sekretarz siada za biurkiem i rozpoczyna zebranie. Wszystkie się nagle zmienia, jakby gwałtownie zgaszono światło. Wszyscy zaczynają rozmawiać po sowiecku, przestają być osobami a stają się dźwigniami w partyjnej machinie. Zebranie kończy się, światło znowu pojawia się. Dźwignie stają się z powrotem ludźmi i odnajdują wytek rezyjaki.

Istnienie dwa języków równoległych, konieczność niustannego przechodzenia z jednego na drugi, świadomość, że jeden z nich - rosyjski - jest kadniejszy, ale drugi - sowiecki - bardziej, użyteczny nie może nie pozostawiać śladów w psychice ludzi sowieckich, nawet jeśli są świadomi problemu.

Początkowo dr Jekyll staje się panem Hyde tylko po wypiciu diabelskiego eliksiru. Ale wkrótce te przemiany nie zależą już od jego woli. I dopiero zabijając samego siebie dr Jekyll będzie w stanie zabić pana Hyde'a, bo ten żyje w nim.

Język sowiecki interesował tylko specjalistów, gdyż dotyczy tylko Rosji. Ale cedią szczególną języka sowieckiego jest jego uniwersalność. Stał się eksperymentem wszystkich, którzy z nauki kierują w "świetlaną przyszłość". Historia ostatnich szesnastu lat pokazała, że "język sowiecki" jest niezmiernym elementem ideologii totalitarnej. Niemiecki językoznawca Wiktor Klemperer opublikował w roku 1947 zdumiewającą książkę pod tytułem "Lingua Tertii Imperii". Jest to dziełko filologa opisujące rodzenie się języka nazistowskiego i wypieranie przez ten język niemieckiego. Uderzające jest, jak bardzo podobny był rozwój języka nazistowskiego i sowieckiego. W obu przypadkach chodzi przecież o mechanizmy ideologii totalitarnej.

Dzisiaj historia stworzyła tak przeróżne warunki eksperymentu, którego nachodzić nie może zakwestionować żaden uczynek. Pierze się kraj i ludzie się na pół. Trzydzieści lat wcześniej mieszkańcy mówili tym samym językiem. Dziś jedna część mówi nadal po niemiecku, ale druga część niezależnie wytworzyła SBB-Deutsch, niemiecki partii komunistycznej. Słynne powiedzenie E. Suwara, że Wielką Brytanię i Amerykę dzieli wspólny język stało się rzeczywistością. Niemcy z części wschodniej i zachodniej oddzieleni są językiem. Każda z tych grup ma swój język kształtujący inaczej.

Język sowiecki rozwija się nie tylko tam, gdzie buduje się "świetlaną przyszłość". Mówią nim, piszą i uznają wszyscy dla takiej przyszłości pracujący. Nowy język sowieckiego jest zastępująca - był w stanie przekonać Zachód, że nie istnieje w Związku sowieckim obczy koncentracyjne i że poziom życia w tym kraju jest niewiarygodnie wysoki. I kiedy dziś czytamy, że "bilans" państw socjalistycznych jest "ogólnie niemiernie pozytywny", choćby był "negatywny" w szczegółach bez trudu rozpoznajemy starego znajomego - język sowiecki. Nazwa ma dialektyczną, to "proza kryzysu" Lenina i Stalina.

Potęże języka sowieckiego potwierdzają setki książek, w których zachodni kierkowie opowiadają, jak ich oczy się nagle otworzyły, jak po procesie mekiewskim w 1937, wypadkach węglerskich z 1936, czy likwidacji "praskiej wiosny" w 1968 zobaczyli w lustrze, że są pokryci sierścią, że reną w kły i pazury. Krótce mówiąc, że zmieniają się w towarzyszy Hyde'ów.

Walka o wolność zaczęła się w Związku Sowieckim od przekłamania mopolu słowa. Wszyscy prawdziwi pisarze od Solżenicyna do Jerofiejewa, każdy na swój sposób - co samo w sobie jest już zbrodnią - przykładali się do wysadzenia w powietrze języka sowieckiego. I to pozwala mieć nadzieję.

MICHAŁ HELLER

Tłumaczenie artykułu "Langue russe et langue soviétique" (w:) Kultura i władza komunistyczna. Inne oblicze wystawy "Paryż-Moskwa" (Culture et pouvoir communiste. Les autres faces de "Paris-Moscou") Tom 39 "RECHERCHES" październik 1979 opracowany przez Natalię Dloužewą i Thierry Wolton.

tłumaczył K.G.



JĘZYK

I

WOLNOŚĆ

Świat jest twórczym wulkanem. Cywilizacja jest wytworem człowieka. Człowiek tworzy sam siebie. Obsesja kreatywności ogarnęła ludzkość. To co naturalne nie wywołuje podziwu, a to co sztuczne podziw - ale chwilowy. Słowa poddawane są tworzeniu na równi z drewnem, kamieniem, metalem, tkaniną. Są krojone, kute, drążone, osrubowywane. Zdaje się, że szal tworzenia przyswiera świat do stanu w jakim przebywał przed rozdzielaniem ciemności i jasności. Kosmos ludzkich słów, tworzący dotąd niewidoczną przestrzeń życia zbiorowego wprzęgnięty został w taśmową produkcję gazet, komunikatów, informacji. Nie jest to już senny świat, o którym Szekspir pisał z melancholią: "Słowa, Słowa, Słowa", lecz zmilitaryzowany świat słów - pocisków, bomb, rakiet. Ludzkość ostrzeliwuje się słowami jak z karabinów maszynowych przy czym poważnej jej części zakazuje się budowy schronów.

Ten obsesyjny świat opisał w nieprześcigniony sposób Orwell - lecz jego "Rok 1984" jest jedynie czubkiem góry lodowej, która wiąże się z przeszłością, teraźniejszością i przyszłością języka ludzkiego.

Nota historyczna

Kiedy powstał język - nie przekazują nam najstarsze świadectwa. Z tego odnotowują pilnie kiedy się rozpadł: było to w stanie tej samej produktywności, którą i dziś przeżywamy - przy budowie wieży Babel. Nie jest to zdarzenie przypadkowe. Jego wyraźnymi cechami jest podporządkowanie człowieka gigantyzmowi (które kontynuują do dziś imperia polityczne) oraz produktywizmowi. Zagubienie jednego języka zdaje się nieść w sobie przestrożę: ludzie gubią się wtedy, gdy dążą do nadpotęgi i nadtwórczości, a zwłaszcza gdy zapominają, że nie mogą być jedynie producentami.

Problem

Lecz powstaje pytanie, czy można po prostu cieszyć się lub martwić brakiem jednego ludzkiego języka a wielością różnych. Wszak kultura śródziemnomorska zbliżyła się już raz do jedności języka duchowego, ja kim w ciągu kilkunastu wieków stała się łacina, wchodząca nader mocno nawet w język potoczny wielu narodów europejskich. To dopiero rozpad Kościoła spowodował odnowienie języków narodowych, za czym poszło tłumaczenie Pisma na wiele systemów słownych. Zasmuciło to jednych, uradowało drugich. Ci pierwsi orzekli, że oto powstaje zbędny dystans między gatunkiem ludzkim, dzielonym nie tym "co, myśli - lecz w jaką formę słowa to ubiera. Drudzy zaś orzekli, że upada z jednością języka fikcja jednego człowieczeństwa, a odradza się naturalna człowiekowi wielość form istnienia. Ci drudzy szli od nacjonalizmów do rasizmów, od dzielenia ludzi wedle kontynentów, płci, wieku i temperamentów. Szli w tym kierunku wszyscy romantycy, sięgając aż do plebejsko-gwarowych osobliwości języka, głosząc że język jest "żywym organizmem", który, jak rośliny, różnie inaczej w różnej glebie i klimacie. Wypowiedziano wojnę językowej "cudzoziemszczyźnie", tworząc języki coraz to mniej komunikatywne dla innych narodów. Jednocześnie zaś uderzono w język i ze stron religii, mającej być przeciwieństwem łączącym: różne nurty mistycy

nie odrzucały w ogóle potrzeby jakiegokolwiek języka, chociaż nie intruz-
je wewnętrzne poznania bez-słowne, bezpodradnie. Ani język uniwersalny,
ani lokalny nie jest ludzkiem niezbędny.

Można dziś wenić jakim bezmiarom kro uczyni o kultura europejs-
kiej odejściu od jedności językowej. Przeważającym językiem narodowe
okazywały się ściśle związane właściwościami całkowicie krapkującymi rozwój tych
narodów i wyodrębniającym ich sposób myślenia, takim bowiem radunek pogar-
dy okazał się być zawarty w rosyjskim słowie "tolerancja", czy brzmie-
nie "szczęśliwość" (zsię pownie w dół, zniżanie się), jaki następstwa
podlega w tymże języku zgodność dwu znaczeń w słowie "mir" (pokój i
wiat) - przed laty Moskwa obwieściana była wysypczyznami transparenta-
mi: "Moskwa - stolica mira", jakże w tym języku powiedzied można: "pań-
stwo demokratyczne" - gdy samo słowo "państwo" brzmie "zgodziństwo", od
"gospodar - autozarze". Już romantycy uczynili spore dla zbudowania car-
zajon systemów językowych. Gdy brakowało słów - tworzone nowe, zgodne z
"duchem" danego języka. Rozpoczęła tu era produktywności językowej i po-
zostaku naszego wieku przeszyła w star chorobliwy rozdział. Wytajał "Mój
wiek" z. wasta doświadczony z niezwykłą jasnością, jak kwestie języka
wytworzył to zko z pułki Pandory, które uczyniło w Europie porażkowo
katalizyzmów. Wprowadził nimiem A. wart - jak jego pokolenie młodzieży
zachwyliło się hasłem "SŁOWA I WOLNOŚCI". Uważano, że stare znaczenia,
sensy i reguły gramatyczne są przeszkodą, w którego słowa należy wyzwolić.
Futurysty, dadaistki, ekspresjonistki rozrywali język na tysiące
atomów, które podawali straszać w dowolne sposoby. Futuryzm przekształcał
swoje "rodowidrowo" w "językowe chałizmatstwo", lubując się w kaleczeniu
słów błędami gramatycznymi i alfabetycznymi (suz w bółu). Zaiste wyzw-
wolono język - ale z pułki Pandory. Futurysty zaczęli bowiem, woparli
jednocześnie najpierw kółko żniwie, potem faunazy, zaś rosyjscy - naty-
chniast włączyli się w komunizm. W same ewolucję przeszli najbardziej
nowatorski językowo myśliciel niemiecki M. Heidegger, który wstąpił do
partii nazistowskiej. Stało się to co z przenikliwą jasnością zrozumiał
i Oświęcimiu słowy poeta Borowski: Auschwitz jest tworem europejskiego
liberalizmu, wynika z owego ducha "wszystko wolno", który zaowocował
has "słowem, na wolności". Wiatery, sam Borowski w swojej unieczce od
liberalizmu pogrypił się całkowicie w totalizm nowego porządku.

WSPRZECIENIA SŁOWIA SŁOW

Trzeba przyznać, że język stał w sobie właściwością czyniącą go pod-
atnym na manipulację. Z poszczególnych słów dają się bowiem tworzyć kon-
strukcje nie tylko odbiegające od myśli i intencji człowieka, ale nawet
takie które są z tył myślaniami sprzeczne, lub w ogóle "nie dają się po-
mysleć". Język zatem może jakby wyśledzić w ię e e j niż człowiek. Oto
mogę powiedzieć: "kwadratowy smak", "trójkątne koło", "niebieski zapach",
 itd. Aczkolwiek, jako żywo, nie podobnego nie mógłbym sobie wyobrazić,
 wyśledzić i zrozumieć. Słowa są zatem elementami z laboratorium czarno-
rsięźnika, które można uruchomić niebezpiecznym zakłóceniem powodując ich szal-
ony taniec. Są też podobne do broni, która może przypadkowo uruchomić
nawet idiota, jeśli nacisnie właściwe miejsce, bez żadnego związku swe-
jej psychiki z tym działaniem. Właściwość ta powoduje, że do manipula-
cji słowami nie potrzeba żadnej wyjątkowej wyobraźni, idioci różnych
stopni potrafili tworzyć układy słów szaszarające dla ludzi poświadnych
presji środków przekazu. Idea zachowania "zdrowego rozsądku" i zasada
"nie dajmy się zwariować" są słabą zaparą wobec szaleńców biegających
z brzytwą słów w rękę. Jest to jeden z najniebezpiecznych barierów naszego
stulecia.

V. Klempner - niemiecki filozof i socjolog, urodzony na granicy Niemiec i Francji, autor książki "Lingua e-rit Imperii". Jego teza brzmi: "język zapuszcza korzenie w psychice ludzkiej, ma swój wyrostek a niej sam - z własnych korzeni". Książka Klempnera "Lingua e-rit Imperii" jest dziełem fundamentalnym, które trzeba czytać jednocześnie z Orwellem. Krytycy Klempnera jest, że słowa wówczas przedkłada do umysłu, w tym celu jego struktury, logice, nawiązkę, zdrowemu rozsądkowi, gdy właśnie ten język ukazany jest w całości jako narzędzie walki. Idea walki, militarystyki świata i języka walczących powoduje, że słowa przestają być przez ludzi rozumiane jako byt koherenty i umysł nie stawia im wymogów koherencji. Skoro słowa służą walce, presji - to właśnie za tym bardziej prawa w d e i a. im bardziej sprzeczną są z ich normalnym sensem i funkcją. Umysł przyjmuje najbardziej "wzrostłe skróty, dziwolagi, maskary słowne. najzupełniej chłonie w z a s n i e dłać go, że ocenia ich obcość - to bowiem zgodna jest z idea walki. Dlatego też, kiedy ślad militarystyki języka oznacza otwarcie pola dla dokonywania niekontrolowanych eksperymentów nad językiem. Świat słów zostaje postawiony w "stan wyjątkowy", ludzie rozsądek objęty zostaje godzinę policyjną, prawa stanu wojennego ograniczają prawa logiki i sumienia podlega internowaniu. Świat języka staje się podobny do zrytego pałacu - obok idei instrumentalizacji języka są to najbardziej podatne zagrożenia dla cywilizacji ludzkiej. Lecz strzeżmy się w tej sprawie sojuszników.

Józef Stalin: Niekłam i zagadnienia językoznawstwa.

Stawać by się mogło, że nie na nic bardziej szorstkiego wobec języka, niż dowodzenie, że pozostałe on właśnie instrumentalny, służebny, uwarunkowany interesami ludzkimi i psychologiczno - etycznymi obowiązkami. To bowiem zdaje się najbardziej obciążać kwestie obiektywności i czystości mowy ludzkiej, pogrzeba ją w mroźny świat subiektywności. Jest to jednak półprawda. Twierdzenie tego rodzaju faktycznie ujmuje językowi jego obiektywności - to prawda. Lecz jednocześnie ostrzegają i alarmują umysł przed poddawaniem się tej mocy słów i języka. Mamy tu do czynienia z deprecjacją przewrocyjną, z nieafnością metodologiczną. Faktem jest zaś, że kto poddaje się umysł ludzki wyalienowanemu językowi kryje się może właśnie w teoriach odmawiających językowi uwarunkowań socjo - psychicznych, uznających język za byt uniwersalny, niesakficzny względami utylitarystycznymi. Z taka właśnie sytuacja mamy do czynienia w przypadku, który analizuje Orwell, a który odpowiada manipulacjom językowym w ruchu komunistycznym. Jeśli bowiem fałszem kładź znak równości między gazetą a karabinem maszynowym, między systemem filozoficznym a obozem koncentracyjnym, uważając wszystkie te obiekty za narzędzie wojny, to w nurcie, o którym będziemy teraz mówić sprawy wyglądają inaczej.

W pierwszych dziesięcioleciach językoznawstwa w ZSRR kultywowano instrumentalistyczny sposób traktowania języka: uważano, że odbija on warunki życia różnych klas, ich interesy, psychikę zbiorową, rodzaj pracy. Wraz z tym głoszone potrzebę stworzenia "nowego języka" dla nowej klasy panującej. Ku powszechnemu zdumieniu po zakończeniu II wojny światowej za problem ten wziął się sam Józef Długaszwilli, który tezami swoimi dokumentnie przewrócił stan rzeczy, wywołując szokujące wręcz wrażenie. Już wcześniej językoznawców zbytnio skłaniających się do socjologizmu starano się pohanować (na tej fali wybitny socjolog M. Bachtin wyjąłował na zesłaniu i w obozie), lecz dopiero J. Długaszwilli zainicjował "nowy etap": wypowiediano walkę całej szkole Marra, która

monopolizowała sobie doktrynę o społecznym uwarunkowaniu języka. Dżugaszwili uznał natomiast i zadekretował, że język "nie jest elementem nadbudowy"!!! Trzeba dżugo wzywać się w te czasy, gdy wszystko było elementem nadbudowy, tj. miało charakter "polityczny" aby zrozumieć szok, jaki powstał. Przecież teza o polityczności była zrozumiana tak fundamentalnie, że za odpowiedzenie anegdoty szło się prosiutko do obozu. Aż tu nagle - okazało się, że język nie podpada pod 58 paragraf !!! Niemal można gadać co się chce - bo język jest ponadpolityczny. Zgroza.

Tymczasem, jak w wielu innych kwestiach J. Dżugaszwili był znacznie lepszym praktykiem, niż jego doktrynalni fanatycy. Twierdząc, że język nie podlega wprost uwarunkowaniom społeczno - politycznym, że jest czymś ponad empirią codziennego życia; dokonał zupełnie fantazyjnej manipulacji o kilku ważnych znaczeniach. I tak: dokonał zlekceważenia "kwestii językowej" w wielonarodowym imperium, wskazując, że różnice języków (kilkudziesięciu) nie mają istotnych podstaw w różnicy interesów. Dzieła narodowości t y i k o język (coś nieistotnego dla istoty życia ludzkiego). Następnie: wyzwolił język urzędowy od niewygodnego dla władzy kontekstu interpretacyjnego. Zwolennicy Marra skłaniali bowiem do nieustannej analizy: komu i czemu służy język, którego słuchamy i którym się posługujemy. A czy takie traktowanie języka jest potrzebne, gdy do narodu mówi władza? Przecież jest oczywiste, że władza mówi tylko w interesie narodu i jakikolwiek dywagacje na ten temat są zbędne. W końcu; powstrzymał manię nowatorstwa, która mogła zagrozić istnieniu nawet tych słów, które w ł a s n i e powinny trwać w danym znaczeniu. Oto bowiem istnieje stare słowo "więzienie" - nie na potrzeby wymyślać nowego, gdyż ludzie powinni dobrze znać stare. Tymczasem słowotwórcy gotowi by byli wymyślać jakieś nowości: "przechowalnia", "poczekalnia" "miejsce odcobnienia", "szłobek", itp. A czy ludzie będą wiedzieć o co chodzi? Przecież "tłuma tłumoj" powiedział krótko J. Dżugaszwili do Jedowa i na podstawie tych prostych słów w więzieniach natychmiast zastosowano (lata czystek) reżim, aż do przywrócenia tortur.

Powołujemy się tu na J. Dżugaszwili aby skorygować nieco obraz stworzony przez Orwella, który nie uwzględnił wyższego stopnia manipulacji, jakim jest właśnie twierdzenie o "obiektywności języka". Zdaniem Orwella instrumentalizacja języka niszczy jego substancję. Tymczasem taka instrumentalizacja ma również działanie alarmujące, ostrzegawcze, dekodujące. Naprawdę kłamać może język, który wyniesiony jest całkowicie poza człowieka i jego kontrolę. Takie wyniesienie służy manipulacji i zrywaniu komunikacji również w postaci "języka naukowego" jaki wprowadzony jest, wspólnie do propagandy. Ilekroć władza chce pokryć swoje błędy i zwać ich koszty na barki ludzi, przedstawia nam tabelki obliczenia, tabele, statystyki, wykresy, wykazy, wykazując przy tym obiektywność jej działań. Namy tu do czynienia z "językiem obiektywnym" i "obiektywnością" - ale w niej właśnie kryje się największe zagrożenie. Jest też sposobem dyktando "obiektywne" w postaci "języka naukowego" i "obiektywności". Ciokawa elementem tej manipulacji jest zderzanie pojęć obcojęzycznych. W języku manipulatorów takim słowem jest "socjalizm", występujący w identycznym brzmieniu niemal we wszystkich językach narodowych. Słowo to wklepuje się w mózgi na zasadzie podkówek tłoczonych w kuźni, starannie strzegąc aby nie wystąpiło ono w polskiej wersji, brzmiącej "uspołecznienie". Socjalizm bowiem brzmi obco i mało, zaś "uspołecznienie" swojsko ale zgrzytliwie w uszach trójpanów. Zatem też wskazać "anty-socjalistów", niż "anty-uspołecznienistów". Lepiej zatem aby słowo "socjalizm" - wedle językoznawstwa J. Dżugaszwili - nie należało do "nadbudowy" ale bujało sobie wysoko ponad nią.

Perspektywy od - propagandyzowania

Orwell w swoim pesymizmie nie tylko nie uwzględnił roli dekodyzacyjnej instrumentalizmu językoznawczego, lecz nie zajął się w ogóle kwestiami de-propagandyzacji. W tym momencie sami dokonujemy małej manipulacji, gdyż zgodnie z nawykami trzeba by napisać "anty - propagandyzacji" lub "kontr - propagandyzacji". Lecz słowa te są stworzone właśnie po to, aby propagandzie się nie sprzeciwić. Pokazują one postawę walki, wojny, boju, starcia - chcąc tym samym przestraszyć maluczkich, chcących uwolnić się od okowy słów. Aby rzecz ta nie wyglądała tak groźnie używamy będziemy słowa od - propagandyzowanie. (Podobne zjawiska występują gdy chodzi o anty - komunizm, kontr - rewolucję, straszy się biedaków owymi "anty" i "kontr" - może i tu byłoby lepsze małe "od" - ?).

Chociaż mżoty w kuźni słownej pracują pełną parą, warto odnotować skutki działania i mżotów z drugiej strony. Warto rzec kilka słów o działaniu audycji radiowych z Zachodu. Ich działanie jest również przykładem manipulacji - ale o tej możemy powiedzieć: na szczęście. Zwróćmy tu uwagę tylko na trzy sprawy. Po pierwsze w audycjach tych dokonano wyłączenia terminu "w k a d z a" w odniesieniu do naszego życia politycznego. Było to przeoidwidzanie manipulacji mającej wyprać z głów obywateli fakt istnienia osobnej grupy rządzącej. Istnienie to zacierano, zamazywano, zamydłano - stwarzając wrażenie jakby rządził "nie wiadomo kto", jakies Córki, góra, oni, anonimowe gremia - a tak w podtekście "wzyscy - lud". Ciągłe wbijanie do głów słowa: "władza", "władza", "władza" zniwelowało te machinacje. Możemy być wdzięczni, że wbito nam to do głów (zresztą te władze też już się dostosowały i chętniej już nazywają siebie "władza" - i to dobrze. Jest jasno.)

Analogiczne zabiegi odnotujemy do pojęć: PRL, które zagraniczne rozgłośnie obdarzyły pogardliwym sensem (skutecznie) oraz "-lecie": zabieg słowny (dziesięciolecie, dwudziestolecie, trzydziesto, czterdziesto ...) mający pokazać jak długo trwa już ta władza. Dzięki skutecznemu i uporczywemu działaniu nadano tej słówce słownej sens ujemny: "no, w k a s n i e, już trzydzieści lat - i o o???" Przykłady te pokazują, że mechanicznemu brudzeniu umysłów może być przeciwstawiane również mechaniczności. Sam rozsadek bywa zbyt słaby - pewne rzeczy dobrze jest i namemu sobie "wbijać w głowę". Niestety.

Możemy spytać, czy ta infernalna sytuacja ciągnąć się będzie w nieskończoność? Wbrew pesymizmowi Orwella można sądzić, że postęp techniki pomoże oszkowikowi, a nie pograży go do końca w świat fałszu. Komputeryzacja świata, łatwość tworszenia prywatnych systemów przekazu i komunikacji (odrębne nadajniki, sieci telewizyjne, zbiory videokaset, łatwość druku i foto-druku, który można uprawiać w łazience) wskazują, że zakłamywanie nie jest technicznie bezgraniczne. Nigdy nie zdążono spalić waleczkich książek, zniszczyć gazet i dokumentów, wyciąć przekazów z ust do ust. Ludzkość przetrzyma fałszarzy, okłupiaczy, manipulatorów, pseudo-słotowórczy bandytów i szpicie ludzi w imię własnej władzy. Istnieje język rozpada się głównie w trakcie budowania monstrualnych wież Babel. Jednak budowania takiego można uniknąć.

O KŁAMSTWIE I ZAKŁAMANIU

OCZYMA

PSYCHOLOGIZUJĄCYCH

HERMENEUTYKÓW

Nie ma zapewne potrzeby nikogo przekonywać, jak doniosłym czynnikiem ludzkiego życia (w tym zwłaszcza - życia społecznego) jest język. Nie ma wszak bodaj ani jednej takiej sfery ludzkich spraw, dla której język nie posiadałby jakiegoś (mniejszego lub większego) znaczenia, o ile tylko istotnie jest to sfera spraw ludzkich. Na ogół jednak - zarówno w przeświadczeniach potocznych, jak i w przekonaniach osób szczególnie żywo (np. z racji wykonywanej profesji) zainteresowanych fenomenem językowym - przeważa tendencja do czysto instrumentalnego pojmowania, interpretowania i wyjaśniania zjawisk językowych: językowych środków i sposobów artykulacji. Język jako najbardziej uniwersalny i optymalny (bo wręcz - naturalny) nośnik informacji i tym samym najprostszy środek komunikowania się ludzi - oto klasyczna i obiegowa formuła oddająca, jak się powszechnie przyjmuje, samą istotę języka ludzkiego.

Jak do tej pory, nikt chyba bardziej dobitnie od Orwella nie uświadczymy nam, na jak wielkie schorzenia i patologie narażony jest ludzki język (resp. mowa), jeśli rozumieć go będziemy zgodnie z ową panującą powszechnie tendencją, tj. - jeśli jego istotę rzeczywistości zredukujemy do roli wyłącznie instrumentalnej i w żadnej mierze nie będziemy się liczyć z jego własną "bytową autonomią". To właśnie Orwell w sposób niezrównany uświadomił nam, z jakim to "potworkiem" mamy do czynienia zawsze wtedy, gdy istotnie ludzki język uda nam się "wyprowadzić" z tych wszystkich jego właściwości i charakterystyk, które zresztem są przypadkowe, pozornie nie stanowią składowych istoty języka, bo wszak swa funkcję czysto informacyjną (tj. jedynie istotną) jest on w stanie i tak spełniać. Okazuje się wówczas - tj. wtedy, gdy język bez reszty podporządkujemy celem wobec niego zewnętrznym, np. uwzględniając wykonanie jego funkcję informacyjno-komunikacyjną jako jedynie istotną, uczynimy go jedynym z instrumentów sprawowania władzy lub temu podobne - że język jest w stanie zwyrodnąć do takich rozmiarów, iż nagaje on i znosi sam siebie.

Jednym z nielicznych nurtów filozoficznych, który doleka jest od upraszczających ujęć i który język czyni nie dość, że obiektem cennym dla siebie samego, to jeszcze kluczem do zrozumienia uniwersalnej natury ludzkiej, jest dwudziestowieczna hermeneutyka Filozofa z O f i c z n a. Otóż, jej najwybitniejsi przedstawiciele i rzecznicy - M. Heidegger, H.G. Gadamer i F. Ricoeur - zgodnie stwierdzają, iż istoty języka nie sposób wyczerpać wskazując nań jako tylko jeden z instrumentów (narzędzi, środków) komunikacji człowieka ze światem, wszak język - replikują - nie jest tylko zwykłym narzędziem, na które się, na które sięgamy, gdy zachodzi tego potrzeba (np. potrzeba ekspresji, kontaktu czy porozumienia) i następnie odkładamy, gdy spełniło ono już swoje zadanie. "Językowa wykładnia świata - powie H.G. Gadamer - poprzedza wszelką myśl i wszelkie poznanie". (1) Tezy tej nie będziemy tu naturalnie bliżej omawiać i dyskutować. Dyskutując taka rzeczko zawiodą by nas w regiony rozważań nader abstrakcyjnych i nad wyraz przy tym skomplikowanych. Tym zaś, co chcielibyśmy teraz tu przedłożyć, jest drobny fragment refleksji filozoficznej hermeneutyków nad językiem - ten mianowicie, w którym odwołują się nam pewne praktyczne patologie życia psychicznego i społecznego ludzi, przy tym patologie, których

ź r ó d ł e m (resp. warunkiem możliwości) okazuje się być właśnie język (resp. mowa ludzka).

Hermeneutycy, zwłaszcza H.G. Gadamer, wielokrotnie z niejakim upodobaniem powołują się na Arystotelesa jako protoplast niektórych wątków swej koncepcji filozoficznej. Jest to istotnie z wielu względów usprawiedliwione. Wszak to Arystoteles przyrównał proces nabywania umiejętności mowy (resp. roz-mowy) a także wiedzy ogólnej do sytuacji, kiedy nie sposób jednoznacznie wskazać na ten pierwszy i decydujący moment, w którym zatrzymuje się np. uciekające w panice wojako, podobnie nie sposób jest określić, kiedy dziecko wyowiada swoje "p i e r w - s z e" słowo lub w świadomości człowieka utrwala się "p i e r w s z y" ogół. Również Arystoteles jest autorem klasycznej już definicji natury ludzkiej, definicji, która głosi, że człowiek to "animal rationale". Przy czym - co mocno podkreśla Gadamer - greckie słowo "logos", użyte w oryginalnym sformułowaniu tej definicji, oddaje się zwykle przez "rozum" lub "myślenie", zapominając zgoła, iż w istocie oznacza ono przede wszystkim "język". Tylko człowiek posiada "logos", co znaczy, że jest on co prawda istotą myślącą, lecz nadto, że może m ó w i ć, czyli pojęciowo ujawniać takie stary rzeczy, których adresat jego aktu mowy nie ma aktualnie przed oczyma. W efekcie, jedynie człowiek jest zdolny p r z e k a z a ć innym wszystkie swoje myśli. Z kolei dzięki tej możliwości przekazu, może realnie zaistnieć coś, co najprościej nazwać "wspólnotą myśli".

Bez względu jednak na wszystkie bliższe i dalsze konsekwencje możliwości i faktu ujawniania przez ludzi "zawartości" swej świadomości, istotnym z punktu widzenia stosunków interpersonalnych człowieka wydaje się być nie tylko fakt językowego r o z u m i e n i a świata, co fakt istnienia w s p ó ł n o t y k o m u n i k a c y j n e j między ludźmi. Ona to bowiem stwarza dopiero bezpośrednią szansę na porozumienie się ludzi między sobą przy pomocy s ł ó w. Samo słowo (resp. pojęcie) nie wystarcza; każde słowo, z pomocą którego porozumiewamy się z a k ł a d a zawsze istnienie porozumienia, które musiało się dopełnić uprzednio. Język - w którym słowo ma się tak, jak część do całości - z natury swej ma utwierdzać ową wspólnotą komunikacyjną: taki jest jego właściwy sens, takie jest jego powołanie, temu ma służyć jego "rozwoj". Wygłaszając wszelako taki pogląd trzeba pamiętać, iż w języku (w s ł o w a c h) zawiera się zawsze coś, co go (je) przerasta, co radykalnie wykracza poza same znaczenie niechby nawet najprecyzyjniej określonych słów. Z jednej bowiem strony, język - ponieważ z istoty zawsze jest r o z - m o w a - zawiera w sobie praktycznie nieograniczony horyzont sensu: każde słowo zawiera nie tylko nawiązanie do jakiegoś "przed" i jakiegoś "po", lecz wyznacza także - jak mówi H.G. Gadamer - "otwarty horyzont sensu", podatność na nowe wciąż użycia, zdolność do ujawniania stanów rzeczy rozmiągających się z pierwotnymi intencjami (roz-)mówców.

Z drugiej zaś strony, język posiada i taką - nie mniej zaskakującą od poprzedniej - zdolność, która polega na s k r y w a n i u ewokowanych i komunikowanych treści. Ten drugi szczególny fenomen językowy często bywa wykorzystywany (w celach najzupełniej praktycznych) przez - by się tak wyrazić - "zawodowych mówców i pisarzy", to jest przez ludzi na codzień parających się słowem mówionym lub pisaniem (literatów, nauczycieli, adwokatów sądowych, ideologów etc.). Od strony teoretycznej natomiast (ze wskazaniem jednak na konsekwencje całkiem praktyczne) fenomen ów był żywo analizowany przez H.G. Gadamera.

Oto w krótkim eseju pt. "Semantyka i hermeneutyka"(2) Gadamer

wskazuje na dwie formy charakterystyczne, w jakich mówienie kryje się za siebie samo. Z pierwszą mamy do czynienia wtedy, gdy podczas rozmowy nie bez pewnego zaskoczenia konstatujemy obecność jakichś treści i sensów, o których głośno (resp. *Explicite*) wcale nie było mowy. Na drugą zaś natrafiamy wtedy, gdy pewne sensy i treści bywają starannie zakrywane przez mówienie: jakby "zagadywanie", z mniejszą lub większą wirtuozerią ukryte w potoku słów. O ile pierwszą ilustrują na przykład sytuacje niedowidzenia, o tyle druga najpełniej manifestuje się w kłamstwie. Pierwsza implikuje wszelką "okazjonalność mówienia", czyli każdorazową zależność sensów jakichś wypowiedzi od konkretnych okoliczności, w jakich się pojawiły. Sama ta okazjonalność nie jest jednak bynajmniej czynnikiem przypadkowym lub sztucznie narzuconym językowi. Przeciwnie, należy ona do istoty języka i mówienia w ogóle. Jednak możliwość tę stwarza już sam język, a ściślej - obecność takich w nim zwrotów jak "tu", "teraz", "to", "ten" czy "ów". Jest to w jednakowym stopniu konsekwencja zarówno nieskończonej, uniwersalnej poniekąd strony języka - tej która wyznacza ów "otwarty horyzont sensu" - jak i jego strony indywidualizującej, konkretyzującej. Stąd, tak ważką wydaje się Gadamerowi potrzeba rozwinięcia "hermeneutyki pytania". Jeśli bowiem każda wypowiedź (wzręcz każde słowo) wyznacza za każdym razem i w całym obszarze możliwego sensu, to szansa właściwego (resp. celnego) weń utrafienia mamy tylko wtedy, gdy wytropimy kryjące się za każdą wypowiedzią i każdym słowem pytania.

Pytania te winny ułatwić nam orientację także w tej formie zachowań językowych, w której mowa służy za instrument zakrywający myślenie. Gadamer wyróżnia trzy takie charakterystyczne typy zachowań językowych, w których określone treści (sensy) bywają zakryte przez mówienie:

1) kłamstwo, 2) błąd, 3) zakłamanie. (3) Za najbardziej powszechny, a jednocześnie najmniej szkodliwy fenomen zachowań językowych tego rodzaju zdaje się uchodzić kłamstwo. O jego stosunkowo niewielkiej szkodliwości decydują tyleż względy praktyczne, co i teoretyczne. Oto bowiem z praktycznego punktu widzenia kłamstwo wcale nie jest bynajmniej zjawiskiem jednoznacznie negatywnym i w każdej sytuacji ze wszechmiar godnym potępienia. Dobitnie ilustrują ten fakt sytuacje na ogół każdemu dobrze znane z autopsji. Wszak nie od wszystkich i nie zawsze oczekuje się mówienia prawdy i tylko prawdy. Wie o tym każdy, kto choć przez trochę był opiekunem - np. z tytułu rodzicielstwa - zdrowo i normalnie rosnących dzieci. Mówienie prawdy i tylko prawdy nie wymaga się też od lekarza sprawującego opiekę nad nieuleczalnie chorym. Również oskarżonemu w niektórych krajach przysługuje się moralne prawo do postugiwania się kłamstwem, wybierając sobie prawo do milczenia w sytuacji, gdy jedna z jego (jako człowieka) wartości autonomicznych jest poważnie zagrożona. Kłamstwo w niejednej kulturze bywa też zwykłą formą grzecznościową. Celują w tym niektóre ludy Schodu. Treście kłamstwo - bez narażania się na zarzut o nadużycie zaufania - bywa z wielkim powodzeniem i pożytkiem wykorzystywane w pracy twórczej literatów oraz w innych dyscyplinach sztuki.

Kłamstwo bywa również stosunkowo najmniej szkodliwe także z innych powodów: znacznie poważniejszych jeszcze - powodów natury, rzekłbym wprost filozoficznej. Jeśli bowiem nawet zupełnie pominać, że jak to się zwykło mówić - "prawda prędzej czy później zawsze wyjdzie na jaw" lub: "kłamstwo ma krótkie nogi", to i tak okazuje się, iż na obronę kłamcy zawsze można przytoczyć argument w istocie najpoważniejszy. Otóż, mianowicie kłamca z a w s z e zakłada - jak powie H.G. Gadamer - "komunikatywną wartość prawdy". Wyrażnie widać to wtedy, gdy kłamstwo jego zostanie odkryte, to jest - gdy przedstawione mu zostaną

jawne dowody "winy". Specyfika tego zjawiska językowego polega bowiem na tym, że kłamca nie tylko coś ukrywa, lecz także stara się ukryć to, że u k r y w a. Powiada się wówczas: "kłamie jak najęty", "nawet się nie jąka", "kłamie jak z nut".

Tymczasem ujawnienie obu tych faktów ("co" i "że") - możliwe najczęściej dzięki pytaniom zakreskającym horyzont rozumienia danej wypowiedzi - czyni na ogół piorunujące wrażenie na jej autorze. Ale i to nie jest w tym najważniejsze. Najistotniejszym natomiast jest fakt, że kłamca ukrywając to, że kłamie, świadomy jest zarówno tego aktu, jak i zasadniczej niezgodności pomiędzy sensem wypowiedzi odzwierciedlającej rzeczywisty stan rzeczy a sensem tej wypowiedzi, której jest autorem. Okoliczność ta - jakże doniosła z punktu widzenia refleksji hermeneutycznej - o ile pozwala na zdyskredytowanie kogoś pod względem moralnym, towarzyskim, obyczajowym czy temu podobnym, to nie może bynajmniej stanowić podstawy dla oskarżenia o opaczne, zniekształcone bądź całkowicie pozbawione jakiegokolwiek sensu rozumienie świata. Co więcej, kłamca jednocześnie wie, jaką wartość z punktu widzenia czysto komunikatywnego ma owa treść, którą on zna i rozumie, a której n i e c h c e tylko ujawnić, co mu się w końcu zresztą znakomicie udaje dzięki obecnym w każdym języku możliwym formom zakrywania określonych sensów przez odpowiednie słowa.

Jak więc widać, "błędy sumienia" - by posłużyć się pewnym stereotypowym skrótem myślowym - nie muszą wcale z konieczności implikować "błędów poznania" czy też korelatywnie iść z nimi w parze. Zresztą, wynikanie w przeciwnym kierunku jest równie problematyczne, choć - na pierwszy rzut oka - bardziej prawdopodobne. Jest to jednak tylko pozór, co najmniej w odniesieniu do problematyki kłamstwa. Z czysto poznawczego punktu widzenia kłamca jest więc najzupełniej w porządku. Zjawisko, które chętnie nazwalibyśmy a u t o a l i e n a c j ą świadomości, nie wchodzi tu w rachubę. Klęskawy bowiem dramat zaczyna się dopiero wówczas, gdy autor jakiejś wypowiedzi nie uświadamia sobie zakrywania pewnych sensów przez mówienie. I wówczas w grę wchodzi bądź to b ł a d, bądź to s a k ł a m a n i e.

Z czysto semantycznego i hermeneutycznego punktu widzenia zjawisko błędu nie jest bynajmniej czymś szczególnym. Można by rzec, iż od strony zachowań językowych wypowiedź błędna niczym się nie różni od wypowiedzi poprawnej, zaś łatotna różnica pojawia się dopiero na poziomie analizy epistemologicznej, tj. gdy rozpatrzymy daną wypowiedź pod kątem jej wartości prawdziwościowej. Wypowiedź błędna jest zatem "poprawną" gdy idzie o jej sprawność jako środka ekspresji, natomiast "błędną" jest w tym sensie, iż rozmija się z "prawdą", oraz że ponadto nie towarzyszy jej świadomość tego właśnie faktu, żywna przez mówiącego nawet w przypadku kłamstwa. Hermeneutycy skłonni są więc "błąd" utożsamiać z "faksem", "wypowiedź błędną" z "wypowiedzią fałszywą". Dla filozofów byłby to z pewnością jeden z punktów ewentualnego sporu. Niemniej, błąd (jakkolwiek byśmy go nie uszkolali rozumieć) należy w każdym razie uznać za jedną z form skrywania świata sensów w procesie porozumiewania się ludzi ze sobą - tym dotkliwszą, że podmiot wypowiedzi jest zupełnie nieświadomy dwuznaczności, którą stwarza dzięki językowym środkom artykulacji swych myśli.

Wszelako w jeszcze większym stopniu cała sytuacja komplikuje się (zarówno w perspektywie praktycznej i teoretycznej) w przypadku s a k ł a m a n i a. Tu bowiem w g ł o b o n y proces komunikacji nie tylko między ludźmi, ale i ze sobą, uświadamia sobie to,

że kłamie i świadomie stara się fakt ten ukryć; nie wyrzekając się mimo to poczucia wartości informacji prawdziwych i nie przekreślając tym samym realnych szans na porozumienie - choćby z samym sobą. Ten zaś, kto popełnił błąd - doceniając wartość porozumienia się - w każdej chwili błąd swój gotów jest uznać, jeśli tylko przedstawi mu się stosowny dowód. Człowiek zakłamany natomiast nie jest świadomy własnego kłamstwa. Jest on też niewrażliwy na żadną perswazję (uzasadnienie i dowody), zakładając komunikatywną wartość prawdy. W równym stopniu obce jest mu to, co zwąć się przywykło zmysłem prawdy, jak i to, czemu każdy język wi-nien czynić zadość, żeby nie być pozbawionym racji swego istnienia, mia-nowicie - potrzeba porozumienia.

W przypadku człowieka zakłamanego, język i poszczególne słowa jak-by przeczyły swej istocie: miast stać się - zgodnie ze swą naturą - nośnikiem informacji umożliwiających rozumienie i porozumienie, czynni-kiem mediującym pomiędzy poszczególnymi podmiotami ludzkimi z jednej strony oraz pomiędzy subjektem a obiektem z drugiej, wypowiedane słowa stają się tu jedynie zasłona uniemożliwiająca jakikolwiek rzeczywisty przepływ i ruch treści świadomych. "Z hermeneutycznego punktu widzenia - bowie H.G. Gadamer - rozpoznanie zakłamania oznacza, że partner rozmowy został wykluczony z komunikacji, ponieważ zrezygnował z samego siebie". (3) Istotnie, czymże bowiem jest postawa zakłamania, jeśli nie jaskrawym świadectwem samoalienacji, w rezultacie której świadomość z pomocą uśmierca samą siebie - uśmierca, zakładając sobie kaganiec ubranych w słowa przesadów, uprzedzeń i dzi-wactw pretendujących do oczywistej pewności: zawsze jedynie słusznych.

Powiada się też niekiedy, że zakłamanie jest samooszukiwaniem, a w najlepszym razie - eufemizmem. Oszukiwanie bowiem samego siebie jest skrętnym skrywaniem (także i przez mówienie) tych treści świadomości, które są już w niej obecne, żyją, lecz których z jakichś powodów lekamy się przed sobą ujawnić w całym ich bogactwie i soczystości. Mówimy wtedy: są sprawy, o których boję się myśleć (resp. mówić), stara-ram się nie myśleć (resp. mówić) lub wolę myśleć (resp. mówić) o czymś innym. Samooszukiwanie nie ogranicza jeszcze życia świadomego w takim stopniu, że staje się już niemożliwa jego pełna restauracja aż po zupeł-ny zdruzgotanie barier krępujących obecne w świadomości treści. W przy-padku natomiast zakłamania wszelka "aktywność" świadoma bywa jakby ska-melizowana; strumień świadomości - by posłużyć się pojęciem wyjętym ze słownika fenomenologów - przetacza się wyżłobionym przez żywione prze-sady korytem; w miarę jak proces zakłamania postępuje i narasta, "za-wartość etrumienia" jakby gęstnieje, osiada na dnie, rozsypuje się na boki i umacnia samo koryto, które powoli zastyga i twardnieje, by nas-tępnie - pozbawione swej dynamicznej treści - znieruchomieć. Taki jest finał - idealny koniec zakłamania.

Obecnie w każdym języku (resp. myśleniu) aprioryczne pojęcia, sen-sy, ich struktury oraz schematy rozumienia zjawisk przyrody i kultury najczęściej pozostają jednak w ukryciu, stają się czasami wręcz niewi-doczne w zalewie myśli, słów czy tzw. "potoczności" języka. Lecz mimo to one właśnie decydują o tym, co i jak myślimy i mówimy. Ten świadomienie (choćby cząściowe) wymaga wiele trudu. Z pomocą spie-szy tu refleksja hermeneutyczna. Powszechnie znana i szeroko już rozwinię-ta jej postać jest krytyka ideologii. I w ogóle trzeba by wiedzieć, że tam, gdzie mamy do czynienia z krytyką

- przeciwstawiona wszelkiej dogmatyce, bez względu na obszar życia duchowego czy to w obrębie nauki czy poza nią - tam zawsze idzie o ujawnienie owych milczaco założonych w języku (resp. myśleniu) struktur przesądów, uprzedzeń i najgłębiej choćby zakorzenionych przesądów. Systematyczna refleksja hermeneutyczna (rozwijana najczęściej właśnie pod postacią wszelkiego rodzaju "krytyk") oraz jej nieodzowność zyskuje swój głęboki sens dlatego, ponieważ żywione przez ludzi przesady nader często stawiają twarde opór. Zakłamanie niektórych z nich dokonuje się na ogół pod wpływem nowego doświadczenia lub wielokrotnych doświadczeń. Lecz bywa i tak, że co silniejsze przesady zabezpieczają się przed ich zrewidowaniem w sposób nader wymyślny. Trąz z upływem czasu nabierają mianowicie charakteru nie poddających się krytyce oczywistości - zrozumiałych samo przez się pewników. Taki ich charakter częściowo jest funkcją istotnościowych związków znaczeniowych pomiędzy sensami występujących w języku słów.

Wcale jednak nierazdko bywa i tak, że celowo urabia się "jedyną skusznosc", "absolutną pewność", "oczywista ważność" czy "adekwatną jednoznaczność" wygłaszanych tez, wypowiedzianych poglądów, obowiązkujących hic et nunc lub powszechnie "prawd". Jak na dzień widać to wszędzie np. w języku propagandy. Każda ideologia nie stroni zresztą od wszelkiego rodzaju "chwytów" umacniających tę lub inną klasę przesądów. Do powszechnie stosowanych należą np. uporczywe powtarzanie określonych kwestii, które w miarę upływu czasu nabierają coraz bardziej charakteru oczywistej pewności. W proces narastania pewności nabiera dodatkowego przybliżenia, jeśli jednocześnie ukazuje się jaskrawo kontrastująca z nimi "absurdalność" innej klasy "prawd", jeśli - dalej - te ostatnie ukazują się jako ugruntowane jedynie ideologicznie, podczas gdy pierwszym (nastym właśnie) przypisuje się status obiektywnej ważności czy też ugruntowanie naukowe. Określenia: "pogląd naukowy", "naukowo ugruntowana obiektywność" itp., bez wątpienia stwarzają wrażenie powagi i stabilności oraz utwierdzają w nas zaufanie do określonych decyzji politycznych - tych decyzji, z których każda ma przecież za sobą powagę samej nauki. Ma tu miejsce mniej lub więcej sprytna próba skojarzenia subiektywnego, partykularnego interesu pewnej grupy społecznej z "obiektywną koniecznością uniwersalnych praw" rządzących przyrodą, społeczeństwem i historią. Pozory uniwersalności poznania (jego totalność, konieczności i intersubiektywnej ważności), jakich dostarcza sama nauka, kryją w sobie tymczasem pewną klasę mitologiczno - religijnych wręcz przesądów oraz prozajczne interesy określonych grup społecznych. Te ostatnie dość jednoznacznie chyba wyraża roznoga od nowego czasu społeczna rolą tzw. ekspertów.

Mit abolutu poznawczego, do stworzenia którego przyczyniła się także sama nauka (resp. ludzie nią się parający), stanowi współcześnie jeden z najistotniejszych przesądów zakłamejących nie tylko świadomość społeczną, ale i bardziej elitarną. Z tej też racji przesąd ów może być i jest wykorzystywany jako znaczący element gry rozmaitych interesów. W jego demistyfikacji tymczasem pomocna może się okazać właśnie refleksja hermeneutyczna: krytyczny namysł nad sposobami zakrywania myślenia przez nową. Sposoby te jest chyba najtrudniej ujawnić w postawach zakłamejących i dogmatycznych. Nie jest to proste nawet w przypadku tak zwanego przez K. Ajdukiewicza dogmatyzmu - stosunkowo najbardziej prostej (bo wręcz jawnej) formy dogmatyzmu polegającej na obowiązku uznawania pewnych twierdzeń bez względu na stopień i rodzaj ich uzasadnienia. (4) Twierdzenia, w odniesieniu do których głosi się ten obowiązek, nie są niczym innym jak zwykłymi

dogmatami.

Cała jednak trudność z dogmatyzmem tego rodzaju polega w naszych czasach na tym, że występuje on najczęściej w postaci, niestety, coraz staranniejszemu maskowanej. W postaci jawnej, a jednocześnie czystej, występuje on obecnie jedynie w obrębie życia religijnego. Inaczej jednak ma się rzecz już np. w przypadku ideologii, szczególnie zaś - ideologii pretendujących do miana tzw. "naukowo uzasadnionych" bądź wręcz "naukowych". Tu, obecny w nich dogmatyzm normatywny przejawia się w tym, iż wprawdzie nie ogłasza się wssam i wobec obowiązkowi respektowania określonych zasad, norm i opinii, lecz wobec tych, którzy ujawniają swoją niewiarę lub tylko sceptycyzm w odniesieniu do owych milczaco uznanych dogmatów, stosuje się mniej lub więcej drastyczne represje. Te współcześnie najbardziej rozpowszechniona postać dogmatyzmu normatywnego K. Ajdukiewicz proponował nazywać k r y p t o d o g m a t y z m e m. Trzeba się też zgodzić z jego sugestią, iż właśnie ta współczesniejsza wersja dogmatyzmu normatywnego daje się odnaleźć również w nauce.

Przykłady, które to potwierdzają, można by tu przytoczyć mnóstwo. Do najbardziej znanych należą okoliczności upowszechnienia w niektórych krajach np. teorii względności Einsteina (dotyczy to także Polski; por. J. Infeld: Szkice z przeszłości, W-wa 1966) lub osławiona już wielką karierą naukową Hysenki i jego po dziś dzień niepełny casus. Najpowszechniej jednak ten typ dogmatyzmu przejawia się w bezkrytycznym uznaniu pewnych twierdzeń za absolutnie niepodważalne na tej jedynie podstawie, że o takim ich charakterze zaświadcza "najwyższe autorytety" lub tzw. "kompetentne osoby".

Innego rodzaju dogmatyzmem, który trapi naukę współczesną, jest dogmatyzm metodologiczny, "polegający na uznawaniu pewnych twierdzeń nie posiadających racjonalnego uzasadnienia w ogóle lub też na przypisywaniu pewnym twierdzeniom wyższej rangi poznawczej, niż na to sposób ich uzasadnienia pozwala". (5) Otóż, w nauce również istnieje wyraźna tendencja do uznawania pewnej klasy twierdzeń za ostateczne i niepodważalne, mimo że sposób ich uzasadnienia wcale nas nie upoważnia do żywienia takiego przesądzenia. Tylko bowiem niewielka część twierdzeń w nauce ma charakter definicji bądź posiada dowód edukacyjny, zatem może być uznana za całkowicie (resp. ostatecznie) uzasadniona. Natomiast większość twierdzeń i sądów naukowych, zwłaszcza w naukach empirycznych, posiada jedynie uzasadnienie częściowe, które bynajmniej - w myśli postawy racjonalnej - nie upoważnia nas do uznawania ich za prawdy ostateczne i niepodważalne.

Tymczasem rzeczywistość bywa jakże odmienna. Już nawet nie chodzi o to, że wśród ludzi parających się nauką gotowość odwołania wygaszających twierdzeń jest niewspółmiernie mała w porównaniu z gotowością do ich (choćby irracjonalnego) potwierdzenia, lecz idzie o to, iż przywiązanie do głoszonych w obrębie danej dyscypliny (jak i poza nią) poglądów jest tak wielkie, że nie bywają one porzucane nawet gdy istnieją ostateczne racje do takiego ich potraktowania. Zasiadająca zaiste bywa odporność niektórych umysłów na jakkolwiek raziącą i nędną argumentację. Z psychologicznego punktu widzenia fenomen ten jest tylko ratwo zrozumieć, co praktycznie trudno wyeliminować. Szczepiaste bowiem odstąpienie od jednego jakiegos poglądu wiąże się na ogół z radykalnym często dokonaniem rewizji całego ich systemu - systemu, przez lata czaje przeczep z mozołem ugruntowywanego oraz obranego w całym masie pozapoznawczych sankcji. A przy tym, na system ten składa się najczęściej wiele przesądzeń funkcjonujących w sposób całkowicie

niekontrolowany, bo dostępu do świadomej ich artykulacji broni m.in. zasłona utkana z utwierdzających postawę zakłamaną słów.

Zauważmy, że nawet gdy w dyskusji szczęśliwie jakoś dla oponentów uda się jakimś cudownym sposobem sprowadzić dyskutowany problem do takiego sformułowania, które jednoznacznie domaga się odpowiedzi na "tak" lub "nie" ("czarne" lub "białe") i jeśli nawet jedna z tych odpowiedzi jest ewidentnie bezsensowna i w związku z tym obaj muszą udzielić tej samej odpowiedzi, to zamiast krótkiego "tak" lub "nie", plynie cała rzeka słów, z których z trudem tylko domniemywać można owej jednakowo brzmiącej odpowiedzi. Sytuacji takich jest wiele, a wynosić z nich można, iż co najmniej jeden z partnerów "rozmowy" jest człowiekiem zakłamanym, tj. takim, który uprawiając a g i t a c j ę na rzecz własnego stanowiska w słowach wyłącznie poszukuje zabezpieczenia przed zdemaskowaniem krępujących jego umysł przesądów jako przesądów właśnie. S a m o a l i e n a c j a świadomości człowieka zakłamanego polega bowiem na tym, że z i s t o t y swej świadomości, jaką jest jej aktywność, czyni on ś r o d e k uśmiercający tę aktywność. Czyni to poprzez dopuszczanie do swej świadomości tych tylko treści, które zadośćczynią niegdyś (lecz raz na zawsze) wypracowanym kryteriom "absolutnej pewności", "jedynych słuszności", "obiektywności", "wiarygodności" itp. Podmiotowość człowieka zakłamanego zostaje tu uśmiercona w ten sposób, że właśnie J a jest on w stanie rozpoznać jedynie w tym, co już zostało jakoś uprzedmiotowione, zobiekttywizowane, czyli wyraża się na podobieństwo istnienia rzeczy.

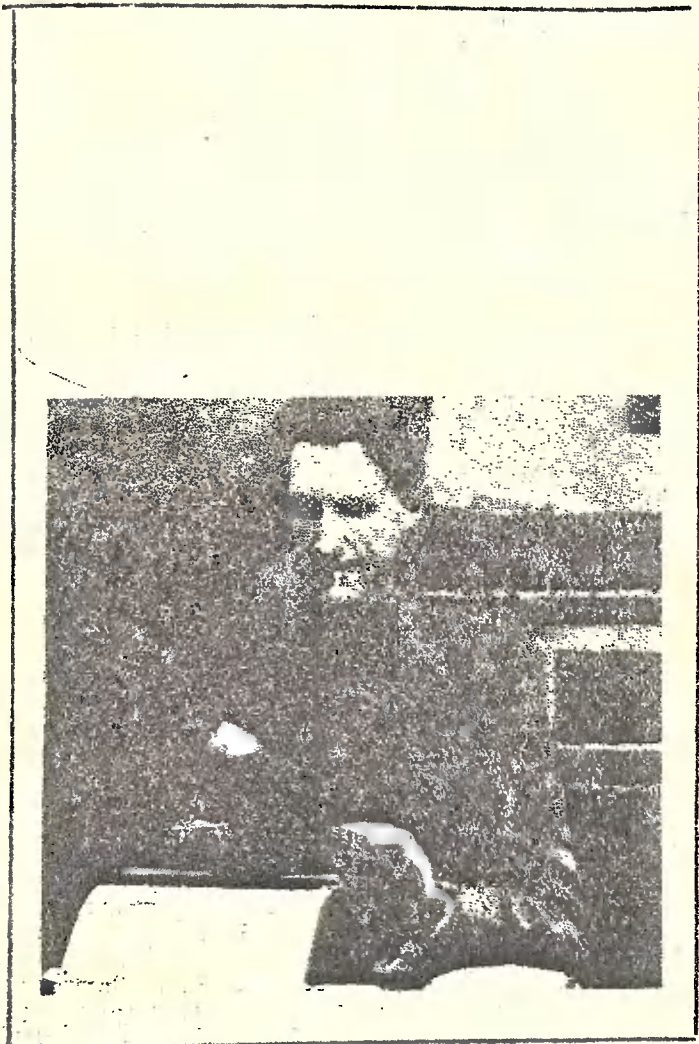
Czy na zakłamanie jest jakieś lekarstwo? Nie, tymczasem jeszcze nie udało się go wynaleźć. Postawa zakłamaną w dalszym ciągu oznacza po prostu, że jeden (co najmniej - jeden) z partnerów rozmowy został z niej wykluczony, a raczej sam się wykluczył. Zaś stopień owego schorzenia u każdego gotów bym mierzyć natężeniem hałasu czynionego przez słowa: im więcej słów i ich jazgot intensywniejszy, tym schorzenie głębsze; natomiast im mniej słów używa się, by wyrazić określoną treść, tym dalej jesteśmy nie tylko od patologii nadwerbalizmu, ale i od pospolitego zakłamania. Nie należy bowiem zapominać, że tym, co je umożliwia, jest wszak zasadniczo język.

Jerzy Napiórkowski

P R Z Y P I S Y:

1. Zob. H.G. Gadamer: "Rozum, słowo, dzieje", Warszawa 1979, s.51.
2. Zob. tamże, s.107 - 118.
3. Por. tamże, s.114 - 115.
4. Por. Kazimierz Ajdukiewicz: "O wolności nauki" (w:) K. Ajdukiewicz, "Język i poznanie", t. 2, Warszawa 1965, s.266 - 281, w tym głównie s. 273 - 276.
5. Por. tamże, s.274. Najbardziej jaskrawą postać dogmatyzmu metodologicznego nazywa K. Ajdukiewicz d o k t r y n e r s t w e m. Polega ono na uporczywym - i najzupełniej irracjonalnym w swym uporze - "trzymaniu się pewnych poglądów mimo wystarczających racji do ich odrzucenia". Por. tamże, s.275.

POLITYKA



JAK MI SIĘ PODOBA

/ 1 IX 1947 /

W zasadzie nie zajmuję się szczegółowym omawianiem polityki bieżącej, lecz w tym tygodniu zdarzyło się coś, co wymaga zabrania głosu. Ponieważ najwraźniej jaki inny tego nie robi, chcę zaprotestować przeciwko podłemu i tchórzliwemu stanowisku, jakie prasa brytyjska zajęła wobec niedawnego Powstania Warszawskiego.

Gdy tylko rozeszła się wiadomość o powstaniu "News Chronicle" i pokrewne jej gazety przyjęły stanowisko zdecydowanej dezaprobaty. Odnosiło się ogólne wrażenie, że Polacy zasłużyli na porządne lanie za zrobienie tego, do czego od paru lat namawiali ich radio alianckie i że nie dostaną żadnej pomocy zewnętrznej, a nawet, że im się takowa nie należy. Parę gazet zaryzykowało twierdzenie, że Anglicy i Amerykanie, znajdujący się o tysiące mil mogliby zrzucić broń i ekwipunek; lecz o ile mi wiadomo, nikt nie zasugerował, by zrobili to Rosjanie, oddaleni o 20 mil od Warszawy. "New Statesman" w numerze z 18 sierpnia wąpił nawet w skuteczność zrzutów w takich warunkach. Wszystkie lub niemal wszystkie gazety lewicowe pełne były oburzenia na emigracyjny Rząd Londyński za "przedwczesne" rzucenie hasła do powstania, w sytuacji, gdy Armia Czerwona znajdowała się u wrót miasta. Ten sposób myślenia jest bardzo wyraźny w liście pana G. Barraclougha do "Tribune", opublikowanym w przeszłym tygodniu. Stawia on następujące konkretne zarzuty:

- 1/ Powstanie Warszawskie nie było "spontanicznym zrywem ludności" lecz zaczęło się na rozkaz rzekomego rządu polskiego w Londynie.
- 2/ Rozkaz do powstania wydano "bez porozumienia z rządem brytyjskim czy radzieckim" i "nie podjęto żadnych kroków w celu skoordynowania powstania z działaniami aliantów".
- 3/ Polski ruch oporu nie jest bardziej zjednoczony wokół Rządu Londyńskiego, niż grecki ruch oporu wokół króla Jerzego /ta opinia podkreślona jest dodatkowo użyciem dla określenia Rządu Londyńskiego słów "emigracyjny" i "rakotwy"/.

4/ Rząd Londyński przyspieszył wybuch powstania, aby mieć kontrolę nad Warszawą w momencie wejścia Rosjan, w tym przypadku bowiem "będzie miała lepszą sytuację przetargową". Wnawia się nam, że Rząd Londyński jest zdradziłą sprawą narodu polskiego dla podtrzymania swej chęci "zyci u władzy", i tak dalej, w tym samym duchu.

Nie ma śladów dowodów na podtrzymanie tych oskarżeń, choć waga, jak i drugie są sprawdzalne a może nawet prawdziwe. Osobiście dają mi się, że drugie oskarżenie jest słuszne, a pierwsze częściowo słuszne. Trzeci zarzut zaś przeczy dwóm poprzednim. Jeśli Rząd Londyński nie jest uznany przez większość warszawiaków, to dlaczego podejmuje i desperacko decyduje powstania na jego rozkaz? Zrzucając na Sosnkowskich i całą resztę odpowiedzialność za powstanie, nakłada się tym samym, że Polacy ich właśnie uważają za przywódców. Te oczywiste sprzeczności powtarzają kolejne gazety i jak dotąd o ile mi wiadomo, nie znalazł się nikt na tyle uczciwy, by na to wskazać. Jeżeli chodzi o stosowanie zwrotu "emigracyjny", jest to zwykły chwyt retoryczny. Jeżeli Polacy z Londynu są "emigrantami", to są nimi również członkowie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, oraz wszystkie "wolne" rządy okupowanych krajów. Dlaczegoż to członkowie emigrując do Londynu, stają się emigrantem, a emigrując do Moskwy nie?

Zarzut czwarty ma swój odpowiednik w sugestii "Osservatore Romano", jakoby Rosjanie wstrzymali atak na Warszawę, chcąc wykrwawić powstańców polskich. Jest to znieprawdzone i niesprawdzone sformułowanie typowe dla propagandy, któremu wcale nie chodzi o ustalenie prawdy, lecz o maksymalne obrażenie przeciwnika błotem i wszystkim, do czego na ten temat przaczytał w prasie - z wyjątkiem paru poważniejszych gazet i kilku

wzmianek w "Tribune", "The Economist" i "The Evening Standard" - utrzymaną było na tym samym poziomie co list pana Barracloougha.

Nie znam się na polskich sprawach, a nawet gdybym mógł to nie mieszałbym się w spór między Rządem Londyńskim a moskiewskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego. Interesuje mnie natomiast postawa brytyjskich intelektualistów, których nie stać na jeden choćby głos zwątpienia w to, co biorą za politykę rosyjską, niezależnie od tego, jaki przybiera ona obrót. W tym konkretnym przypadku ludzie ci wykazali niestychaną podłość napomykając, że nie powinniśmy wysyłać bombowców na pomoc naszym sojusznikom walczącym w Warszawie. Ołbrzymia większość ludzi lewicy, którzy pożytkują politykę, jaką podsuwa im "News Chronicle" itp., nie wie o Polsce więcej niż ja. Wiedzą oni jedynie, że Rosjanie mają zastrzeżenia co do Rządu Londyńskiego i stworzyli konkurencyjny rząd, a to ich zdaniem przesądza sprawę. Jeżeli jutro Stalin miałby zerwać z PKWN i uznać Rząd Londyński, cała brytyjska inteligencja polecałaby za nim jak stado papug. Podchodzą oni do rosyjskiej polityki zagranicznej na zasadzie "Czy ta polityka jest słuszna, czy nie?", lecz "To jest rosyjska polityka; co by tu zrobić, by wydawała się słuszną?" Jeżeli takie podejście można w ogóle uzasadnić, to tylko na zasadzie siły. Rosjenie są silni w Europie Wschodniej, a my nie. Wniosek: nie należy im się sprzeciwiać. Kryje się w tym sposób myślenia z natury swej obcy socjalizmowi, ten mianowicie, że nie należy protestować przeciwko złą, któremu nie można zapobiec.

Nie miejsce tutaj by zastanawiać się, dlaczego brytyjska inteligencja z małymi wyjątkami, hołduje nacjonalistycznej lojalności wobec ZSRR i jest nieuczciwie krytyczna wobec sowieckiej polityki. Zresztą pisałem o tym przy innej okazji. Ale chciałbym zakończyć dwiema uwagami, które warte są przemyślenia.

Po pierwsze, przesłanie dla angielskich lewicowych dziennikarzy i ogólnie intelektualistów: "Pamiętajcie, że za nieuczciwość i chęć do zawsze przychodzi zapłacić. Nie wyobrażajcie sobie, że przez lata będziecie mogli być propagandystami liżącymi stopy reżimu sowieckiego lub jakiegokolwiek innego reżimu, a potem nagle wrócić do umysłowej przyzwyczajności. Kto raz się skurwił, ten już kurwą zostanie".

Po drugie, szersza uwaga. W dzisiejszym świecie nic nie jest równie ważne co przyjaźń i współpraca między Anglią i Rosją, a tego nie można osiągnąć bez otwartej dyskusji. Najlepszym sposobem dojścia do porozumienia z innym krajem NIE jest unikanie za wszelką cenę krytykowania go, nawet kosztem zaślepienia własnego narodu. Postawa niemal całej prasy brytyjskiej jest obecnie tak poddańcza, że przeciętny czytelnik nie bardzo wie, co się dzieje i bardzo łatwo może zostać wciągnięty w politykę, której za pięć lat będzie się wypierał. W mglisty sposób informuje się nas o tym, że warunki pokojowe z Wersalu były niczym w porównaniu z tym, co proponuje obecnie Rosja: podział Niemiec, astronomiczne odszkodowania i prace przymusowe na olbrzymią skalę. W praktyce te propozycje przyjmowane są bezkrytycznie, a w prasie lewicowej zatrudnia się nawet dziennikarzy, by je zachwalali. W rezultacie przeciętny czytelnik nie ma pojęcia, jak są niesamowite. Nie wiem, czy jak przyjdzie co do czego, Rosjanie rzeczywiście będą chcieli wprowadzać te warunki w życie. Wydaje mi się, że nie. Wiem natomiast, że jeżeli by do tego doszło, to brytyjska a prawdopodobnie i amerykańska opinia publiczna nigdy ich nie poprze, gdy ostygna już namiętność wojenna. Każdy ewidentnie niesprawiedliwy układ pokojowy wywoła wśród Brytyjczyków - tak jak to się stało po ostatniej wojnie - nierozsądną sympatię dla pokonanych. Przyjaźń między Anglią a Rosją zależy od istnienia wspólnie uzgodnionej polityki, a to z kolei jest niemożliwe bez otwartej dyskusji i autentycznej krytyki w l a s n i e t e r a z. Nie może być prawdziwego przymierza na zasadzie "Stalin ma zawsze rację". Pierwszym krokiem ku prawdziwemu przymierzowi jest wyzwanie zbudzenia.

Na koniec parę słów do osób, które napiszą do mnie w tej sprawie. pozwalam sobie zwrócić jeszcze raz uwagę czytelników na tytuł tej rubryki i przypomnieć wszystkim, że redakcja "Tribune" niekoniecznie zgadza się ze wszystkim co piszę, lecz jedynie stosuje w praktyce swe przekonania o prawie do wolności słowa.

/tekst ten został napisany na parę dni przed ukazaniem się artykułu Vernona Bartletta w "News Chronicle" z 29 sierpnia, zawierającym cięć niezgody z opinią przeważającą w całej prasie/ / dopisek autora/.

/"Tribune", 1 września 1947/

Przedruk za George Orwell, Eseje (wybór), Londyn 1985

KU PRZESTRODZE

"Polacy nie mogą być obarczeni winą za klęskę ich kraju. Nie dzierżyli bowiem swego losu we własnych rękach. Niezależnie od słuszności czy niesłuszności swej polityki - przemoczenie Polski otoczonej przez Niemcy i Rosję leżało w rękach wielkich mocarstw".

Tak pesymistycznym wnioskiem podsumowuje swe rozważania nad międzynarodową pozycją Polski w okresie między-

wojnia i nad dyplomatycznymi przyczynami klęski wrześniowej Jan Karasiński w swej pracy "The Great Powers and Poland 1919-1945" /Wielkie mocarstwa a Polska 1919-1945 / Georgetown University Press 1985/. Kilka stron przed tem znajdujemy szersze uzasadnienie takiego przeświadczenia "Polityka równowagi Becka była ze swej istoty nieoperatywna jako długoterminowe rozwiązanie. Polacy byli zbyt słabi na to. Ostatecznie mieli oni dwa rozwiązania, dwie możliwości - albo przyłączyć się do Nowego Porządku ustanowionego przez Hitlera albo aktywnie bezpośrednio współpracować ze Związkiem Radzieckim lub pośrednio uczestniczyć w gwarantowanym i inicjowanym przez Anglię i Francję systemie zbrojowego bezpieczeństwa /który oznaczał przejście przez terytorium II Rzeczypospolitej sojuźniczych wojsk radzieckich spieszących w pomoc zaatakowanej przez Niemców Polsce lub Czechosłowacji - przyp. M.B./ w żadnym z tych przypadków nie było miejsca na polską "niepodległą" politykę zagraniczną. Żadna z tych opcji nie była celem Becka, polska opinia publiczna przeciwdziałała się obydwu". Książka ta ukazała się 3 lata temu i jest plonem kilkudziesięciu studiów w archiwach dyplomatycznych Wielkiej Brytanii, USA, Francji i Niemiec. Króciutki artykuł opublikowany w emigracyjnym "Weteranie", a który przedrukujemy w naszym piśmie, nie jest w stanie nawet w zarysie dać pojęcia o bogactwie zebranego materiału faktograficznego, często dotąd nieznanego i nowatorstwie wielu wniosków, chociażby w przedstawieniu w jak niezwykle ciężkiej sytuacji wobec mocarstw zachodnich znajdował się Polski Rząd na wychodźstwie zarówno w okresie Angers jak i w Londynie. Rany tak małej formy nie pozwalają na zrelacjonowanie skandalicznych treści i w formie nacisków jakie wywierali Churchill i Eden, by skłonić Sikorskiego do koncepcji na rzecz ZSRR, w trakcie rokowań nad kształtem traktatu o współpracy sowiecko-polskiej w lipcu 1941r. Nie przedstawia ów tekst o mówionych znakomicie w książce reperkuacji sprawy katyńskiej w brytyjskich i amerykańskich sferach rządowych, a także kontrowersji polskich wobec haniebnego /nie jest to wcale zbyt mocna słowo/ braku lojalności ze strony Churchilla i obojętności Roosevelta. Analiza dokumentów dyplomatycznych stawia w nowym świetle rzady Mikołajczyka a potem Arciszewskiego, które były przez Zachodnią o brak elastyczności oraz przesadę ambicji, natomiast polscy komuniści odmawiali rządowi legitymacji do reprezentowania Polaków, zarzucając permanentną zdradę polskich interesów narodowych.

Tymczasem prasa polska w Wielkiej Brytanii nie mogła wyrazić swego zdania na temat stosunków polsko-radzieckich, sprostować choć w części oszustw obficie fabrykowanych przez propagandę Moskwy. Ulewnościł więc to knebel ostrej cenzury wojennej, który miał powstrzymać wszelkie wypowiedzi godzące w "czwórkę sojuszu", spistość wielkiej koalicji. Nic więc dziwnego, że choć Polski Rząd nieustannie od kwietnia 1943r. dążył do unormowania stosunków dyplomatycznych z Rosją i zawarcia prawdziwego porozumienia, znajdowały stosownie opinii publicznej oskarżenia, iż to Polacy bojkotują jakkolwiek możliwość kontaktów z Kremlem. Jednocześnie zaś Stalin żądał zmian personalnych w składzie rządu, którego nie uznawał, oraz zmiany polskiej linii politycznej /chodziło m.in. o usunięcie prof. Kota i gen. Sosnkowskiego oraz agodę na linie Corsona/.
Być może jednak jeszcze bardziej skłania do refleksji obraz sytuacji w Europie w dobie międzywojnia, co wykracza poza ramy tematyczne.....

zamieszczonych przez nas artykułu a zajmuje część pierwszą książki prof. Karskiego.

Analiza relacji polsko-francuskich jest tu szczególnie znacząca. Sojusz Polski i Francji został zawarty w 1921 i od tego czasu Francja nieustannie ignorowała interesy swego wschodniego sprzymierzeńca, narpzemian flirtując ze Związkiem Radzieckim lub Niemcami, wreszcie teledurując wyraźnie antypolską politykę obu rosnących w siłę i przeciwnych porządkowi wersalskiemu państw. Współpraca ta miała początek w separatyistycznym pokoju niemiecko-radzieckim w Brześciu w 1918r., utwierdziła się w trakcie inwazji bolszewickiej na Polskę w 1920, znajdując sankcję dyplomatyczną w Rapallo w 1922r. Zgoda zaś Francji na roszczenia terytorialne Niemiec wobec Polski wyrażona przez podpisanie paktów w Locarno /1925/ zaowocowała niemiecko-radzieckim układem w Berlinie w 1926r. /w tym samym czasie kulminacja polsko-niemieckiej wojny celnej/.

Kiedy współpraca ta urwała się wraz z dojściem Hitlera do władzy, a nieoczekiwanie polepszyły się relacje między Warszawą a Berlinem, Paryż zaczął wówczas kokietować Stalina, proponując zawarcie paktu wschodniego wymierzonego w Niemcy, znów nie biorąc pod uwagę obaw Polski przed wyjściem ZSRR z międzynarodowej izolacji.

Oczywiście nie sposób streścić na kilku stronach wielostronnie zaprezentowanego wywodu prof. Karskiego, przedstawić tak frapujących zagadnień jak choćby plan wojny przewencyjnej przeciw Niemcom jaki miał przedstawić w marcu 1933r. Piłsudski czy też przebieg równoległych negocjacji radziecko-brytyjsko-francuskich oraz radziecko-niemieckich wiosną i latem 1939r. Nie sposób po prostu choć potrzeba znajomości tak podstawowych faktów jest nieodzowna. Cel mojej recenzji jednak jest odmienny, jej zadaniem jest zmusić czytelnika do sięgnięcia po tak wartościową książkę jaką jest praca Karskiego. Należałoby wyjaśnić sobie na ile dane przedstawione przez historyka mogą dziś posłużyć do aktualnych refleksji.

Lektura książki Karskiego wydaje się niezbędna dla każdego kto chce rzetelnie rozmawiać o polskim interesie narodowym czy państwowym kto pyta o możliwości osiągnięcia niepodległości, gdzie szukać ewentualnych sojuszników. Praca uczy, niezbędnego każdemu szanującemu się politykowi, realizmu. Dla polskiego czytelnika, człekna narodu najbardziej chyba w Europie proamerykańskiego, jest kubłem zimnej wody zmywającym złudzenia co do bezinteresownej życzliwości zachodnich demokracji dla naszego kraju.

Karski zmusza swą pracą do zajęcia rezerwy i ostrożności wobec pełnej moralnie przejmujących frazesów i humanitarnych deklaracji polityki Zachodu. Spośród państw: Anglii, Francji, USA - uznających zasadność i potrzebę rewindykacji postulowanych przez Hitlera wobec Gdańska i polskiego korytarza - dwa: Anglia i Stany Zjednoczone sprzedały Polskę w stalinowską niewolę. I to za cenę ... świętego spokoju, uznając iż ZSRR ma prawo zabezpieczyć swe interesy wobec Niemiec otaczając je kordonem państw satelickich. Francja zaś wyrażała oburzenie i rozgoryczenie tylko dlatego, że sama została odsunięta od grona wielkich mocarstw.

Dzisiaj relacja Kuklińskiego i refleksje Brzezińskiego dowodzą, iż zdane z państw zachodnich nie podejmie bardziej zdecydowanej akcji w stosunku do ZSRR z powodu Polski, nawet gdyby niepodległościowa akcja zbrojna w Polsce została sprowokowana przez nieodpowiedzialne wystąpienia zachodnich polityków.

Jeżeli mamy więc Zachód traktować jako swego sojusznika, a niewątpliwie powinniśmy, albowiem interesy polskie wielokrotnie się zbiegają z ich interesami, wspólne też jest nasze zagrożenie - ekspansja komunizmu, to cały czas musimy liczyć się z możliwością nieojaralności z ich strony, a także brać pod uwagę częste objawiając się na Zachodzie ślepotę polityczną, nawet w ocenie własnego długofalowego interesu politycznego. Jak inaczej bowiem można wytłumaczyć tak nieszyki i tolerowany wzrost potęgi jednego z potęg drugiego totalitaryzmu. Jak wytłumaczyć politykę Anglii i Francji wobec Niemiec Hitlera, potem Churchilla i Roosevelta

wobec Stalina, politykę przyzwalającą obydwu na aneksje terytorialne, które aszczuplały nie tylko domenę wolnego świata, ale co najważniejsze potężnie wzmacniały imperium najpierw niemieckie potem sowieckie. "Wielkie mocarstwa..." to istny polityczny "katalog Rudolfa", spis wszystkich możliwych grzechów i zaniedbań jakich można dopuścić się na arenie międzynarodowej.

Skłania też do przemyśleń jak średnie i małe narody mają zrealizować swoje prawo do suwerennego bytu i stanowienia o sobie. Zwłaszcza dziś w świecie tak spolaryzowanym przez konflikt dwóch już nie mocarstw ale supermocarstw, gdzie znajduje się miejsce na niepodległą Belgię, Luksemburg czy Litwę i Estonię. Zbigniew Brzeziński receptę, choć nie panaceum, widzi w policentrycznym, a nie rozdwojonym między USA i ZSRR układzie międzynarodowym. Książka Karskiego znakomicie dopełnia się rozważaniami Brzezińskiego zawartymi w wydanej już w Polsce przez "Prawy margines" pracy "Plan gry". Obydwie skłaniają do przemyśleń nad modelem polskiej polityki zagranicznej. Warto więc chyba by krajowi wydawcy zainteresowali się książką prof. Jana Karskiego, tłumacząc ją i wydając w jak największym nakładzie.

Maciej Bielecki

JAN KARSKI "Witold"

Autorem książki "The Great Powers and Poland 1919-1945. Od Wersalu do Jałty", jest Jan Karski /właściwe nazwisko Jan Kozielski/. Urodził się on w 1914 r. i jest obecnie profesorem nauk politycznych w Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie. Jako absolwent kierunków prawa oraz nauk dyplomatycznych w Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie wstąpił w późnych latach trzydziestych do polskiej służby dyplomatycznej. Zmobilizowany w sierpniu 1939r. w randze podporucznika artylerii konnej, dostał się do niewoli radzieckiej, z której udało

mu się wydostać i po licznych przygodach powrócił jesienią 1939r. do Warszawy gdzie od razu nawiązał kontakty z organizującym się podziemiem. W XII 1939, jako jeden z pierwszych kurierów, przedostał się do Francji i złożył nowemu rządowi raport o sytuacji w kraju. Kilka miesięcy później tą samą drogą przez Węgry i Czechosłowację powrócił do Polski przywożąc instrukcje i nominacje dla władz polskiego podziemia. Po paru tygodniach otrzymał kolejną misję do Francji. Tym razem wyprawa skończyła się niepowodzeniem. Karski został ujęty na przejściu do Szwajcarii i trafił w ręce gestapo. Zniósł tortury nie wydając żadnych sekretów, lecz podjął w celu nieudaną próbę samobójstwa. Po wywierzeniu do szpitala w Nowym Sączu został wykradzony w brawurowej akcji zorganizowanej przez Związek Walki Zbrojnej i bojówkę PPS. Po powrocie do zdrowia pracował w krakowskim obszarze ZWZ pod dowództwem Kadeusza Bora-Komorowskiego, a później, od maja 1941r., w Warszawie w Biurze Informacji i Propagandy ZWZ. Na jesieni 1942r. Jan Karski "Witold" otrzymał kolejne zadanie. Miał jechać do Londynu z raportem o sytuacji w kraju dla Rządu Polskiego na wychodźctwie i przedstawicielei partii. Częścią tego raportu była relacja o tragicznej sytuacji Żydów w Polsce. Zadaniem Karskiego było przekazanie postulatów przywódców żydowskiego podziemia w Polsce rządowi i przedstawicielom opinii publicznej na Zachodzie /o misji swej ostatnio opowiadał profesor m. in. w filmie Claude'a Lanzmann'a "SHOAH"/. Jan Karski udał się z Londynu do Waszyngtonu gdzie rozmawiał z Rooseveltem i amerykańskim sekretarzem stanu - republikaninem Cordelitem Hullem. Powrót do Polski w końcu 1943r. okazał się niemożliwy ponieważ o jego misji w USA dowiedział się wywiad niemiecki. Ostatecznie więc Karski, zadowolony tak Stanisław Mikołajczyk premier rządu, rozpoczął pracę w ambasadzie amerykańskiej w Londynie. Tu powstała książka "Story of a Secret State" /Historia państwa podziemnego/ wydana już w XII 1944r. Przez tej pozycji Karski w ciągu ostatnich czterdziestu lat opublikował w prasie specjalistycznej wiele artykułów dotyczących historii i teorii stosunków międzynarodowych, współpracował z licznymi polskimi czasopismami m.in. amerykańskim "Polish Review". Przez trzydzieści lat intensywnie wykładał dla agencji rządowych, organizacji akademickich i cywilnych, od 1952r. zaś w Georgetown University w ramach School of Foreign Service. Posiada stopnie naukowe magistra prawa i magistra nauk dyplomatycznych /w Polsce/ oraz Doctor of Philosophy i Doctor of Human Letters oraz honoris causa Uniwersytetu Georgetown. Wysłany został przez Department Stanu USA na dwie 6-miesięczne podróże z wykładami /lecture tours/ do Azji i Francusko-języcznej Afryki. Otrzymał najwyższe polskie odznaczenie wojskowe Order Virtuti Militari za zasługi podczas drugiej wojny światowej. Został odznaczony medalem Yad Vashem Sprawiedliwego między Narodami, a drzewo z jego nazwiskiem rośnie w Alei Sprawiedliwych w Jerozolimie.

/ przygotował Maciej Bielecki/

TAJNA DYPLOMACJA CHURCHILLA I
ROOSEVELTA W SPRAWIE POLSKI
1940 - 1945

sowieckich i polskich dokumentów i nieujawnionych jeszcze materiałów archiwalnych.

Wydaje mi się, że książka ta jest aktualna i pożyteczna. Ujawnia wiele faktów nieznanymi szerszemu ogółowi lub pomijanymi w politycznej literaturze. Dla polskiego czytelnika być może będzie stanowiła przestrożę w jego działalności na rzecz ojczystego kraju. U angielskiego czy amerykańskiego czytelnika na pewno wywoła zaktopotanie, może wstyd, a może - co najważniejsze - refleksje na przyszłość.

Wstępem do moich rozważań jest zakwestionowanie ogólnie przyjętej tezy, że Anglia i Francja wydały Niemcom wojnę w obronie Polski. Niezależnie od ogólnie znanych argumentów i retoryki mężów stanu, angielskie gwarancje, przy czym angielsko-polski sojusz, jak i rozszerzenie zobowiązań Francji, wynikających z jej sojuszu z Polską - wszystko to w 1939r. miało na celu:

- 1/ zapobiec wojnie - odstraszyć Hitlera od nowej agresji;
- 2/ powstrzymać Polskę od włączenia się pod naciskiem Hitlera w orbitę tzw. Nowego Ładu /polski minister spraw zagranicznych Józef Beck - którego całkowity autorytet w polityce zagranicznej Polski nie był kwestionowany przez nikogo - nie cieszył się zaufaniem nie tylko w Moskwie czy Pradze, ale także w Londynie/;
- 3/ skłonić opierając się Polskę drogą pośrednią do włączenia się w planowany sojusz francusko-angielsko-sowiecki. Ten sojusz i przede wszystkim ten sojusz, był uważany w Londynie i Paryżu za istotny dla szybkiego pokonania Niemiec; gdyby mimo wszystkich ostrzeżeń zaczęły one wojnę.

Już w maju 1939 roku, a potem w lipcu tegoż roku, sztaby generalne Francji i Anglii uzgodniły w tajnych naradach, że jeśli Niemcy napadną Polskę, a ich rządy wypowiedzą Niemcom wojnę, nie należy Polsce udzielać wojskowej pomocy, ponieważ byłoby to niepraktyczne. Polska zostanie zniszczona w krótkim czasie; Anglia i Francja nie są przygotowane do natychmiastowej akcji zaczepnej - muszą się dobrać; wojna będzie trwała długo. Losy Polski będą zależały od wyników wojny.

Tak się stało.

Przechodząc do właściwego tematu:

Po upadku Francji Anglia została sama. Co więcej, Rosja sowiecka choć formalnie neutralna, wspomagała Niemcy i materialnie i dyplomatycznie. Już w lipcu 1940r., a potem w październiku tegoż roku Churchill zaapelował tajnie do Stalina poprzez ambasadora sir Stafford Crippsa, zapowiadając, że jeśli rząd sowiecki zamieni neutralność "życzliwą dla Niemiec" na neutralność "życzliwą dla Anglii" - Rząd Jego Królewskiej Mości uzna po wojnie przywództwo Związku Sowieckiego w "wielkich sprawach". Stalin zignorował ofertę Churchilla, ale przecież z pewnością jej nie zapomniał.

Tymczasem 5 września 1940r. Churchill wygłosił ważne przemówienie w Izbie Gmin oświadczając, że Anglia nie uzna zaian terytorialnych, które miały miejsce w Europie, chyba, że zostały one dokonane z zgodą obu stron. Przecież nie mógł mieć na myśli zmian dokonanych pod egidą Niemiec i Włoch, z którymi Anglia była w wojnie. Można przypuszczać, że jego przemówienie - niezależnie od zadowolenia jakie wywołało w obiegu alianckim - było także rodzajem politycznego szyfru, który tylko

Stalin był w stanie zrozumieć. Wszakże na wszystkich terenach zagarniętych przez Sowjety, odbyły się wieczerki, w których prawie wszyscy mieszkańcy opowiedzieli się za przystąpieniem do "rodziny Socjalistycznych Narodów Związku Sowieckiego" - naturalnie pod czujnym okiem sowieckiego aparatu terronu.

Po napaści hitlerowskich Niemiec na Rosję, Związek Sowiecki automatycznie stał się bezcennym aliantem Anglii. Utrzymanie ZSRR w wojnie i pozyskanie zaufania Stalina stało się pierwszorzędnym celem w polityce Churchilla. Już 9 lipca 1941r., zredagował on tajną depeszę do Stalina, zawierającą znamienity paragraf, że "po wojnie /wschodnie/ granice Polski zostaną ustalone w myśl życzeń miejscowej ludności i na etnicznej zasadzie". Było to za wiele nawet dla brytyjskiego gabinetu wojennego. Polecono Churchillowi paragraf ten skreślić. Tak więc osobiste, choć nie ujawnione Polakom stanowisko Churchilla w czasie polsko-sowieckich negocjacji o pakt, nie może ulegać wątpliwości. Formalne oświadczenia Edena z 30 lipca 1941r., - oświadczenie złożone na żądanie gen. Sikorskiego - iż "Rząd Jego Królewskiej Mości nie uznaje terytorialnych zmian, które miały miejsce w Polsce po sierpniu 1939r., było dla Churchilla nie więcej niż zasłona dymna. Nie może być co do tego żadnych wątpliwości. Bezlistonne dokumenty to stwierdzają.

W pierwszej połowie grudnia 1941r. Eden udał się do Moskwy dla wszczęcia negocjacji o formalny brytyjsko-sowiecki sojusz oraz zasięgnięcie informacji pod jakimi warunkami Stalin zgodził się na zawarcie tego sojuszu. W tym samym czasie Churchill udał się drogą morską do Waszyngtonu, aby uzgodnić z prez. Rooseveltem wojenną strategię.

W Moskwie Stalin zażądał aby do sojuszu dotychczas został tajny protokół, w którym rząd brytyjski uzna, że część Finlandii, Estonii, Łotwa, Litwa, póln. Besarabia, Bukowina oraz wschodnia prawie połowa Polski - to znaczący tereny zajęte przez Rosję w okresie sowiecko-niemieckiej współpracy - stanowią integralną część Związku Sowieckiego.

W tymże czasie 7 grudnia 1941r., Japonia zaatakowała Pearl Harbor i Ameryka weszła do wojny. Churchill poczuł się silniejszy wobec Stalina. Co więcej, został poinformowany przez amerykańskiego sekretarza stanu Cordell Hulla, że rząd amerykański stanowczo sprzeciwia się zawarciu tajnych układów, które przesądzałyby zmiany terytorialne w Europie przed zakończeniem wojny. Pospiesznie Churchill wysłał Edenowi instrukcje. Na skutek stanowiska Stanów Zjednoczonych Anglia nie jest w stanie podpisać żądanego protokołu. Zantagonizowanie rządu amerykańskiego miałoby "daleko idące konsekwencje". Wysłał depeszę do szefa Edenowi w Izbie Gmin, Clementa Attlee, że nie ustąpi wobec żądań Stalina, ponieważ są one sprzeczne z "pierwszym, drugim i trzecim artykułem Karty Atlantycznej" - którą rząd sowiecki podpisał. Po powrocie Edena do Londynu i wobec ponowionych żądań Mołotowa co do tajnego protokołu, Churchill wysłał Edenowi instrukcje z Waszyngtonu.

"Nigdy nie uznaliśmy granic Rosji z 1941 roku jak tylko de facto. Zostały ustalone poprzez agresję w bezwzględnej współpracy z Hitlerem... Nie może być mowy o ustaleniu granic przed Konferencją Pokojową..."

Pełen optymizmu dodał, że po wojnie "brytyjsko-amerykański blok" stanie się decydującym. "Związek Sowiecki będzie potrzebował naszej pomocy o wiele bardziej niż my ich /pomocy/ - zakończył telegram.

Tym razem zmieniony układ trzech Wielkich Mocarstw stał się korzystnym dla Polski. Nie na długo jednak.

Już po kilku tygodniach Churchill zmienił swoje stanowisko; Anglia ponosiła ogromne straty na lądzie, na morzach i w powietrzu. Niepowodzenia w Egipcie. Zwycięstwa japońskie na wschodzie. Upadek Singapuru. Straszliwe straty zadawane przez niemieckie torpedowce. Niemożność otwarcia drugiego frontu, którego Stalin się domagał. Depesze Stalina wyrażające jego niezadowolone. Coraz niecierpliwsze naciski ambasadora Majskiego w Londynie o tajne uznanie sowieckich żądań terytorialnych. Wreszcie zawołane groźby Stalina. W jego publicznym rozkazie z 23 lutego 1942r. Stalin nie wspominał o pokonaniu Niemiec hitlerowskich. Mówił tylko o

owolnieniu sowieckich terytoriów. Czyż miało to znaczyć, rozumował Churchill, że w razie wyparcia Niemców z Rosji Stalin zamierza wstrzymać dalsze operacje wojenne?

Bo Rosja w rozpaczliwej walce nie uległa. Nie uległy Moskwa i Leningrad. Ponadto "rosyjska zima" zaskoczyła nieprzygotowany na to Wehrmacht - bez zapowiedzianego przez Hitlera błyskawicznego zwycięstwa Niemiec.

Już 7 marca 1942r. Churchill informuje Roosevelta, że sytuacja wojenna wymaga od Anglii zgody na żądania sowieckie.

"Zasady Karty Atlantycznej nie powinny być tak interpretowane, aby odmówić Rosji granic, które posiadała gdy Niemcy ją zaatakowały. Przecież na tej podstawie Rosja podpisała tę Kartę... Mam zatem nadzieję, że da nam Pan swoją rękę aby podpisać traktat, taki, jakiego Stalin wymaga".

Dodał znacząco, że Niemcy wkrótce zaczną wiośenną ofensywę w Rosji i że zachodni aliantzi niewiele będą mogli zrobić aby odciążyć Armię Czerwoną. Churchill stracił pewność siebie wobec Rosji i tym razem gotów był poświęcić kraje Europy wschodniej i Polskę.

Cordell Hull był cięgle niezręczony i na skutek jego nacisku Roosevelt go poparł, nie na długo jednak.

Dwa dni później 9 marca 1942r. Churchill wysłał telegram do Stalina sumiśnięc się i oświadczać, że zgadza się na jego żądanie co do tajnego protokołu. Naciskał Roosevelta, aby i on się zgodził. Spotkał się jednak z odmową. Nie może sobie pozwolić na antagonizowanie Stanów Zjednoczonych. Stalin w odpowiedzi wyraził niezadowolenie. Sprawy europejskie powinny być zażarwione przez europejskie mocarstwa. Stany Zjednoczone nie mają prawa ingerowania w te sprawy. Dowiedział się jednak raz jeszcze, jakie jest stanowisko Anglii - tym razem w marcu 1942r.

W tym czasie Cordell Hull wyjechał na dłuższy urlop zdrowotny. Pomiędzy go z mojej z nim rozmowy. Był stary, zmęczony i wyraźnie słabego zdrowia. Skorzystał z jego nieobecności Roosevelt i bez jego wiedzy wysłał uspakajające telegramy i do Churchilla, i do Stalina. Stany Zjednoczone zgodziły się na to, aby część Finlandii, Estonia, Łotwa i Litwa zostały włączone do "sowieckiej strefy bezpieczeństwa" pod warunkiem, że po ich uwolnieniu przez Armię Czerwoną odbędzie się tam plebiscyty, po czym ci mieszkańcy, którzy nie zechcą żyć pod sowieckimi rządami, otrzymają pozwolenie na wyjazd z tych krajów, zabierając ze sobą swoją własność. Cordell Hull dowiedziawszy się o tym po powrocie do Nowyorku, wytłumaczył Rooseveltowi, że popełnił on błąd i poprzez amerykańskiego ambasadora w Londynie Johna Winanta, na własną rękę zażądał Edena, iż rząd amerykański sprzeciwia się żądaniom sowieckim.

Hull był republikaninem w rządzie Roosevelta, prezydent musiał być z nim ostrożny. Nie zaznawował go.

20 maja 1942r. Mołotow zjechał do Londynu dla podpisania sojuszu, biorąc nie jednak włączenia tajnego protokołu. Dowiedziawszy się o tym Hull wysłał prezydentowi ostre memorandum, zawiadamiając Londyn, że w razie włączenia tajnego protokołu, Stany Zjednoczone w publicznej deklaracji odgradzą się od anglosowieckiego układu. I tym razem prezydent Roosevelt nie sprzeciwił się sekretarzowi Stanu. I tym razem nie zdezawował jego stanowiska.

24 maja Eden oświadczył Mołotowowi, że anglosowiecki sojusz z sierpnia 1939r. nie pozwala mu na włączenie tajnego protokołu do sojuszu anglosowieckiego. Tego samego dnia Churchill wysłał długi telegram do Stalina stwierdzając, że polsko-angielski sojusz, opinia publiczna w Anglii i stanowisko Stanów Zjednoczonych uniemożliwiły mu włączenie tajnego protokołu do układu. Mołotow zwlekał 2 dni, czekając zapewne na instrukcje od Stalina. Po czym podpisał sojusz - bez tajnego protokołu.

Tego samego dnia Churchill wysłał ekstatyczny telegram do Roosevelta informując go, że projekt układu z Rosją został "całkowicie zmieniony", iż jest "wolny od zastrzeżeń które i on /sic!/ i prezydent mieli", iż jest w "całkowitej zgodzie z Kartą Atlantyczną". Nade wszystko uradowany był Cordell Hull i powiedział to ambasadorowi Janowi Ciechanowskiemu.

By może nie przypuszczał jednak, że jego urzędowanie miało potrwać niewiele dłużej niż jeden rok. Na konferencję w Teheranie prezydent udał się bez własnego sekretarza Stamu.

W 1943r. pozycja Rosji i prestiż Stalina w opinii Światowej osłabły szczerzy. W lutym przyszło zwycięstwo Armii Czerwonej pod Stalingradem - przełomowy moment w wojnie na wschodnim froncie. Otwarcie "Drugiego Frontu", którego Stalin coraz natęczywiej się domagał, było ciągle zwlekane, przede wszystkim za sprawą Churchilla. Aż do drugiej połowy 1943r. Rosja walczyła w Europie samotnie - i zwyciężała, opłacając zwycięstwa niebywałymi stratami ludzkimi i materialnymi. Żądania sowieckie wobec Polski doszły do publicznej wiadomości, znajdując aprobatę w coraz liczniejszych ośrodkach i w międzynarodowej prasie. Nieustępliwe stanowisko rządu polskiego coraz częściej i w coraz liczniejszych ośrodkach wywoływało wątpliwości lub zgorzelenie. W Anglii skargi, lub krytyka polityki sowieckiej w prasie polskiej zostały zabronione. Sprawa polska słabła.

W grudniu 1942r. gen. Sikorski udał się do Waszyngtonu dla nawiązania kontaktu z Rooseveltem. Między innymi zachęcał prezydenta do poparcia Churchilla w jego planach inwazji Europy poprzez Bałkany. Szczegółowo zapoznał Roosevelta z własnymi planami federacyjnymi w powojennej Europie wschodniej. Prezydent odnosił się do Sikorskiego przyjaźnie i wydawał się sympatyzować z jego projektami. Pamiętam, że wkrótce po powrocie generała do Londynu zawezwał mnie on do złożenia mu raportu o sytuacji w kraju. Był styczeń 1943r. Pamiętam to dobrze. Był nad wyraz zadowolony. Nim zacząłem mój raport powiedział, że wynik jego rozmów z Rooseveltem przeszedł jego własne oczekiwania. Znalazł z prezydentem wspólny język. Nawiązał z nim osobistą przyjaźń. Zgodni są obaj co do najważniejszych spraw wojennej strategii. Pozycja Polski wzmocniła się w obozie alianckim. Pamiętam, jak głębokie zrobiło to na mnie wrażenie po tym, co widziałem i przeżyłem niedawno w kraju.

W osłoniętych tajemnicą gabinetach rządowych sprawa Polski wyglądała inaczej. W marcu tegoż roku, tuż po klęsce niemieckiej pod Stalingradem, Eden przybył do Waszyngtonu, aby uzgodnić stanowisko Anglii i Stanów Zjednoczonych w sprawie państw Europy wschodniej. W kluczowej konferencji z prezydentem 14 marca chwalił rząd sowiecki za powściągliwość i dobrą wolę. Od Polski powiedział, Rosja chce "bardzo mało", tylko tereny na wschód od linii Curzona. Ustąpienie tych terenów nie osłabi Polski gospodarczo. Stalin chce "silnej Polski, pod warunkiem jednak że właściwi ludzie będą nią rządzili". Ostro krytykował Sikorskiego i jego rząd za "bardzo ambitne" plany. Planują jakieś powojenne "federacje" czy "konfederacje" we wschodniej Europie. Stwierdził, że rząd sowiecki ma ważne i słuszne powody, aby nie wierzyć ani Sikorskiemu, ani jego rządowi. Dokumenty wykazując, że powtarzał prawie dosłownie to co oświadczył mu ambasador Majski, z którym konferował tuż przed odlotem do Waszyngtonu.

Roosevelt zgodził się z Edenem oświadczać, że jemu także nie podobają się postawa Polaków. Uważa że wielkie mocarstwa - Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Rosja - powinny zdecydować "we właściwym czasie" jakie granice Polska otrzyma. Polacy będą musieli pogodzić się z tą decyzją. On nie ma zamiaru udać się na Konferencję Pokojową i "przekamarać się z Polską lub z innymi małymi krajami. Wielkie mocarstwa mają obowiązek trzymać w ryzach /to police/ małe kraje".

W konsekwencji obaj mężowie stanu zgodzili się, że państwa bałtyckie zostaną włączone do Związku Sowieckiego z tym, iż Roosevelt wolałby tam plebiscyty. Wierzy, że ludność po uwolnieniu jej przez Armię Czerwoną opowie się za Rosją zadawalając w ten sposób opinie publiczną w Stanach Zjednoczonych. Rosja otrzyma tereny zabrane w 1940r. w Finlandii i Rumunii. Co do Polski, ustąpi ona Rosji tereny, wielkość których zostanie zadecydowana później. Jako kompensatę Polska otrzyma Prusy Wschodnie, Gdańsk i część Górnego Śląska. Pozwoli się Polakom wysiedlić ludność niemiecką z tych terenów.

W Waszyngtonie Eden przeprowadził rozmowy z kilku kluczowymi osobami Roosevelta. Wszyscy byli sceptyczni co do szans rządu polskiego w powojennej Polsce. Jedyne gen. Sikorski być może utrzyma się. Reszta zostanie odrzucona. Po powrocie do Londynu Eden poinformował Majskiego o tym, co usłyszał. Parę dni później Stalin przestał depeşe do Churchilla. Chwalił w niej Edena i wyraził zadowolenie z jego działalności w Waszyngtonie.

W drugiej połowie października 1943r. miała miejsce w Moskwie tajna konferencja ministrów spraw zagranicznych Anglii, Stanów Zjednoczonych i Rosji dla przygotowania konferencji tzw. Wielkiej Trójki tzn. Churchill, Roosevelta i Stalina. Tuż przed swoim odlotem z Waszyngtonu Cordell Hull otrzymał ostatecznie instrukcje co do stanowiska prezydenta. Miał on zaapelować do Stalina o plebiscyty na spornych terenach, po ich uwolnieniu przez Armię Czerwoną. Co do Polski linia Curzona będzie stanowiła jej wschodnią granicę.

Tuż przed konferencją ministrów spraw zagranicznych Eden i Hull uzgodnili projekt deklaracji odnoszącej się do uwalnianych krajów. Centralnym punktem tej deklaracji było zobowiązanie, że uwalniające rządy będą działały razem we wszystkich sprawach w uwolnionych krajach. Mołotow zaaprobował tekst tej deklaracji z poprawką. Wykreślił powyższy paragraf. Tuż po konferencji odwiedził Averilla Harrimana - nie Hulla - zobowiązując go, aby poinformował swego prezydenta, że jego rząd przywiązuje wielkie znaczenie do tej poprawki. Wyjaśnił, że każdy z uwalniających rządów powinien mieć swobodę kierowania się własną racją stanu. Bezpośrednio Harriman wysłał telegram do Roosevelta. Nie otrzymał odpowiedzi. Późniejże jednak deklaracje o uwalnianych krajach nie zawierały proponowanego sformułowania, zastępując je ambiwalentnymi stwierdzeniami.

Względniona poprawka Mołotowa stała się źródłem podziału powojennej Europy na sfery wpływów. Jeszcze przed konferencją w Teheranie, na żądanie Moskwy.

Stanowisko prez. Roosevelta na konferencji teherańskiej zostało ujawnione w dokumentach kilkanaście lat po wojnie. Znane jest ono Polakom. 1 grudnia 1943r. tuż przed ostatnią sesją plenarną, na której miały zapadnąć decyzje w sprawach polskich, zaprosił Stalina do swoich apartamentów w największym sekrecie - nawet wobec Churchilla. Powiedział, że zgadza się ze Stalinem co do Polski. Nie może jednak tego oświadczyć formalnie na sesji. Zbliżając się wybory na prezydenta w jego kraju. Zdecydował się raz jeszcze "kandydować". W Stanach Zjednoczonych jest sześć do siedmiu milionów obywateli polskiego pochodzenia. Potrzebuje ich głosów. Ujawni formalnie swą decyzję po wyborach. Towarzyszyli Rooseveltowi w rozmowie Harriman i ekspert od spraw Europy wschodniej, Charles Bohlen.

Na plenarnej sesji głównie Churchill i Stalin zabierali głos. Zgodzili się, że linia Curzona będzie stanowiła wschodnią a Odra zachodnią granicę Polski. Otrzymała ona także część Prus Wschodnich na południe od Królewca. Aby uzyskać zgodę odciągającego się rządu polskiego, Churchill zaproponował następującą procedurę, którą nazwał "polską formułą". Nie powie Polakom, że decyzje już zapadły. Zażąda jednak od nich aby go upoważnili do negocjacji z rządem sowieckim w sprawie granic. Uprowadzi ich, że prawdopodobnie na wschodzie będzie to linia Curzona. Po otrzymaniu upoważnienia powie im, że nic więcej nie mógł dla nich otrzymać. Stalin zaaprobował tę procedurę. Roosevelt nie wypowiedział się w tej sprawie.

W Londynie Churchill i Eden odbyli kilka dramatycznych konferencji z Polakami, naciskając aby dano im upoważnienie. Zawiedli się i w konsekwencji Churchill wygłosił słynne przemówienie w Izbie Gmin 22 lutego 1944r. Poddał w nim surowej krytyce rząd Mikołajczyka i chwalił rząd sowiecki za umiarkowanie wobec Polski w sprawach terytorialnych. Powiedział, że jest także zdania iż linia Curzona powinna stanowić wschodnią granicę Polski. Cóż mógł powiedzieć innego wobec tajnie powziętych decyzji

W Teheranie?

Po przemówieniu Churchilla Mikołajczyk zrozumiał, że może liczyć jedynie na przyjaznego Polsce Roosevelta. Zaczął zabiegać o wizytę u niego. Roosevelt odwlekał ją przez parę miesięcy. W końcu jednak zgodził się i Mikołajczyk zjechał do Waszyngtonu 6 czerwca 1944r - przyjazdowo akurat w dniu inwazji Francji przez zachodnich aliantów.

Byłem wtedy przydzielony do ambasady w Waszyngtonie i wykańczaniem swą książkę "Story of a Secret State". W czasie całej wojny, poza gen. Sikorskim i profesorem Stanisławem Kotem, Mikołajczyk był moim bezpośrednim szefem w mej służbie kurierskiej. Łączyło nas wzajemne zaufanie. Widywałem go codziennie, pomagając mu w drożnych, codziennych potrzebach. Został przyjęty po królewsku. Cały czas mieszkał w Blair House, Prezydent odbył z nim cztery konferencje. Był bardziej niż przyjazny i zapewnił, że uczyni wszystko aby przyjść Polsce z pomocą. Sekretarz Stanu Edward Stettinius wizytował Mikołajczyka i osobiście odwoził go do Białego Domu. Raz - widziałem to i słyszałem - objął Mikołajczyka i powiedział "my dear Stan" - mój drogi Stasiu. Mikołajczyk odjechał podniesiony na duchu.

Dokumenty opublikowane po wojnie ujawniają inny stan rzeczy. Tuż przed przyjazdem Mikołajczyka Roosevelt polecił Harrimanowi poinformować Stalina i odwlekał wizytę Mikołajczyka tak długo, jak mógł. Zabronił Mikołajczykowi jakichkolwiek występów publicznych. Poradził mu, aby pozbył się tych ministrów, którzy nie chcą współpracować z Rosją. Prosi Stalina, aby tymczasem powstrzymał się od kontrowersyjnych wypowiedzi w polskich sprawach. Linia Curzona będzie stanowiła powojenną granicę Polski. Nie jest jedynie pewny komu należy przydzielić Lwów.

Ledwo Mikołajczyk opuścił Waszyngton, prezydent wysłał drugi telegram do Stalina, zapewniając go, iż w rozmowach z Mikołajczykiem nie próbował ingerować w stosunki polsko-sowieckie i nie ma nowego planu lub propozycji, które mogłyby na te stosunki mieć wpływ. Zalecił Mikołajczykowi bezpośrednio rozmowy z marsz. Stalinem.

Nadszedł październik 1944r. W Polsce działał Komitet Lubelski, któremu władze sowieckie przekazały funkcje tymczasowego rządu. Poza Grecją wszystkie państwa bałkańskie zostały zajęte przez Armię Czerwoną. Wszędzie panował terror, aresztowania, egzekucje niekomunistycznych działaczy. Churchill postanowił rozmówić się ze Stalinem, chociaż rząd sowiecki nie był związany żadnymi formalnymi zobowiązaniami co do swych aktów na tych terenach. Churchill planował także połączenie polskiego rządu w Londynie z Komitetem Lubelskim i na konferencji w Moskwie zostały wezwane delegacje obu tych ośrodków.

Na jejnają z sesji Mikołajczyk podniósł sprawę wschodnich granic Polski. Zniecierpliwiony Mołotow burknął, że ta sprawa została ostatecznie zdecydowana w Teheranie za aprobatą obecnego tu premiera Churchilla i prezydenta Roosevelta. Churchill to potwierdził. Obecny Harriman milczał.

Wzburzony Mikołajczyk skomponował długi list do Harrimana, prosząc o wytłumaczenie dlaczego nie zaprzeczył temu, co Mołotow powiedział. Wszak cztery misje tego rządu zapewnił go, że w Teheranie argumentował przeciw linii Curzona i sprzeciwiał się przesądzeniu spraw terytorialnych przed zakończeniem wojny. Poszedł z listem do Harrimana i zażądał odpowiedzi na piśmie. Reakcję opisał sam Harriman w dwu telegramach do Roosevelta. Zaprzeczył, że prezydent wypowiedział się na konferencji w Teheranie w sprawie polskich granic. Ani on, ani Churchill nie przypominają sobie tego. Dodał znacząco, że nie dał niczego Mikołajczykowi na piśmie i że zobowiązał go, aby we własnym interesie o tym incydencie nikomu nie wspominał.

Telegramy Harrimana były politycznym szyfrem, który jedynie Roosevelt mógł rozumieć. Harriman był przecież świadkiem supertajnej, rozmowy Roosevelta ze Stalinem. Churchill był nie mniej od Mikołajczyka zaskoczony wypowiedzią Mołotowa o prezydencie i poszedł do Stalina. Ten powiedział mu wszystko. Tego samego dnia Churchill wysłał telegram do Roosevelta aby się nie martwił. Nie będzie "niedyskrekcji ze strony sowieckiej" baniałwał Stalin pragnie zwycięstwa Roosevelta w wyborach.

Trzy tygodnie później Franklin Delano Roosevelt został wybrany prezydentem po raz czwarty. Amerykanie polskiego pochodzenia głosowali na niego gremialnie.

A potem miała miejsce konferencja Jałtańska, na której Churchill, Stalin i Roosevelt zadecydowali o losach wielu narodów z Polską włącznie. Pod koniec konferencji, Roosevelta ogarnęły obawy, czy Senat, którego opinii nie szukał, zaskoczony decyzjami o tak historycznym znaczeniu - decyzje te zaaprobuje. Wahał się, czy może układy jałtańskie podpisać. Konstytucyjnie, bez aprobaty Senatu jego podpis stałby się nieobowiązujący. Ani Stettinius, ani wierny doradca Harry Hopkins, nie znaleźli rozwiązania tej trudności. Znalazł je natomiast jeden z najbardziej zaufanych ludzi w delegacji amerykańskiej, Alger Hiss. Doradził procedurę tzw. executive agreements, zobowiązujących prezydenta tylko osobiście i tylko na czas jego kadencji. Poza tym i on, i inni doradcy prezydenta dokonali w tekście ostatecznej wersji dokumentu subtelnych zmian, które zresztą z prawnego punktu widzenia uczyniły z porozumień jałtańskich jakiegoś bezprecedensowe monstrum - fakt, który został uwypuklony w doskonałej i cennej, niedawno wydanej przez Rząd Polski na Obczyźnie, Białej Księżce. Gdy Roosevelt składał raport przed Kongresem Stanów Zjednoczonych o decyzjach w sprawach polskich w umowach jałtańskich, użył formuły, że decyzje te zostały powzięte przez "Rosję, Brytanię i przeze mnie". O! Prezydent Roosevelt umiał pokonywać trudności i przeszkody. Był przecież takim wielkim mężem stanu!

Kończąc ten artykuł pragnę sprofrazować Sienkiewicza w jego ocenie książek Janusza i Bogusława Radziwiłłów. W sprawach polskich Churchill był winniejszy, Roosevelt był szkodliwszy.

Jan Karcki

Georgetown University

Przedruk bez wiedzy i zgody autora za Urzędowym Organem Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce: WDEW-KAN nr 785 luty 1987 rok.

ROK 1984 - ORWELL

ROK 1987 - ?

Niekwestionowanym hitem w polityce światowej-minionego roku był proces przemian w ZSRR. Przywołanie sowieckiej, piśmienniczo-przesławianej Gorby'ego, bił rekerdy w zachodnich ankietach popularności. Jaka jest naprawdę ta

"PIERESTROJKA"? Propagandowy bluff na użytek naiwnych dziennikarzy z zachodnich mass mediów - czy realne próby wyrwania rosyjskiego molocha ze skostniałego ery Breżniewa. Nie można zaprzeczyć, że coś się zmieniło. Pewna ilość wladniów politycznych wyszła na wolność /szczególnie tych o najgłośniejszych nazwiskach Józif Bagun, Aleksei Magarik, Anatolij Koriagin/. Rozwolono na pewną swobodę działań dysydenckich. "Odwilż" zanotowano też w podejściu władz do religii i zwolniono ojca Gleba Jakunina - wieloletniego obrońcę niezależności cerkwi Prawosławnej, zwrócono zagrabioną katolikom kościół w Kłajpedzie, złagodniono represje wobec nielegalnych na Ukrainie grekokatolików.

Wszystko to jednak zmiany, które można refnąć w ciągu 24 godzin. Obserwatorzy ZSRR wciąż nie widzą prób reformowania całego systemu państwa. Jeśli przyjmie, że Gorbaczow szczerze pragnie reform to stwierdzić należy iż niewiele ma sojuszników. Aparat partyjny z natury "konserwatywny", pragnie jedynie dalszego zazywania przywilejów zastrzeżonych dla elity. Naród od stuleci przyzwyczajony do bierności z nieufnością reaguje na próby zmian niedznej bo niedznej, ale od dawna ustalonej egzystencji. Niezbyt duża warstwa entuzjastycznie nastrojonych wobec reform inteligentów i technokratów to za mało. Ponury ostrzeżeniem przed zbytym angażowaniem się w "głasność" był ios szefa moskiewskiego komitetu "partii" Jelcyna, którego skóre Gorbaczow tania sprzedał, gdy tylko oszłabła jego pozycja wobec "betonu" pod wodzą partyjnego ideologa Ligaczowa. Kto więc ma być sojusznikiem gorbaczowskiej odgórnej rewolucji? Kto tak naprawdę jej pragnie? Dla większości sowieckiej władzy od dawna jasny był wzrastający dystans technologiczny ZSRR wobec Zachodu. Coraz wyraźniej było widać absurdalność koncepcji państwa gospodarczo-zacofanego przeznaczającego znaczny procent budżetu na utrzymanie tupegowanego kompleksu zbrojnego /ZSRR ok. 15%, USA - 6,6%, Europa Zachodnia ok. 4,5%, Korea Płd. - 7,5%, Japonia - 12/, dzięki któremu spełnione były rosyjskie ambicje mocarstwowe. Absurd ten jest jeszcze wyraźniejszy na tle Chin porównywalnych pod względem terytorium, systemu państwowego oraz do pewnego stopnia liczby ludności.

Chiny, zaś mimo chwilowego zwolnienia tempa reforma szybkie pokazywały dystans zacofania dzielący je nie tylko od ZSRR ale i Zachodu. ZSRR stał się groźny sąsiad, który stawiał Krenl przed dylematem decyzji wawac rnych reform, ze względu na śmiertelne zagrożenie ze strony deganijącego ... Jappnie "państwa frecka".

Aby w przyszłości być sobą, ZSRR potrzebuje reform ale ponieważ obecnie jest sobą, nie jest zdolny do reform.

Wiele wskazywało na to, że narodowościowa bomba zegarowa leżąca u fundamentów imperium radzieckiego zaczęła edzierzać już swój czas. W ciągu dość enigmatycznych, idących zakusami, zmian sowieckiej machiny państwowej znalazły się oznaki postępującego odredzenia dążeń narodowościowych w republikach ZSRR. Rozpaczone zamieszkał w K zach Stanie /grudzień 86/ demonstracje "nemieniesti" wykazują, iż wystarczyło lekkie nawet odskroczenie, struby, by hasła narodowe znów stały się porządkiem dziennym z zaskakującą intensywnością. Trudne byłoby nie zauważyć doskonale zorganizowanych wędrow niepodległościowych adbytych jednoczenia w trzech republikach nadbałtyckich w rocznicę paktu Ribentrop - Molotow. A przecież o swe prawa upominali się, wychodząc na ulice sowieckich miast, także Tatarzy, Żydzi, Mołdawianie wreszcie Ukraińcy i Białorusini. Wyraźny kryzys pawał w PANETWACH DEMOKRACJI LUDOWEJ.

Były wśród nich te, które z entuzjazmem przyjęły politykę reform Gorbaczowa /PRL, WRL/ "upodobniając" chętny częściowe ustroj gospodarczy i polityczny do wzorcowego modelu Zachodniego. W Polsce, w mniejszym stopniu na Węgrzech, władze popychane były do zmian poprzez silną presję spo-

leczeństwa. Zmiany hamowane były przez "konserwatywny" aparat wychwytyjący wszelkie sygnały zastopowania tempa "głasności" w rosyjskiej metropolii. Pozostałe dwa państwa potępiające otwarcie pierestrojkę: NRD i Rumunia stanowiły przeciwnictwa. NRD - najmocniejszy gospodarczo kraj spośród demoludów łączyły w sobie braźniewowski "konserwatyzm" polityczny z pomysłowością ekonomiczną, będąca w dużej mierze wynikiem ścisłych związków ekonomicznych z RFN. Z kolei ekonomiczne kłopoty stawiły drugiego antagoniście "głasności" w rządzie najbiedniejszych krajów Europy. Anachroniczne imperium czerwonego satrapy Nicolae Ceausescu staczało się w otchłań ekonomicznego kryzysu. Ceausescu, znajdując sumy na budowę gigantycznego kompleksu gmachów rządowych w centrum stolicy, nie potrafił zapewnić swym obywatelom stałych dostaw do sklepów, już nie tylko mięsa ale także chleba. Nic więc dziwnego, że kraj pulsował żywiołowymi protestami, które najmocniej wystąpiły w trakcie listopadowych zamieszek robotniczych w Brasov, do złudzenia przypominały gdański GRUDZIEN 1970 /m.in. spalono miejscowy gmach partii/. Na razie rumuński Sierpień nie wydaje się możliwy. Kraj podzielony jest etnicznie i religijnie, brak w nim środowisk, prócz pojedynczych grup opozycyjnych, badających w stanie wypracować realny program pokojowej współpracy z carem Nicolaem I. Poważny kryzys gospodarczy przeżywała też Jugosławia - nie sprawdzał się system-samorządów tak reklamowany na I zjeździe "Solidarności".

Przez miniony rok świat z dużą sympatią obserwował również walkę z dyktaturą w innym krańcu świata:

W KOREI POŁUDNIOWEJ.

Nacisk społeczny, kampanie obywatelskiego nieposłuszeństwa, zmusiły Prezydenta Korei gen. Czou Da Hwana, rządzącego w dość autorytarny sposób, do zgody na wolne i swobodne wybory. Opozycja zmarnowała jednak swą wielką szansę na sukces. Dwaj czołowi przywódcy opozycji nie doszli do porozumienia i w walce z kandydatem obozu rządowego stanęli osobno. Skorzystał na tym Ro Fe Wu uzyskując w pełni legalnie prezydenturę, a jego wybór nie oznaczał powrotu do rządów pałki. Wielki przełom demokratyczny w Korei już się dokonał i można przewidzieć, że zmore wojskowych dyktatur opuści ten świetnie rozwijający kraj.

Rok 1987 to rok napięcia

W ZATOCE PERSKIEJ.

Uwikłany w trwającą już siódmy rok wojnę z Irakiem teokratyczny IRAN eskalował ataki na żeglugę tankowców. Chcąc uprzędzić radzieckie propozycje ochrony floty Kuwejtu przed atakami Chomeiniego, STANY ZJEDNOCZONE podjęły się użyczenia swej bandery flocie zbiorników kuwejskich angażując do ochrony US NAVY. Amerykanie ściągnęli do Zatoki Perskiej pokazną flotę. Z czasem do zatoki wpłynęły i inne jednostki najemne z radzieckimi na czele. Wszystko to sprawiło, iż rejon ten przypominał beczkę prochu. W ogólnym jednak rozrachunku do większych konfliktów nie doszło. Pomijając drobne incydenty Iran nie zdecydował się na otwarty konflikt z USA. "Iran kontra Świat" - tak zatytułował materiał na temat polityki Chomeiniego amerykański tygodnik TIME. Iran - kraj, którego przywódcom nie schodzą z ust słowa o Bogu - prowadził w zeszłym roku politykę prowokacji i państwowego terroryzmu. Symbolem pogardy dla norm prawa międzynarodowego był fakt przetrzymywania w irańskiej ambasadzie w Bejrucie obywateli zachodnich porwanych w Libanie przez bojówki islamskie sterowane z Teheranu, podobnie wywołanie zamieszek w najważniejszym muzułmańskim sanktuarium Mekce. Nierzym w Orwellowskiej "anty-utopii" - "1984" organizowane były dni nienawiści przeciw USA. Z iście bolszewicka przenikliwością władca Iranu doskonale wyczuwał słabe punkty Zachodu z powodzeniem uprawiając szantaż polityczny. Taktyka ta zaowocowała ustępstwami Francji wobec Teheranu w sprawie wydalenia z Paryża działaczy opozycji anty-chomeinistycznej, w zamian za zwolnienie uwięzionych w Bejrucie.

1987 to także pasmo niepowodzeń USA

Wyraźnie zarysował się schyłek prezydentury Reagana, któremu brakowało już dawnego temperamentu, dynamizmu w lansowaniu polityki odbudowującej autorytet utracony przez Amerykę po wojnie wietnamskiej. Odeszli

też dawni liderzy reaganowskiej "rewolucji" konserwatywnej; sekretarz obrony Casper Wineberger, szef sztabu prezydenckiego Donald Ragan; zmarł szef CIA William CASEY. Świat z pewnym zdziwieniem obserwował wręcz masochistyczne rodmuchiwanie afery Irangate, która przez 8 miesięcy skupiała uwagę mass-medium wynosząc na szczyty popularności REZYSERA całej operacji pika Oliviera Northa. Nie były to jedyne afery kompromitujące USA. W kwietniu wyszła na jaw zdrada wśród wojskowej straży ambasady USA w Moskwie. Zauroczeni podsuniętymi przez KGB kochankami jurni chłopy z "marines" zgodzili się na nafaszerowanie gmachu ambasady sprzętem podsłuchowym. W lipcu marynarka amerykańska nie zapobiegła zbombardowaniu i zatopieniu przez lotnictwo Iraku, fregaty "STARK". Potem, mimo świadomości, iż cały świat obserwuje poczynania USA w Zatoce Perskiej, nie ustrzeżono się katastrofy helikoptera czy wpadnięcia tankowców na miny. Także w wewnętrznym życiu politycznym Stanów Zjednoczonych nie obyło się bez skandali. Wykrycie i rodmuchanie przez prasę brukową pozamażeńskiego romansu Gary Harta, zmusiło do dymisji tego najpoważniejszego kandydata prezydenckiego demokratów /Hart cofnął swą decyzję w grudniu 87 i wrócił w wyborcze szranki/. Wiele wątpliwości wywołał też grudniowy układ z ZSRR o likwidacji rakiet Średniego zasięgu. Wielu polityków amerykańskich uznało go za zbyt duże ustępstwo wobec Moskwy. Francuska prasa nie zawahała się pisać o "nowej Jałcie", sugerując początek końca parasola atomowego Jankesów nad Europą Zachodnią.

Czy zła passa Ameryki potrwa i w bieżącym roku? Zbliżająca się kampania prezydenta nie wpłynie zapewne na polityczną konsekwencję i wyważenia posunięć Białego Domu. Na szczęście dają o sobie znać także i pozytywne procesy. Szara i nieefektywna działalność antyterrorystycznych służb Zachodu wydała owoce. Rok 1987 nie zaznaczył się zamachami bombowymi na ulicach miast Zachodu, które tak krwawo zaznaczyły lata 1985 i 86. Wyrażnie nie spuścił z tonu Kadafii, wykryto kryjówki francuskiej "Action Directe", przechwycono transporty broni irlandzkiej IRA. Wyraźnie wzrosł opór partyzantek antykomunistycznych. Po 3 latach okupacji AFGANISTANU, ZSRR nadal kontrolował jedynie główne miasta i punkty strategiczne kraju. Przebojem wśród mudżahedinów, stały się przysłane w zeszłym roku z USA rakiety "STINGER", które sparaliżowały siły powietrzne Armii Czerwonej.

Sukcesy odnosiła antymarksistowska UNITA w Angolii, w Kampuczy zwyciężone wojny partyzanckie, komunistyczne władze przystąpiły do rozmów w Paryżu z liderem demokratycznej opozycji - księciem SIHANOUKIEM. Walkę kontynuowali wreszcie nikaraguańscy contras odrzucając pokojowy plan kostarykańskiego prezydenta Ariasa. Ow plan pacyfikacji Ameryki Środkowej, mimo uhonorowania jego autora pokojową nagrodą Nobla, nie wytrzymał starcia z rzeczywistością.

Zeszły rok to pasmo sukcesów wyborczych prawicy. Chrześcijański demokrat Kohl wygrał w RFN, konserwatystka Thatcher zwyciężyła w Wielkiej Brytani, wreszcie w Portugalii zatriumfował kandydat prawicy Zamora.

Wbrew alarmistycznym prognozom z 1986r osłabła fala niepokojów w RPA. Krwawy antagonizm etniczny rozdzierał Srilankę, trwała wreszcie wojna Czadu z Libią.

Rok 1987 to także rok zapomnianych

TRAGEDII.

Rządzona przez marksistów Etiopia przeżywała kolejną falę głęsi i głodu. Tym razem świat nie chciał pamiętać, uspokojony przed samym sobą odębnieniem "Live Aid" i odpiewaniem "we are the World". Zjęcia czarnoskórych szkieletów już się przejadły zachodnim mass-mediom.

Z obojętnością świata spotkało się też parę miesięczne obłożenie w Libanie palestyńskich obozów przez szyicką milicję Amal, w trakcie którego doprowadzeni gehenną do ostateczności Palestynicy zjadali mięso trupów. Tym razem międzyarabski konflikt nie zainteresował zachodnich lewicowców, tak wyczulonych na agresywne akcje Izraela. Jedne z najcięższych walk toczyły się o obóz SZILLA-pamiętny z masakry na Palestynczykach dokonanej przez chrześcijańską falangę, w czasie inwazji Izraela na Liban w 1982r.

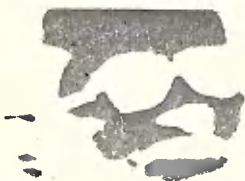
Drukowane wówczas w Polsce plakaty oficjalne krzyczały: "Świat nie zapomni masakry w Szatilli". Dziś pytanie trzeba byłoby uściślić "której zbrodni??".

Rok afery z ledowaniem samolotiku Rusta na Placu Czerwonym, rok wyboru do włoskiego parlamentu gwiazdy kino porno "Cicciolina", ochoczo prezentująca w trakcie swej kampanii wyborczej uroki swego ciała. Rok udanych wizyt Honeckera w RFN i Francji. Rok czerwcowych demonstracji młodzieży z NRD u stóp muru berlińskiego. Rok w którym przywódca afrykańskiego kraiku Burkina Faso dowiedział się ze zdumieniem z radio, iż nigdy przez niego niewidziany na oczy pik Kadafii mianuje go pułkownikiem. Rok śmierci w berlińskim więzieniu Spandau, ostatniego z przywódców III Rzeszy - Rudolfa Hessa.

Odészli od nas także ci, których niegdyś kochano za urodę i talent - wspaniałe gwiazdy Hollywoodu Pola Negri i Rita Hayworth czy showmen i mistrz stepowania z lat 30-tych Fred Astaire.

Taki był rok 1987.

STEFAN BIELSKI



JARUZELSKI
GC HOME
TO MOSCOW!

Solomon

NOTATNIK POLITYCZNY KONSERWATYSTY



1 grudnia 1987

Z kilku powodów nie choę reformy robionej przez komunistów ani żadnego rodzaju lewicę. Najważniejszym jest moja obawa przed ich ciągłym eksperymentowaniem i traktowaniem wszystkiego jako laboratorium, w którym doświadczenia albo się udają, albo nie i w którym przy ewentualnej nieudanej doświadczeniu można powtórzyć. Ta "reforma", jak i poprzednie, wciąż oderwane są od rzeczywistości, ich przeprowadzanie nieuchronnie prowadzi do mniejszych lub większych katastrof uderzających w kulturę gospodarosą, w której tradycyjne normy umożliwiająją funkcjonowanie rynku nie dzięki odgórnim naciskanym guzikom mechanizmów lecz dzięki olkamyziej, wiekowej pracy wojnego społeczeństwa, które wytworzyło własny świat handlu na drodze kompromisu między indywidualnymi, ludzkimi ekspresjami m.in. właśnie w dziedzinie gospodarki. Temu światu nie można o f i a r o w a ć z gospodarki czegoś tam a innego zabronić.

Wydaje się, że lewicowi eksperymetatorzy, oświeceni kolejnymi "postępowymi" odkryciami (ostatnio odkryli, że rynek jest postępowy!), rzucają się na tradycyjną gospodarkę jak na martwy kawał żelaza, który dowolnie mogą obrabiać, najpierw przez industrializację, kolektywizację rolnictwa, upaństwowianie i a potem przez radośną (kilkuprocentową!) reprivatyzację, i (częściowo!) urynkwienie. Ale dokonuje się to wszystko kosztem, mało na początku widocznych sfer życia zbiorowego, które jednak są tak konieczne dla jego prawidłowego działania, iż po kilku nawet latach rządów lewicy niemożliwe do wytrzymania staje się wszystko, nie tylko gospodarka. Dzieje się tak bowiem "postępowość" ulegają, chociażby tradycyjny etos pracy oparty na poczuciu własności indywidualnej, handel oparty na dobrowolnej wymianie. Lewica nie ogląda się na te zastane normy, jest pochłonięta powrotem swych "reform", które to powodzenie coraz bardziej zaczyna zależeć od zdławienia starego świata wartości.

Pracę związaną z poczuciem obowiązku zastąpi lewica pracą z poczucia strachu i przynusu. Handel naturalnie związany z popytem i podażą zastąpi centralnie planowaną "wymianą" wyalienowaną z potrzeb i bogactwa konkretnych ludzi czy regionów. I w ten sposób Śląsk, dawniej wspaniale handlujący na przykład z Pomorzem, czerpiący dobrobyt ze spontanicznej, oczywistej kultury wymiany, umożliwiającej rozwój kultury w ogóle w obu regionach po prostu ciążących ku sobie, teraz jest miejscem upadku ż y c i a. System nakazowy natychmiast zdżawił te głębokie lecz szalenie delikatne więzi, zastępując je chłodem biurokracyjnych decyzji do tego stopnia, iż w tej chwili są to regiony atomizowane, bezradne, bezwolne, zdane na łaskę i niełaskę k u p o z a c e g o biurokraty, często nienawidzącego tego co robi, nieswiadomego po co i komu wysyła towar, co i od kogo sprowadza. Degeneruje się w ten sposób z trudem budowany stary świat, a na jego miejsce wchodzi pustynia lewicowego chaosu.

Ale komuniści łaskawie ofiarowującej II etap osiągnęła rzecz dla siebie pożądaną, podzielała społeczeństwo. I tu znów mój protest bowiem niechęć społeczna, oczywista w innych warunkach i nie wymagająca sprzeciwu, będzie wykorzystywana w ten sposób, iż wzbogaca się ci, którzy już w przeszłości częściowo wzbogacili się dzięki "komunistycznej dżungli" i tak zdeprawowani przestali być dla systemu groźni - zamknięci w swej prywatności czy "godziwości". Dawniej charakterystyczne pociągnięcie powinności względem wspólnoty, jakie posiadały elity ziemiańskie, przemysłowe czy inna bogacące się n.p. w okresie pozytywizmu, jest nieobecne u tych, którzy w komunizmie dojść mogą do czegoś tylko w konflikcie z tą wspólnotą.

Nie jest obojętne w jakich warunkach i po co rzucone jest hasło "bogactwo się". Podzielone społeczeństwo, na dobre znane komunistom "klasy" bogatych i biednych, w przyszłości łatwo da się pozbawić resztek wolności w podobny sposób jak po NEP-ie.

Uważam, że moment, w którym komuniści zmuszeni są warunkami zewnętrznymi do zarzucenia poprzednich pomysłów w gospodarstwach, należy wykorzystać na twarde zażądanie restytucji normalnej kapitalistycznej ekonomii a nie odeszść się z nowego chaosu, licząc na wymknięcie się (sic!) sytuacji spod partyjnej kontroli. Chaos jest wpisany w komunizm i nie wynika z jego wpaści - system ten jest właśnie przeciwko porządkowi w ogóle. Chaos pracuje zawsze na rzecz partii.

Żyjąc należy jakie trzeba stworzyć gwarancje by taki program restytucji został zrealizowany, wszak polityka to nie oczekiwanie, iż samo coś się zrobi ale nawet specjalne kreowanie czegoś godziwego, jeśli widzimy, że to, czego teraz być może nie ma, a u s i być i Czartoryski, będąc przywódcą prawdziwego kalibru, jeśli na przykład uważał, że w interesie polskiej niepodległości leży wyparcie Rosji z Bałkanów, dokonał tego zaczynając niemal od zera - posyłał na Bałkany swoich ludzi i ołbrzymie pieniądze, interweniując u dworów i rządów, które chciały i musiały się z nim liczyć bowiem dysponował siłą wpływów o jakiejś sile możemy tylko śnić. Śnić z własnej winy jeśli politykę budować chcemy na wzruszeniu jakie świat okazał Polakom po 13 XII, po śmierci ks. Popiełuszki, po Nagrodzie Nobla, po przeczytaniu pamiętników Lecha Wałęsy i tym podobnym wydarzeniom. Tymczasem świat interweniuje w Afganistanie, ponieważ walczą i mały i w większych państwach, bo walczą i ma swojego Obando y Bravo, w obu państwach żądają wolnych wyborów i władzy już tak długo, że wreszcie wbił to do głów zachodnich społeczeństw i polityków. Nie choć wcale wyszła do tego by ofiarować ZSRR prezent w postaci wyrzniętych elit, wykrwawionego narodu - dobrze, że właśnie tego uniknęła Polska po 13 grudnia. Choć tylko wskazać na jak wielki nacisk musimy się zdobyć by problem rozwiązać. I jest to pytanie o siłę. Jeśli w swoje ręce odpowiedzialnie nie weźmie sytuacji i opozycja, i Kęsziński równocześnie: stanowczo, długo-falowo i spokojnie żądając przeprowadzenia wolnych wyborów, to do głosu dojdą siły zupełnie nieodpowiedzialne, rozpaczyliwie żądające się w jakiejś "rewolucji".

Na razie zauważam wycofywanie się komunistów i zupełną wobec tego bezradność elit. Gdy przeciwnik się wycofuje (nawet w ZSRR, chociaż wszędzie taktycznie) dlaczego nie atakujemy zadawając się prowokacjami w styluskoncordatu, zmniejszenia spektakularności represji (przy zachowaniu skuteczności)? Gdzie są, ważne programy żądań ekonomicznych opartych o teorię i praktykę kapitalizmu? Gdzie żądania restytucji normalnego świata, gdzie żądania wolnych wyborów?

Wzrost wrogu gwarancji mamy bez względu na to, w ob-
 ięciach i walkach komunistów. Opozycja zajmuje się walką o samorządy i
 wyławianiem pieniądzy na rejestrację NSZZ "Solidarność", biskupi
 wnikają się kłopotując o stan stosunków między komunistami
 a Kościołem, czyli dzieją się rzeczy ważne i ciekawe lecz zupet-
 nie odbiegające od powagi sytuacji !!! Zatem chodzi nam o nastę-
 pnie dziesięciolecie "postępowego" ustroju, nie mamy ludzi chcą-
 cych władzy mających P o r m a o j e przywódców, którym będzie
 można podzielić obronę wartości, nie przy pomocy piasek i książ-
 ek podziemnych ale w majestacie i przy pomocy l e g a l n e g o
 sądu, sejm, sądów, niezbrukane prawa i administracji ???

styczeń 1988

Wyniki "referendum" są dla komunistów doskonałe ! Nie widzę
 żadnej "pierwszej w historii przegranej rządu, da której on
 sam się przyznał", jak naiwnie chcą to przedstawić na Zach-
 odzie i w prasie podziemnej tzw. niezależni publicyści.

Przecież w dalszym ciągu ci, którzy oczekiwali i niemal
 błagali o reformę systemu, pozostali na kłęczkach nie uzysku-
 jąc gwarancji, zobowiązania ze strony partii, dla której wy-
 niki to legalizm działań i zarazem pełna dowolność w ster-
 owaniu rynkiem bez limitu czasowego nawet w postaci owych 2-3
 lat. Zalegalizowana pauperyzacja, czy może być coś lepszego
 dla komunizmu ???

Do niczego nie zobowiązana PZPR, nie tylko dysponuje wo-
 bec Zachodu idealnym usprawiedliwieniem dla własnej indolen-
 cji gospodarczej w powoływaniu się na niechęć Polaków do za-
 dykalniejszych rozwiązań i szybkiej poprawy gospodarki (czy-
 li spłaty długów), lecz także ma dowód zastosowania wielo-
 stopniowej demokracji - oto bowiem "referendum" to obradujący
 "sejm". A Zachód takie rzeczy lubi.

Nomenklatura, przez chwilę zdezorientowana nowymi sła-
 ganami, już nie musi obawiać się wielkich czystek, a olbrzymie
 koszty "referendum" przy mizerności wyników pozwoli na przy-
 szałność odstraszyć tych, którzy niezdrowo podnieceni preceden-
 sem 29 XI, zapragnęliby poddania pod referendum innych spraw.

Słowem znów 5+ dla komunistów. Tylko szkoda tych ton pa-
 pieru (m.in. Tygodnika Mazowsze) jakie poszły na bezsensow-
 ne dyskusje o ewentualnych szansach jakie może dać otwarcie
 się rządowi PRL ryzykującego referendum. Tak jednak będzie je-
 szcze długo dopóki opozycja będzie zapatrzona w posunięcia
 komunistów niczego nie oferując w zamian.

8 lutego 1988

ZSRR ogłasza wycofanie się z Afganistanu. Na ile Zachód
 świadom jest celów i metod, a nawet sukcesów własnej polity-
 ki wobec bloku. Jak szybko porzucił tak błogosławiony impet
 nadany przez kurs prawicowego Reagana i Thatcher, zadawalają
 się: prowokacjami sowieckimi w postaci pierestrojkowej propa-
 gandy, wycofaniem się z Afganistanu. To faszyzujące i kto ko-
 go związkę i rozbroi .

Na razie forsowne zbrojenia, które mogły wykonać ekonomicznie ZSRR, zostały zamiechane. Podpisanie porozumienia Reagan-Orbassov wpłynęły Sowiecom chociażby przesuniecie wysiłku na inne rodzaje broni. Pozostaje nadzieja, że Amerykanie wosemlejsz realizują i wykorzystują program obrony laserowej, nie udostępniając go małym komunistom.

Czy Polska wykorzysta dla siebie tę, być może krótkotrwałą, przewagę USA. Gdyby do tego czasu opozycja potrafiła znaleźć między sobą kompromis wokół badania wolnych wyborów, gdyby Kościół zrezygnował z lojalistycznego narzucania się komunistom, opowiadając się po stronie żądań opozycji (tak jak na Filipinach i w Nikaragui) to byłoby to dla nas wielka szansa, ale... gdzie jest taka opozycja i gdzie jest polski Obando y Bravo ?

Niewiele pozostało czasu, tym bardziej, że jedyny na skalę naszych problemów, polski mąż stanu Jan Paweł II starzeje się. Chyba, że liczymy na to, iż następnym papieżem też będzie Polak.

10 lutego 1988

Gierpiny na bruk autorytetów. Wpadł mi oto do rąk numer Tygodnika Powszechnego z artykułem Halla poświęconym Stommis. Wios się jeży na głowie-mamy małe bo małe, ale jakże pocieszona kulty jednostek.

Autorytet jest potrzebny w życiu zarówno jednostek jak i zbiorowości. Co jednak zrobić, gdy nie może się on wykształcić na drodze normalnej, w oparciu o wartości sprawdzane tradycją wolności? Polska była i jest pozbawiona takiej tradycji i sprawdzającej m.in. autorytety w konfliktach, krytyce, opozycji ale także w odpowiedzialności i rządzeniu. Ponad sto lat rozbiorów i teraz okupacja sowiecka to czas, w którym celowo, i siłą, wróg degeneruje świat wartości, uniemożliwiając wysiłek tych sił, które nie chcą zmian norm. Ale wolność, państwo i prawo legalne to te warunki, o które walczy konserwatywny świat. Wtedy normy żyją i smartychwatają, po chwilo- wym nawet załamaniu pod naciskiem n.p. "postępowości", dzięki temu, że się sprawdzają w konfrontacji z nowymi propozycjami. Wolność krytyki, warunek wykształcenia się prawdziwych autorytetów, w naszej sytuacji nie jest spełniony.

Czy oznacza to, iż w zrewolucjonizowanym świecie zanie- ra potrzeba autorytetu? Nie! I jest to w jakimś sposób do- wód na fałsz konserwatyzmu. Nieestety potrzeba zaspakajana jest pseudautorytetami, "świętościami", których nie wolno skrytykować. Nięcej! W ogóle nie mówi się o żadnej ich skazie. Ope- zycja w komunizmie zaraza się takim kultem jednostki, który wcale nie ratuje zbiorowości bowiem uniemożliwia funkcyjono- wanie autorytetu w tym miejscu w jakim on może i powinien się spełniać w funkcji nauczycielskiej, a nie przez zwa- żenie ludzi od odpowiedzialności myślenia, i dzia- łania.

Wolę zatem Piżsudkiego, któremu nigdy niezego nie osz- cędniono, niż autorytety wykształcone na drodze kagiegrafii.

12 luty 1988

Cytatem wywiad... z Dominikiem Morawskim-Misja wschodnia Watykanu- nr 6 "Zadzi" z 7.02.88. Cytuje "(...) Watykan bierze pod uwagę to, że zwłaszcza wśród emigrantów ukraińskich, element religijny jest wykorzystywany jako narzędzie skrajnego nacjonalizmu o wymowie antyrosyjskiej i antyprawosławnej (...). Wydaje mi się, że przede wszystkim skrwawiony kościół grekokatolicki jest skrajnie nie antyrosyjski, a antyradziecki i antykomunistyczny, jest nie przeciwko prawosławiu w ogóle, a przeciw carakiemu osy, teraz komunistycznemu prawosławiu "nawracającemu" od wieków siłą i eksterminacją grekokatolików. Zatem dawny powód do omluby, wytrwanie w wierności Rzymowi, teraz zawstydzająca w czasach "włączenia" problemu unickiego do dialogu ekumenicznego z prawosławiem i (...) przekonania że w ramach tego dialogu znajdzie on właściwe rozwiązanie".
I to zmusza do wrócenia mecenistwa w szufladkę skrajności antyrosyjskiej i antyprawosławnej?

25 luty 1988

To, co z polityki rozumiały klasy dochodzące do władzy po rewolucjach: francuskiej, rosyjskiej, bolszewickiej czy japońskich innych, to tylko t e c h n i k a. Władzy i demokracja już totalna nawet owej techniki, nie może stać się inaczej, gdy z jednej strony dawna warstwa rządząca szrengnowaty a wyzwania jakie niesie w sobie szlachetność i arystokratyzm (czyli formacja elitarna), a z drugiej strony doszły do głosu te warstwy, które w polityce upatrywały tylko sposób utrzymania władzy, dojdą do władzy i tym podobne sowne trywne działania nie jest to bez znaczenia. Ten najlepszy dowód teraz, gdy pozbawieni jesteśmy normalnej kultury politycznej, zarządzając się tym co widzimy wokół siebie, co rozumiemy przez politykę i jaka jest nasza praktyka politykowania w podziemiu ??? Ciągłe spory i kłótnie ciągle wzajemne wykańczanie się dla "władzy".
PPS podobne podzielenie i !

Sakralizacja polityki oto czego potrzeba po owych "postępowych" rewolucjach !

4 marca 1988

Ciekawość z zoda w kolejce do spółdzielni lekarskiej uświadomili sobie fantazyjną rzeczywistość komunii do władzy doszli dzięki m.in. hasłom darmowej szkoły i darmowej opieki lekarskiej, dziś, gdy przebakują o płatnych szkołach i szpitalach, snów ciemną się popieram jako światli reformatorzy. Czyż nie jest to paradoksalna populistażdziłki wywołująca się z własnego programu bowiem realizacja, tego ciemnego się popieram, wykonczyła epokowość two. Oczywiście nie do nowo o oddaniu władzy !

Piotr Świątyński

Tak jak obiecywaliśmy rozpocząwszy publikację kolejnych rozdziałów, napisanej w języku angielskim, autobiografii Andrzeja Panufnika. To znakomicie się składa, iż w numerze "Orwellowski" możemy z g r o b u p a m i ę c i przywołać tego szanowanego i cenionego w świecie kompozytora. Krasa jego autobiografii powraca znieszczonej i celowo schydzanej świat przedwojennej i wojennej Polski.

Jeśli tylko uda się przezwyciężyć trudności finansowe, "ARTIK" udostępni czytelnikom książkowe wydanie "Komponując siebie" Andrzeja Panufnika.

PODZIĘKOWANIA

W odróżnieniu od mego wielkiego rodaka, Josepha Conrada, nigdy nie miałem inklinacji literackich, a mój angielski, nawet po przeszło trzydziestu latach spędzonych w Wielkiej Brytanii, nadal jest raczej wątpliwy.

Jednakże, przyjaciele przekonywali mnie /wręcz terryzowali/, bym napisał tę autobiografię. Ich pytania sprostakowały mnie, by cofnąć się /dość bolesne doświadczenia/ do żąducha dramatycznych zdarzeń, które stanowiły burzliwe tło wymarzonego dla kompozytora spokoju. Jestem wdzięczny przyjacielom za to, że ich żywiliwe zainteresowanie pobudziło mnie do podjęcia pracy, dało bodziec do opisanego szczegółów mego osobistego życia i pracy twórczej, które, gdyby nie ich nalegania, zatrzymałbym prawdopodobnie na zawsze dla siebie.

Podziękowania kieruję przede wszystkim do przyjaciółki naszej rodziny, Jenny Pearson, która dwa razy w tygodniu przyjeżdżała na rowerze z Kew do Twickenham, aby pracować ze mną nad nowymi, nabażgranymi kartkami mego niewyglądzonego /lub zbyt polskiego/ angielskiego. Dzięki jej niebywalej cierpliwości, zdecydowaniu i magii, którą oddziaływała na moją gramatykę i ortografię, jak również znakomitej umiejętności pisania na maszynie, moje bażgroły przerodziły się w gotowy tekst. Dziękuję również tym wszystkim, którzy nie szczędzili mi praktycznych uwag ani pomocy: Dawidowi Brew, Antonyemu Hopkinsowi, Bernardowi Jacobsonowi, Janis Suskind i mojemu wydawcy Christopherowi Falkusowi. A najbardziej jestem wdzięczny, oczywiście, mojej żonie Camilli. Bez jej wtrwalej pomocy i cierpliwych nacheć, nigdy nie pomostowilibym komponowania na dostatecznie długo, by skończyć tę książkę.

ang. Polish, Polish, Polish - wykładni; polished -

DLA MIEJ NAJUROCHAŃSZEGO TRIO:

CAMELLI, ROMANUS I JERZYKINO

SKOJARZENI PRZEZ SKRZYPCY

Na początku naszego stulecia żył sobie w Warszawie pewien młody człowiek, z zawodu inżynier, który zarabiał na życie jako specjalista w zakresie budownictwa wodnego, a którego prawdziwą pasją było wyrabianie skrzypiec.

Dnie spędzał w biurze, gdzie zajmował się kopaniem studni i osuszaniem bagien. Natomiast długie, bezsenne noce poświęcał na rozwikłanie sekretów siedemnastowiecznych mistrzów włoskich konstruujących skrzypce. Pracownia, w której mieszkał i pracował, była pełna różnego rodzaju przyborów metalowych o dziwacznych kształtach i osobliwych, małych, powyginanych piłek, a także rysunków, wykresów matematycznych, wzorów chemicznych, kawałków starannie dobranej, wyschniętego drewna, instrumentów w różnym stadium wykonania i, wreszcie, gotowych, pięknych skrzypiec zrobionych według własnego projektu.

Był szczupłym, raczej arystokratycznie wyglądającym mężczyzną średniego wzrostu, o kasztanowatych włosach i przystrzyżonych wąsikach, a małe, szare oczy krótkowidza ukrywał często za binoklami. Ubierał się gustownie z ogromną dbałością o schludny wygląd i uchodził za przystojnego. Jednak unikał życia towarzyskiego, nigdy nie kontaktował się z sąsiadami. Kiedy mijali jego drzwi, czuli dziwny zapach lakieru i kleju, słyszeli odgłosy piły, widzieli, że światło pali się całą noc, patrzyli więc na niego podejrzliwie - sądząc, być może, iż zajmował się jakąś średniowieczną alchemią.

Pewnego ranka został zaskoczony wizytą eleganckiej kobiety w średnim wieku, która otrzymała jego adres od sławnego w Warszawie nauczyciela gry na skrzypcach, profesora Isadora Lotto. Słyszała, że wyrabia znakomite skrzypce i chciała kupić jedno dla córki.

Młodemu człowiekowi pochlebiało, że jego instrumenty zaczynają być znane. Jednocześnie był dotknięty, że ktokolwiek mógł przypuszczać, iż robił je na handel. Odpowiedział, że nie jest sprzedawcą, że prowadzi poważne badania naukowe i tylko w tym celu robi modele.

Jednak dama była zdecydowana. Powiedziała grzecznie: "Moja córka jest bardzo zdolna, jest ulubioną uczennicą profesora Lotto. Gra wszystkie klasyczne koncerty z pamięci. Musi koniecznie mieć dobry instrument". Przerwała, ale po chwili dodała, jakby nagle coś ją natchnęło: "Czy mógłby pan przynieść jeden ze swoich instrumentów profesorowi Lotto? Moja córka mogłaby zagrać, a pan posłuchałby brzmienia, może wówczas zmieniliby pan pogląd..."

W tydzień później, w domu profesora Lotto młody człowiek został przedstawiony skrzypaczce, zgrabnej młodej blondynce o piwnych oczach, jasnej, delikatnej cerze. Jej sposób bycia był bardzo powściągliwy - ktoś obcy mógł go osądzić jako wyniosły - ale młody człowiek uznał, że jest dosyć inte-

resujący. Podał jej instrument. Profesor Lotto usiadł do fortepianu i rozpoczęli Koncert Skrzypcowy Mendelssohna.

Twórca skrzypiec był pod silnym wrażeniem nie tylko zachwycającej powierzchności młodej skrzypaczki, lecz również mistrzowskiego wykonania i rozkosznego ciepła tonów, które wydobywała z jego drogocennych skrzypiec tak więc miał uczucie, że lata jego pracy nie poszły na marne. Po zakończonym koncercie nie potrafił znaleźć właściwych słów, by wyrazić swój zachwyt. Profesor Lotto wylewnie gratulował mu mistrzowskiej roboty, lecz skrzypaczka, zachowując rezerwę, milczała.

Od tej pory tryb życia młodego człowieka stał się mniej surowy. Otrzymywał i chętnie przyjmował zaproszenia do domu skrzypaczki i jej matki. Był człowiekiem dumnym, jak przystało na Polaka, i nie chciał skyszeć o sprzedaży skrzypiec. Ale kiedy wzajemna sympatia między nim a piękną skrzypaczką doprowadziła do tego, że się zaręczyli, ofiarował jej skrzypce jako symbol przywiązania jeszcze bardziej stosowny niż pierścionek. Wkrótce pobrali się w klasztorze na Jasnej Górze, przed sławnym obrazem Czarnej Madonny.

Tym uczonym, który wyrabiał skrzypce, był mój ojciec, a piękną skrzypaczką moja matka. Można by powiedzieć, że moje przyjęcie na świat było rezultatem małżeństwa skojarzonego przez skrzypce! Uroczą, elegancką kobietą, która zapoczątkowała łańcuch zdarzeń, była moja najukochańsza babka, mój "aniół stróż"; jej to zawdzięczałam prawie wszystko, co w moim skądinąd samotnym i trudnym dzieciństwie było szczęśliwe i wzniosłe.

Moji rodzice nie byli zbyt młodzi, gdy się pobrali, szczególnie według norm obowiązujących w 1909 roku. Czerdziesto-czteroletniego ojca uważano za starego kawalera, a dwudziestosiemioletnią matkę za zatwardziałą starą pannę. Nim się spotkali każde z nich było zdecydowane nigdy nie związać się małżeństwem. Ojciec, mimo upodobania do żadnych kobiet, był przekonany, że coś tak rozpraszającego uwagę nie powinno przeszkudzać mu w pracy nad instrumentami. Moja matka marzyła o studiach w Berlinie u światowej sławy profesora Carla Flescha, i również obiecała sobie, że będzie unikać więzów rodzinnych, aby muzyka mogła wypełnić całą jej życie. Ulegając pociągowi, jaki do siebie nawzajem czuli, rodzice skazywali się na poświęcenia, które musiały mocno zaważyć na małżeństwie /i dzieciach/. Niemniej jednak był to naprawdę związek z miłości.

W podróż poślubną ojciec zapbrał swą dopiero co poślubioną żonę na syberyjskie pustkowia, nie w poszukiwaniu dzikich, rozległych przestrzeni, ale dlatego, że rząd carski zaangażował go do prowadzenia pomiarów terenowych i drażenia studni. Nowożeńcy wyprawili się daleko na Wokę, podróżując przez niezamieszkałe prawie obszary, gdzie nie było dróg ani drzew, tylko gdzieniegdzie widziało się kępy krzewów. Przypominało to pustynie, tyle że zamiast piasku wszędzie rosła tu trawa. Mieszkali w zapadłej wiosce zamieszkałej przez ciemnych, nieobliczalnych ludzi. Każdego ranka ojciec zniknął, aby prowadzić pomiary, pozostawiając matkę całymi dniami samotną, wydaną na pastwę strachu przed bandytami i złodziejami. Aby zabić nudę i strach, ciągle grała na skrzypcach a muzyka Bacha

Beethovena, Mozarta i Mendelssohna płynąca majestatycznie po pustych stepach.

Był to dość niezwykły początek małżeństwa. Pocięszali się, że oszczędzą dużo pieniędzy i przywieżą je do Warszawy. Ale moja matka szybko zaszła w ojaźnię i osiem miesięcy potem wrócili do domu, gdzie urodził się mój brat, któremu dali na imię Mirek /zrobienie od Mirosław/.

Ojciec natychmiast wrócił do trawiącej go namiętności i w końcu osiągnął cel, skonstruował własnymi rękoma kwartety instrumentów smyczkowych; pierwszy zestaw model "Antica" oparty był na starych instrumentach włoskich, a drugi, model "Polonia", był jego własnym, oryginalnym projektem. Zaczął również pisać naukowe książki, w których opisywał swoją technikę.

To spokojne interludium skończyło się raptownie, kiedy w sierpniu 1914 roku wybuchła pierwsza wojna światowa. Walki były coraz bardziej zacięte, a nad Warszawą latały groźne zeppelin-y. W tych trudnych warunkach, 24 września, moja matka urodziła raczej wątłego, ciemnowłosego, ciemnokulęgo chłopca - mówiono, że wyglądał jak kościsty ogon, zupełnie przeciwnieństwo żywego, wyglądającego jak lew, pięcioletniego Mirka, który miał bladą cerę, złociste włosy i jasnoniebieskie oczy. Ojciec nie mógł zostać w domu i być świadkiem mojego dzieciństwa.

Polska w tym czasie była podzielona pomiędzy Rosję, Prusy i Austro-Węgry, a Polacy zostali powołani do wojsk zaborców w zależności od miejsca zamieszkania, co było tragiczne w skutkach, gdyż musieli ze sobą walczyć i zabijać jedni drugich. Warszawa podlegała carowi i mojego ojca niezwłocznie zmobilizowano w randze kapitana, do armii rosyjskiej. Kiedy żegnał się z nami ani on ani matka nie przypuszczali, że wiele lat minie nim będzie mógł wrócić do domu. Podtrzymywał się na duchu przekonaniem, że wojna rychło się skończy. Przeżył wszystkie możliwe niebezpieczeństwa na froncie. Najlepiej zapamiętałem opowieść o tym, jak śmierć minęła go o centymetry, kiedy niemieckie samoloty zrzuciły grad ciężkich, spiralnych pocisków na jego szarżującą dywizję kawalerii. Gdy tylko mógł, pisał do matki i wysyłał regularnie pieniądze przez neutralny Sztokholm. W 1917 roku wybuchła rewolucja rosyjska, nastąpił kompletny chaos, wszystko przepało.

Ponieważ pieniądze nie napływały, znaleźliśmy się prawie w nędzy. Matka musiała za psie pieniądze sprzedać zachłannemu spekulantowi, który bogacił się na wojnie, znaczny spadek po swoim dziadku, plac w Warszawie. Nawet jeśli miało się pieniądze, nic nie można było kupić, bo podstawowe produkty takie jak chleb, mleko i mięso zniknęły z rynku. Zamiast cukru używano sacharyny; moje najwcześniejsze wspomnienia z dzieciństwa to zachwyt, kiedy zaczynała syczeń tabletką sacharyny wrzucona do herbaty.

Wojna skończyła się w 1918 roku, Polska odzyskała niepodległość. Jednak mój ojciec nadal nie mógł wrócić do domu. Znalazł się na ziemi niczyjej, na której władzały terror i bezprawie. W porewolucyjnym zamieszaniu żołnierze rosyjscy, wracając wyczerpani i zdemoralizowani z wojny, dopuszczali się wszelkiego rodzaju zbrodni: szabrowali, rabowali, gwałcili -

11

zabijając każdego, kto im wchodził w drogę. Śmierć nieśli ze sobą również bolszewicy, którzy byli zdecydowani wytępić całą inteligencję; zmuszali nawet najbiedniejszych wyglądających ludzi do pokazywania dłoni: gładka skóra była przestępstwem, za które czekała kara śmierci.

Stopniowo zmieniająca się sytuacja pozwoliła w końcu ojcu pomyśleć o powrocie do domu; po drodze gromadził porzucone przez rosyjskich żołnierzy motocykle i broń i, jak przystało na patriotę, zorganizował transport tego sprzętu do Polski dla nowo powstającej armii polskiej. Do Warszawy dotarł w 1919 roku, tuż po Bożym Narodzeniu.

Kiedy któregoś ranka wpadłem do pokoju matki, zobaczyłem w jej łóżku mężczyznę. "Co to za potwór?" - spytałem oburzony. Matka roześmiała się. "To nie potwór. To twój ojciec! Twój ojciec wrócił do domu!"

Nie byłem zachwycony tą wiadomością. Patrzyłem z gniewem na śpiącą postać i na postrzępioną marynarkę wiszącą na krześle w nogach łóżka.

Gdy nieznamy zbudził się, próbował nawiązać ze mną rozmowę. Spojrzałem milcząco na wychudzoną, zmęczoną twarz i niepewny uśmiech pod starannie wystrzyżonym wąsikiem. Czując moją rezerwę, wyciągnął kwadratowe metalowe pudełko napełnione ciemnym dżemem wiśniowym. Obaj z Mirkiem zaatakowaliśmy ten rzadki przysmak gołymi rękoma. Po dziś dzień pamiętam niebawoma rozkosz jaką sprawiało mi zamurzenie całej żupy w lepkiej masie i wyciąganie boskich wisien. Gest ojca przekamał lody, choć niezupełnie.

Przez długie, ponure lata wojny obsesja mego ojca nie osłabła; ogarnięty głęboką miłością do ojczyzny, wymarzył sobie wskrzeszenie dzięki wrodzonym talentom polskich rzemieślników rodzimej tradycji budowania skrzypiec z najszerzym wykorzystaniem drzewa świerkowego, srebrnej jodły i klonu z polskich lasów. Uważał, że Polska nie powinna być uzależniona od importu z Niemiec czy Czechosłowacji instrumentów, które uważał za "taneczne pudełka do cygar". Postanowił otworzyć fabrykę produkującą nie tylko na potrzeby krajowe, lecz również na rynki całego świata. Zainwestował wszystkie swoje oszczędności i całą energię w wyposażenie warsztatu.

Otwarcie nowego przedsiębiorstwa w 1921 roku zapamiętałem na zawsze z powodu pierwszej jazdy samochodem prowadzonym przez wyniosłego szofera w czapce z daszkiem. Krótka przejażdżka była wielkim przeżyciem; połyskliwy mosiądz, dźwięk i zapach skórzanych siedzeń podniecały mnie o wiele bardziej niż imponujące nowe budynki i olbrzymie wypukłe litery nazwiska PANUFNIK na dachu. Niecierpliwie patrzyłem na księdza poświęcającego fabrykę. Chwilowej rozrywki dostarczył mi występ największego polskiego skrzypka owych czasów Stanisława Bacewicza, którego czerwony nos świadczył o długotrwałym zamiżowaniu do kieliszka, a który zagrał cudownie na instrumencie wykonanym przez ojca Chaconne^o Bacha i inne utwory. /Instrument nie był jeszcze wykończony - nie został polakierowany - chwyt mego ojca, aby pokazać wybitne wartości głosu nim brzmienie będzie wzbogacone dzięki położeniu lakierni./ Po koncercie po-

dawano napoje, a następnie nie kończące się pozowanie do fotografii. Ciągnęło się to nie do wytrzymania. Marzyłem jedynie o powrocie do limuzyny.

Miastety jazda samochodem była bardzo krótka, jak i żywot ojcowskiej fabryki. Spółce brakło kapitału obrotowego, a obiecana pomoc organizacji państwowych nigdy nie nadeszła. Po niespełna roku, ku upokorzeniu mego ojca, napis PANUFNIK został zdjęty, a fabrykę przejął producent zabawek.

Całe pieniądze, jakie udało się uratować, ojciec ulokował w akcjach lub w antykach. Z powodu opłakanej sytuacji finansowej Polski akcje wkrótce stały się bezwartościowe. Antyki były niewiele więcej warte i utrudniały nam życie. Nasze mieszkanie było teraz idiotycznie zagracone. Chodzi nie tylko o to, że wszystkie ściany były pokryte od sufitu do podłogi obrazami, spod których nie było prawie widać kwiecistych tapet, ale ponadto z trudem mogliśmy się poruszać pomiędzy zdobionymi stołami, kanapami i grupkami krzeseł, pokrytych często delikatnym jedwabiem, więc Mirkowi i mnie zabraniano na nich siadać. Na ciężkich mahoniowych skrzyniach były porozmieszczone srebrne tace, figurki porcelanowe, talerze, dzbany i wazy kryształowe stały niepewnie na wszystkich wolnych płaszczyznach, więc musieliśmy trzymać łokcie przy sobie, żeby ich nie trącić. W uszach dźwięczał nam co najmniej tuzin starych zegarów, które biły mniej więcej co godzinę, ale nigdy jednocześnie, więc brzmiało to tak, jakby prowadziły ze sobą jakąś gęroszkową rozmowę. Kiedy już cała powierzchnia podłogi była zajęta, ojciec zaczął rozwieszać mniejsze przedmioty, takie jak zegarki i pozytywki. Rozśmieszałem Mirka mówiąc, że skoro ojciec zbiera tyle rupieci, to jest śmieciarzem.

Trudniej było mu sprzedawać antyki niż je kupować i wkrótce znaleźliśmy się w poważnych kłopotach finansowych. Ojciec musiał wziąć posadę w Wydziale Rolnictwa znów jako inżynier. Oczywiście nie był w stanie zrezygnować z konstruowania skrzypiec. Znowu prowadził życie jak za czasów kawalerskich: dzień w biurze, wieczór, a czasem noc, w pracowni.

Młkiem wówczas około ośmiu lat. Prawie nie widywałem ojca i niewiele więcej matkę, która, jak zawsze, była pochłonięta muzyką i ćwiczyła grę na skrzypcach wiele godzin dziennie a wieczorem improwizowała na fortepianie. Zajęcia domowe ją nudziły, a nie lubiła pogaduszek z przyjaciółkami. Musiała być głęboko zawiedziona, że jej muzyka pozostawała zamknięta w czterech ścianach domu. Nie można było poważnie rozpatrywać sprawy jej publicznych występów, chociaż jej gra zyskałaby bez wątpienia, powszechne uznanie. Chodziło nie tylko o jej nerwowe usposobienie i treść /gdz tę mogłaby przewyciężyć/, ale przede wszystkim o snobizm, którego ostrze kierowało się wówczas przeciwko muzykom /i wszelkiej artystycznej profesji/ w owym czasie. Jakiegokolwiek ambicje w tym kierunku spotkałyby się z poważnym sprzeciwem rodziny, mimo że babka była dumna z jej talentu.

W dzieciństwie nigdy świadomie nie słuchałem matczynego grania, ale rozbrzmiewało ciągle w moich uszach, stanowiło tło muzyczne, cząstkę, fragment mego życia, tak że znam na

pamięć koncerty Beethovena, Mozarta i Brahmsa a również Bacha i współczesnych muzyków polskich takich jak Wieniawski i Karłowicz. Muzyka była tak istotną częścią mego istnienia, jak czyszczenie zębów, jedzenie posiłków, a nawet odychanie.

Kiedy mama nie ćwiczyła, była zawsze zagłębiona w lekturze. Jeśli zabierała mnie ze sobą szliśmy zwykle do prywatnej biblioteki, niedaleko domu, prowadzonej przez miłą, ciemnowłosą Żydówkę, o pięknej owalnej twarzy, przypominającej mi Matkę Boską Częstochowską, której obraz wisiał nad łóżkiem rodziców.

Byłbym bardzo samotny, gdyby nie moja anielska babcia. To ona prowadziła mnie wcześniej rano do przedszkola sprawdzając przedtem, czy mam w tornistrze owoce i ciasteczka na drugie śniadanie o jedenastej i zabierała mnie na obiad, główny posiłek w ciągu dnia, jedzony - zgodnie z polskim zwyczajem - około trzeciej po południu. Ona zabierała mnie na spacer, zwykle do niedalekiego parku. Prawie zawsze siadaliśmy na tej samej ławce pod ogromnym drzewem, rozmawiając e czasami zabawiając się w gry słowne. Kiedy była zmęczona, zaczynała czytać i oczekiwała, że i ja zajmę się książką. Ale mnie mało zajmowały historyjki dla dzieci. Wolałem moje własna myśli i obrazy podsuwane przez wyobraźnię. Siedziałem na ławce obok niej obserwując kształty liści i kołyszące się gałęzie nad głową. Fascynowała mnie zmienność kształtów, przypominająca improwizowane układy tajemniczego rytualnego tańca.

Czasami podchodził jakiś chłopiec i w ofiojalnej formie przyjętej w owym czasie pytał, czy zechce psnicz pobawić się ze mną?

Ale ja nigdy nie chciałem. Byłem absolutnie szczęśliwy, gdy mogłem, przytulony do babci, obserwować drzewa i chmury.

Babcia była zawsze ożywiona i zabawna, ożywała sporo po francusku i po niemiecku, jak również po polsku i miała masę wiadomości, mądrości i poczucia humoru. Wszyscy w rodzinie uwielbiali ją; nawet miejscowi sklepikarze witali ją w szczególny sposób, gdyż cenili jej urok, uprzejmość i dostojny sposób bycia. Dokądkolwiek szła, chciałem iść z nią, odczuwać aurę jej osobowości, dobroć i miłość, które z niej promieniowały. Moje pierwsze doświadczenia religijne nie wynikały z ciekawości ani z nacisku rodziców, ale stąd, że pewnego popołudnia nie mogłem rozstać się z babcią. Mimo że ojciec był człowiekiem religijnym i moralnie bez zarzutu, nie chodził do kościoła i nic mi nie mówił o katolicyzmie. Nawet babcia nie pomyślała o tym, by mi wyjaśnić to pierwsze nabożeństwo, w którym uczestniczyłem, więc wydawało mi się bardzo zagadkowe, dlaczego ksiądz odwraca się do nas plecami, mówi do siebie w niezrozumiałym języku, od czasu do czasu wykonuje osobliwe ruchy podniesionymi dłońmi. Ale skoro podobało się to babci, podobało i mnie.

Mimo że już po sześćdziesiątce, była nadal piękna i bardzo zadbana. Srebrne włosy miała zawsze zwinięte we wspaniały kok na czubku głowy, przytrzymany szyldkretowym grzebieniem, wyrzeźbionym w zawiłe wzory widoczne pod światło.

Nieczuła na zmieniającą się modę lat dwudziestych, ubierała się spokojnie i elegancko, zawsze na czarno. Nosila czarne jedwabne bluzki z długimi rękawami i wysokim kołnierzem, długie czarne spódnice, czarne pończochy i czarne pantofle. Kiedy wychodziła, wkładała czarny kapelusz i czarne rękawiczki, nawet w lecie, jak gdyby narzucała sobie wieczną żałobę. Ale miała nadzwyczaj łagodny i spokojny wyraz twarzy. Nigdy nie wydawała się smutna, nie była nigdy zdenerwowana czy zirytowana, lecz zawsze pogodna i spokojna - choć mogła być zgorzkniała, bo nie brakowało w jej życiu chwil tragicznych.

W wieku osiemnastu czy dziewiętnastu lat wyszła za mąż za młodego kupca, Jana Thonnesa, pół Anglika, pół Polaka. Mieili pięcioro dzieci w krótkich odstępach czasu, cztery córki / z których moja matka była najmłodsza / i na koniec syna. Jednak małżeństwo zaczęło się psuć. Jan Thonnes rozpił się, jego interesy szły źle, wrzeszcze stał się alkoholikiem i często nie wracał na noc do domu, bo pił z koleżkami. Wkrótce moja babka nie miała pieniędzy, by wykarmić dzieci.

Jej ojciec, Antoni Sauster, samotnie żyjący wdowiec, nie mógł znieść jej cierpienia. Pewnego dnia zabrakł ją i dzieci do swego kładnego domu na Mokotowie. Gdy Jan Thonnes wrócił do domu po pijackiej nocy i zobaczył, że wszyscy odeszli, zaczął truciznę.

Nastąpiła druga tragedia; jej jedyny syn, najmłodsze dziecko pokonał parętkę ślinki i wkrótce potem zmarł. /Doktor powiedział, że parętkę utknęła w ślepej kiszce./

Być może z powodu straty syna byłam dla niej pociechą, a ona moim życiowym oparciem. Nie chcę przez to powiedzieć, że podziwiałam się jej interesowi w moim wychowaniu, było ono nawet czasem tematem sprzeczek. Kiedy matka wynurzała się ze swej muzyki i książek była oszuka i opiekuńcza i szczerze wyrozumiała, gdy grymasikiem przy jedzeniu.

Od wczesnego dzieciństwa miałam uprzedzenia do pewnych potraw, wyrażałam żywe sadowolenie, kiedy jedzenie było dobre, i niepoohamowane obrzydzenie, kiedy mi coś nie smakowało. Polka kuchnia ma ogromną różnorodność i wiele znakomitych rybnych i mięsnych dań, ale jest tam parę upiornych specjalności jak obrzydliwe fiaki, przyprawiająca o mdłości ślodka zupa owocowa i chudna czernina z Gesiej krwi. Nigdy nie jadłam delikatnego mięsa jagnięcia, tylko tłustą baraninę. Największe moje obrzydzenie budziło to, co było dumą naszej kuchni: tłusty kotlet wieprzowy z kapustą i kartoflami oczywiście kraszonymi słoniną. /To wspomnienie nadal przyprawia mnie o mdłości! /

Moja łagodna matka, wiedząc, co czuję, prosiła służącą o przygotowanie dla mnie czegoś nietłustego. Jednak ojciec, widząc te osobne dania, krytykował matkę za rozpieszczanie mnie.

Pewnego dnia zapytał gniewnie:

- Dlaczego nie jeść jak wszyscy? Spójrz na mnie, ja jem wszystko!

- Tyko świnie jedzą wszystko... - odpowiedziałam.

Wtedy ojciec jak przed burzą, a potem też nikt nie odwrócił się ani jednym słowem. Tym razem ojciec nie wiedział, co się odpowiedzieć.

Często, wieczorami matka siadała do fortepianu i improwizowała. Próbowala różnych kluczy do skomplikowanych linii melodycznych jednocześnie poszukując instynktownie delikatnej harmonii. Pewnego razu ojciec słuchając z Mirkiem i ze mną, przez ścianę, jak pracuje nad szerególnie przyjemnym fragmentem, wyraził żal, że nie umie zapisać jej kompozycji. Zdecydował znaleźć jej muzycznego sekretarza.

Udało mu się zaangażować nauczyciela Warszawskiego Konserwatorium, młodego muzyka i kompozytora, którego wizyty w naszym domu wkrótce stały się dla mnie bardzo ważne. Gdy usiadł przy stole niedaleko fortepianu, obserwowałem go z bliska zachwycając się oudowną umiejętnością zapisywania nut ze skłochu, bez patrzenia na palce grającej matki. Byłem również pod dużym wrażeniem bardzo wczesnego modelu wiecznego pióra. Przed użyciem musiał zdjąć nasadkę i przykręcić ją do tępego końca pióra, wówczas w cudowny sposób pojawiała się stalówka.

Bez wątpienia właśnie wtedy patrzyłem na niego i słuchałem matczynej improwizacji rozblysła pierwsza żywa iskra mojego pragnienia, by zostać kompozytorem. Jeśli nie było nikogo w pobliżu, ukradkiem siadałem do fortepianu i próbowałem różnych melodii i akordów.

Młody profesor muzyki, który nazywał się Jerzy Lefeld, był szczupły i wysoki, miał długie ręce i nadzwyczaj długie palce, zawsze lodowate, co zauważyłem przy podawaniu ręki. Nieustające przezeńbienie sprawiło, że często wycierał hakaśliwie nos w chustkę, przesuwając przy tym małe, oprawione w srebrne okulary na delikatnie zarysowanym nosie. Miał szlachetną, dosyć ładną twarz i ciemne włosy ostrzyżone na jeża. Niezwykle uprzejmy, zawsze zwracał się do wszystkich bardzo oficjalnie i był tak nieśmiały, że zastanawialiśmy się z Mirkiem, czy kiedykolwiek się ożeni. Czy zdobył się na odwagę, by się oświadczyć? /Byliśmy zdumieni gdy w końcu usłyszeliśmy o jego zaręczynach./

Lefeld był tak wyjątkowo miły i grzeczny, że oszłem się zaskoczony słyszając pewnego dnia jego głośną kłótnię z ojcem. Dowiedziałem się później, że ojciec nalegał chcąc mu zapłacić za pracę, podczas gdy on uporcie odmawiał przyjęcia pieniędzy. Był powściągliwy, ale miał silniejszą wolę niż ojciec; jedynym sposobem odwdzięczenia się za pomoc było częste zapraszanie go do nas. Podawano wówczas szczególnie smaczne posiłki. Nazywałem je obiadem „Lefeldowym” i nic nie mogło mnie skłonić do tego, bym który opuścił.

Gdyby wówczas spytał mnie ktoś, jaki zawód chciałbym uprawiać, gdy dorosnę, odpowiedziałbym bez wahania: "Chcę być Lefeldem!"

Karzyłem, że nie tylko posiadam tajemniczą umiejętność zapisywania melodii z pamięci, ale również, że będę zdolny zapisywać moją własną muzykę wprost z wyobraźni, jak prawdziwy kompozytor.

Gdy zwierzyłem się babci z moich nowych ambitnych zamiarów, natychmiast zaproponowała praktycznie.

-Najprzód musisz się nauczyć grać na fortepianie. Mogę ci pomóc, jeśli chcesz.
Zgodziłem się z wielkim zapalem.

Ponieważ nasze zajęcia przeszkadzałyby mamie w ćwiczeniach na skrzypcach, wydawało się rozsądne, by lekcje odbywać poza domem, więc zaczęliśmy rozglądać się za instrumentem. Wkrótce babcia znalazła fortepian u właściciela sklepiku z pasanterią, na zapleczu, i wynajęła go na trzy godziny tygodniowo. Właściciel, nieskrywanie uprzejmy, zawsze zwracał się do mnie per "Maestro", co uznałem za bardzo pochlebne, jako że miałem lat osiem i dopiero zaczynałem grać. Jego żadna, siedemnaścieletnia córka również mi nadskakiwała, a ja zawsze spieszyłem się, żeby zastać ją, kiedy przyjdę.

Na początku lekcje nie szły dobrze. Być może byłem rozczarowany, że nie mogłem od razu grać takiej muzyki, jaką słyszałem w domu, a może byłem po prostu leniwy. A babcia miała zbyt dużo dobroci, by wiele ode mnie wymagać. Byłem gotów dać za wygraną. Babcia musiała przekupywać mnie czekoladowymi papierosami, żebym tylko wytrwał.

W jakiś czas po moich dziewiątych urodzinach poprosiłem babcie o takie samo wieczne pióro, jakie miał profesor Lefeld. Nie musiała zadawać pytań, żeby domyślić się, w czym rzecz. Jak tylko dostałem pióro do ręki, znalazłem papier i zacząłem pisać nuty na pięciolinii. Najprzód próbowałem kopiować drukowane utwory muzyki fortepianowej, szczególnie moje ulubione proste utwory Mozarta. Postępnie spróbowałem nową, własną improwizację i, walosząc zawzięcie, jakoś ją zanotowałem.

Moja pierwsza kompozycja, ambitnie nazwana "Sonatina", nie została, oczywiście, ułożona według klasycznych wzorów, lecz była to prośłutka melodia na prawą rękę z kilkoma akordami na lewą. Jednakże nieporadne początki podtrzymały moją wiarę w to, że zostanę kompozytorem. Patrząc z satysfakcją na tę świeżutką i śmieszki, myślałem o polskim przysłowiu: "Nie święci garnki lepią".

Ponieważ nadal nie chciałem przeszkadzać matce ćwiczeniami fortepianowymi, musiałem znaleźć sobie inne zajęcia, żeby wypełnić jakoś wolny czas. Nasze mieszkanie znajdowało się na czwartym piętrze, a okna wychodziły na kwadratowe podwórko z okrągłym, nędznym trawnikiem na środku, z kilkoma białymi kwiatkami w lecie i zawsze nieczynną fontanną. Tę małą przestrzeń dzieliliśmy z licznymi sąsiadami i nie zachęcano dzieci, by się tam bawiły; tak więc wiele czasu spędzałem samotnie na balkonie, nad podwórkiem, patrząc na dachy i kominy naprzeciwko, na niebo; gdzie czasem miałem szczęście podziwiać zdumiewające akrobacje lotnicze.

Latające maszyny były moją wielką pasją - w pewnym momencie nawet stały się ważniejsze niż muzyka. Moim największym marzeniem było posiadanie na własność modelu samolotu. Wprawdzie wcale nie miałem zabawek, bo ojciec uważał, że nie są potrzebne, tak samo jak odmawiał mi kupna ubrań, uważając, że

powiniennem donaszać po bracie. Wstydzikiem się, kiedy inne dzieci paradowały w nowych, pięknych strojach, a ja nie miałem nic lub gdy chciały obejrzeć moje zabawki, a ja nie miałem co im pokazać.

Jednak z perspektywy minionych lat, myślę, że brak gotowych zabawek był dla mnie bodźcem do twórczej działalności. W każdym razie nigdy się nie nudziłem. Próbowiałem robić samoloty z różnych domowych resztek, ale wówczas ku mojej radości usłyszałem o istnieniu sklepu o szwedzkiej nazwie Slöjd, który sprzedawał materiały rzemieślnicze łącznie z gliną, plasteliną i balsą, idealnie lekkim drewnem, oraz przezroczystym pergaminem, doskonałym na skrzydła. Całymi godzinami rysowałem samoloty, a jeszcze więcej czasu poświęcałem na wycinanie i klejenie. Wreszcie zrobiłem modele, które mogły latać; śmigały ze świstem w powietrze na naprężonej gumce.

Często marzyłem na naszym balkoniku, czekając na następne samoloty wojskowe, zachwycając się w tym czasie kształtami chmur przepływających po niebie - wydawało się, że nakładają się jedna na drugie jak ruchome rzeźby w niezliczonych odcieniach szarości. Chwilami kapryśnie przemykały przez idealnie niebieskie niebo, innym razem stawały się ciemnoszare, prawie czarne, zapowiadające deszcz.

Jeśli chodzi o sprawy bliższe, balkon służył mi za szkołę życia: z mojego punktu obserwacyjnego dowiedziałem się wiele o naszych sąsiadach.

Naprzeciwko naszego mieszkania, na czwartym piętrze, mieszkał pułkownik kawalerii z żoną, służącą i najciekawszym domownikiem, ordynansem - młodym służącym, przebranym w mundur chłopek. Od czasu do czasu widywałem pułkownika kręcącego we wspaniałym mundurze, z szablą przy boku i w błyszczących ostrogach. Nieszczęsnego ordynansa mogłem oglądać o wiele częściej, jako że biegał na podwórko i z powrotem z trzech ważnych powodów: po pierwsze do ubikacji umieszczonej na zewnątrz, bo nie miał prawa używać ubikacji pułkownika; po drugie, aby palić papierosy, bo to też było w mieszkaniu zabronione; a po trzecie, by bez końca czyścić buty do konnej jazdy, których pułkownik miał co najmniej pół tuzina - aż twarz ordynansa odbijała się w nich jak w lustrze. Oficerowie polskiej kawalerii byli tradycyjnie fanatyczni na punkcie wyglądu własnego i swoich koni, to był rodzaj szalenstwa, na które zwykli śmiertelnicy patrzyli z mieszaniną podziwu i ironii.

Pod pułkownikiem mieszkała rodzina żydowska. Córka ciągle grała na fortepianie, przy otwartym oknie, przeszkadzając mojej matce w ćwiczeniach skrzypcowych, powtarzając w kółko tą samą etiudę Chopina. Raptem pewnego dnia z otwartego okna dobieła się hałaśliwsza muzyka i śpiew; odbywało się wesele córki, a potem nigdy już nie usłyszeliśmy Etiudy o-moll. Brakowało mi jej.

Pod rodziną Żydów, na drugim piętrze, często widywałem studenta szkoły aktorskiej, gwałtownie gestykulującego, ćwiczącego role na całe gardło, co sprawiało dosyć przerażające wrażenie. Czasem jego aktorskie popisы zaskakiwały

mnie i myślałem, że popełniono morderstwo. Nie odnosił sukcesów w swym zawadzie i pewnego dnia popełnił samobójstwo - również bez powodzenia. Został odwieziony do szpitala, skąd po trzech miesiącach powrócił błądy i zamężny człowiek, którego milczenie miało w sobie coś niesamowitego. Potem nastąpiła kolejna tragedia, którą ogromnie się przejąłem; jego matka popełniła samobójstwo wieszając się na łańcuchu do spuszczenia wody - z tym, że jej się powiodło. Nie pamiętam, jak plotka do mnie dotarła, ale widziałem jak nieśli trumnę przez podwórko.

Na pierwszym piętrze mieszkał stary kawaler, emerytowany urzędnik, który również spędzał wiele czasu brzdąkając na kiepskim starym pianinie. Ciekawe, że on również miał tylko jeden utwór w swoim repertuarze, "Menuet" Paderewskiego, ale grał go z wielką pasją i siłą. Wkrótce znikam widziałem ten utwór, chociaż uczono mnie w szkole, że powinienem podziwiać jego kompozytora, sławnego pianistę i nowowybranego prezydenta wolnej Polski.

Ostatecznie jego pianino zamilkło, gdyż wyrzucono go z mieszkania za nie płacenie komornego. Ponieważ nie miał dokąd pójść, gnieździł się na podwórku z całym dobytkiem składającym się głównie z książek. Spędzał cały dzień przekładając zakurzony woluminy z półki na półkę, obsesyjnie usiłując ustawić je w dawnym porządku, przerywając pracę tylko po to, żeby zagrzać herbatę na prymusie. Ponieważ nie miał ani przyjaciół ani rodziny, matka często posyłała mu służącą z jedzeniem. Po wielu tygodniach i on, i jego książki, i maszynka spirytusowa, i pianino zniknęły z podwórka. Nigdy się nie dowiedziałem, co się z nim stało.

Mieszkanie naprzeciwko nas na parterze było zajęte przez administratora budynku - człowieka o skromnym pochodzeniu - z zawodu budowniczego. Zawsze zwracał się niegrzecznie do naszego stróża, którego to złościło, bo pochodzenie administratora nie było lepsze niż jego własne. Często, gdy administrator podnosił głos, próbując traktować go jak niewolnika, stróż odpychał mu się pięknym za nadobne, ale dość lekko, bo mógł sobie zaszkodzić.

Nie kończący się strumień odwiedzających nasze podwórko dostarczał mi rozrywki przez cały dzień. Szklarze, mający przy sobie woreczki z kitem i dźwigający na plecach szklane tafle, dawali o sobie znać charakterystycznym pokrzykiwaniem, tak, dźwięcznym, że usiłowałem wkomponować je do moich improwizacji. Żydowscy przepkupnie wołali: "Handel-handel-handel!" ogłaszając, że chcą kupić stare ubrania, które wiazali w wielkie toboły i zarzucali sobie na plecy. Cyganki w kolorowych sukniach wpychały się natrętnie, proponując wróżby. Kcim ulubieńcem był uliczny grajek, który tańczył groteskowo, akompaniując sobie na organkach, przy pomocy łokci wydobywający dźwięki z bębna i cymbałów, a rozdźwięczane dzwoneczkami na nogach też były częścią krzykliwego stroju. Byłem oczarowany, ale podpatrywałem go z przestachem stojąc w drzwiach i starając się unikać jego spojrzenia, ponieważ ekscytowałem, że uliczni grajkowie porywają dzieci, aby wyuczyć je swego zewodu i zarabiać na nich.

Gdy miałem dziesięć lat, rodzice, chociaż jak zawsze borykali się z kłopotami finansowymi, zdecydowali się posłać mnie do najlepszego gimnazjum nazwanego imieniem założyciela, Lorentza. Co rano wychodziłem z tornistrem na plecach, dumnie obnosząc nowy mundurak, granatowy ozdobiony dwoma jasnoniebieskimi paskami na poziomie kołnierza, i granatową regatywkę z jasnoniebieską wstążką i sztywnym skórzanym daszkiem, odróżniającą się tylko kolorem od tradycyjnych polskich czapek wojskowych. Szkoła znajdowała się w budynku mieszkalnym i zajmowała całe czwarte piętro. Było tam zawsze zadziwiająco czysto. Zapach politory jeszcze teraz przywodzi mi na myśl te drewniane biurczka i krzesła i wspomnienie serdecznych, pełnych zapału nauczycieli, którzy potrafili nawet najnudniejszy przedmiot uczynić fascynującym.

Jeden z nauczycieli, ojciec Kaim, był tym księdzem, który poświęcił nieszczęsną fabrykę mego ojca w dniu jej otwarcia. Poznałem go po namiętności do cygar; zawsze palił je po niedzielnej Mszy Świętej w miejscowym kościele, do którego mieli uczęszczać wszyscy uczniowie gimnazjum Lorentza. Kościół był dla nas nudziarstwem, zwłaszcza kazanie, z którego często próbowaliśmy się urwać /zwykle bez powodzenia/. Ale szkoła przebiegle organizowała po Mszy pokazy filmowe; wyświetlano komedie z Laurem i Hardym, Charlie Chaplinem czy Buster Keatonem, które uwielbiałem. Były to filmy nieme, więc często starsi chłopcy ekompaniowali na pianinie, starając się zsynchronizować muzykę z akcją na ekranie, a ja gorąco pragnąłem rywalizować w tej umiejętności.

Wkrótce rozpoczęło się przygotowanie do Pierwszej Komunii i musiałem zacząć traktować religię z większą powagą. Cieszyłem się tymi przygotowaniem, lecz gdy nadszedł moment pierwszej spowiedzi, mój nowy zapach znacznie ostygł. Wyjątkowo surowy, prawie rozzłoszczony ksiądz zaczął mi zadawać pytania starając się skłonić mnie do wyznania grzechów, o których nigdy nie słyszałem nie mówiąc już nawet o pokusie ich popełnienia: czy uszkowałem całować dziewczyny, czy starałem się wkładać im rękę pod spódnicę /byłem zbyt nieświadomy i niewinny, by sobie wyobrazić, po co miałbym to robić/. Byłem szpony tą formą nacisku i od tej pory unikałem spowiedzi.

Nim skończyłem jedenaście lat babcia nauczyła mnie już tyle, że mogłem z nią grać na fortepianie dość trudne duety klasycznych kompozytorów. Natomiast nie chciało mi się ćwiczyć i wolałem improwizować, zapisując czasami moje "kompozycje", niż poświęcić czas systematycznej nauce.

Nikt w rodzinie, nawet babcia, nie zachęcał mnie do traktowania muzyki jako czegoś więcej niż składnik ogólnego wykształcenia i kultury. Po raz pierwszy pomyślałem o poważniejszym studiowaniu muzyki dopiero, gdy jeden z kolegów szkolnych zaprosił mnie, bym posłuchał jego gry na skrzypcach podczas koncertu najmłodszych roczników Warszawskiego Konserwatorium. Byłem oczarowany wirtuozerią mojego

jedenastoletniego kolegi, jego niemal diaboliczną władzą nad instrumentem. Nie wiedziałem, że ktoś tak młody, może już uczęszczać do konserwatorium i natychmiast zapytałem matkę, czy i ja mógłbym tam się uczyć.

Matce bardzo się spodobał mój mowy zapach, ojcu - nie. Muzyka - powiedział - to nie jest zawód dla człowieka honoru.

Matka zwycięsko broniła mojej sprawy przypominając mi, jak lubił słuchać naszych duetów z babcią, i rzeczowo zauważyła, że pobieranie lekcji muzyki w konserwatorium w wieku lat jedenastu nie przesadza o moim zawodzie.

Następną przeszkodą było przesłuchanie. Nigdy nie grałem dla nikogo poza wąskim kręgiem rodzinnym. Teraz trząsam się ze strachu w tłumie pozornie pewnych siebie rywali, którym towarzyszyli rozgorączkowani rodzice, czekając na swoją kolej w małej sali koncertowej konserwatorium. Komisja egzaminacyjna z ponurymi minami zasiadła przy stole w pobliżu podium.

Kiedy słuchałem zaskakująco słabej gry innych dzieci, stopniowo nabierałem pewności siebie. Raptem wywołano moje nazwisko. Owiadnął mnie strach, gdy wchodziłem na podium, ale wziętem głęboki oddech i zanurzyłem się w "Poemacie" Fibichia.

Po kilku sekundach usłyszałem dochodzący z sali oburzony szept któregoś z zazdrosnych rodziców.

- Patrzcie na niego, używa pedału! - ktoś chciał zachwiał moją pewnością siebie sugerując, że mam zbyt wysokie mniemanie o swoich możliwościach. Udało mi się grać dalej, skupiając całą moją uwagę nie tylko na precyzji technicznej lecz również na odczuciu muzyki. Wróciłem na miejsce przekonany, że będę przyjęty. Miałem rację.

Jako profesora fortepianu miałem w konserwatorium pannę Ceme-Wilgocką. Jej matka była znaną polską śpiewaczką a ojciec Francuzem. Jej drobne, delikatne rysy i czarne włosy sprawiły, że wydawała mi się oszałamiająco piękna, i sądziłem, że wszystkie Francuzki wyglądają jak ona. Ubierała się ślicznie i używała delikatnych perfum, całkowicie niepodobnych do polskich słodkich pachnideł kwiatowych. Zawsze pozdrawiała mnie przyjaznym uśmiechem, dodawała mi odwagi, była cierpliwa i nie szczeniła mi swojego czasu. Nasze dwie lekcje tygodniowo były dla mnie wielką radością i szybko poczułem, że robię prawdziwe postępy.

Jednakże, ponieważ nie była dyplomowanym profesorem, lecz tylko zaawansowaną uczennicą konserwatorium, pozostawała pod opieką swego profesora, szczególnie nie ulego osobnika, którego obecność na lekcjach, dwa razy w miesiącu, stała się dla mnie koszmarem.

Ów profesor, Wiktor Chrapowicki, zaledwie dwudziestoparoletni, był chudy, miał czarne włosy i długie opadające włosy a la Paderewski. Błądą twarz pokrywały krosty, odnosiłem wrażenie, że gdybym ukuł go szpilką, wytrysnęłaby jasnozielona krew. Zawsze miał minę jakby był czymś rozkoszowany, ale mówił mało. Gdy wreszcie coś powiedział, miało się wrażenie, że pękła kłapa bezpieczeństwa i raptem wybuchnął strumieniem szybkich, gniewnych, często niezrozumiałych słów.

Kiedy grąłem, niespodziewanym, szybkim uderzeniem wy-
chciał mi ręce z klawiatury i kładł swoje serdelkowane białe
peruchy na klawiszach, by pokazać mi właściwy układ. Kryty-
kował przy mnie ordynarnie nieszczęsną młodą nauczycielkę,
wyrzucając jej, że jest za mało wymagająca, że sama chyba
zapomniała zasad techniki fortepianowej.

Nienawidziłem mnie, nienawidziłem jej, ale szybko zorientowa-
łem się, że nienawidziłem wszystkich, a ja, co odkryłem póź-
niej, bardzo nieszczęśliwym człowiekiem. Zapowiadał się na
wybitnego pianistę koncertowego, ale pewnego razu został tak
bezlitośnie wyszydzony przez pewnego warszawskiego krytyka
muzycznego, że z miejsca porzucił karierę. Od tej pory poświę-
cił się podkopywaniu wiary w siebie swych uczniów z klasy
fortepianu.

Wszyscy młodzi uczniowie Konserwatorium musieli również
uczęszczać na lekcje z teorii muzyki, szczególnie solfeżu: od-
czytywać linię melodyczną, śpiewać poszczególne nuty /do, re,
mi itd./ dyrygując jednocześnie samym sobie, aby utrzymać rytm.
Jedyną pomocą polegała na tym, że zanim uczeń zaczął śpiewać
nauczyciel podawał mu na kamertonie dźwięk "a".

Na początku te lekcje były dla mnie trudne, a nawet
zniechęcające, gdyż nauczyciel sygnalizował każdy błąd głoś-
nymi uderzeniami ołówka o blat stołu, ostro nakazując uczni-
wi zaczynać od początku. Stopniowo przyzwyczaiłem się do tych
okropnych popisów i z czasem polubiłem ćwiczenia.

Ponieważ coraz więcej czasu zacząłem poświęcać muzyce,
musiała na tym ucierpieć nauka szkolna. Miałem kłopoty w gim-
nazjum, więc starałem się odrabiać dodatkowe zadania, by
ułatwić nauczycielowi i wrócić czym prędzej do muzyki. Byłem
doprowadzony do rozpacz i potwornie zmęczony.

Właśnie w tym trudnym momencie, chociaż byłem bardzo
wyczerpany, musiałem poddać się decydującej próbie, corocz-
nemu egzaminowi w konserwatorium na zakończenie roku akade-
mickiego, a więc wystąpić w głównej sali koncertowej pod
okiem jury, przy licznej publiczności składającej się z na-
uczycieli, rodziców i przyjaciół.

Kiedy wszedłem zdenerwowany do wielkiej sali, gdzie
zgromadzili się koledzy z rodzinami, zobaczyłem zatrważają-
cy widok. Na wielkiej scenie stał olbrzymi fortepian kon-
certowy. Obok ustawiono długi stół przykryty zielonym suk-
nem, a dwoma karafkami wody i co najmniej dwunastoma szklan-
kami. Przy tych szklankach zasiadła komisja egzaminacyjna,
wśród jej członków rozpoznałem siołką, uspokajającą twarz mo-
jej nauczycielki i gniewne, wyzywające spojrzenie profesora
Chrapowickiego. Innych egzaminatorów widziałem po raz pierw-
szy, z wyjątkiem kompozytora Karola Szymanowskiego, którego
rozpoznałem z fotografii i który teraz ponuro kiwał głową,
opartą na rękach. Wyglądał na zmęczonego i śmiertelnie znu-
żonego.

Byłem tak przerażony, że prawie nie słyszałem gry ko-
legów. Wreszcie wywołano moje nazwisko i zmusiłem się do
wejścia na scenę obok wielkiego fortepianu. Usiadłem na
chwilkę patrząc pytająco w stronę stołu, spodziewając się
sygnału do rozpoczęcia, ale wszystko, co mogłem zobaczyć, to

był Chrapowicki, który patrzył na mnie jakby chciał utopić mnie w łyżce wody.

Doznałem przerażającego ataku tremy, nagle zrobiło mi się gorąco, oblał mnie pot, tak że palce ślizgały się po całej klawiaturze. Poszczególne nuty jakby odrywały się ode mnie i nie chciały brzmieć tak, jak ja zamierzałem je zagrać. Zbyt wcześnie usłyszałem końcowy dźwięk dzwonka, którym członek komisji egzaminacyjnej dawał znać: "Dość!" Uciekłem na swoje miejsce koło mamy.

W kilka dni później zostałem poinformowany, że nie mogę nadal uczęszczać do Konserwatorium, ponieważ "nie mam talentu muzycznego". Byłem załamany.

Matka poszła wprost do profesora Chrapowickiego pytać o powody mojej porażki, ale odmówił wyjaśnień. Zrozpaczona spytała go:

- Co mój syn na teraz robić?
- Odpowiedział opryskliwym tonem:
- Zamknąć fortepian na zawsze!

Andrzej Panufnik

Przekład nieautoryzowany.

150
470

DZIĘKUJEMY
Rząd * 82
jch * £ 50